UMCS LUBLIN

Pierwszy odcinek sensacyjnych wspomnień Konrada Bielskiego — str. 13

CENA 2 ZŁ

Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 31.VIII.1969. Nr 18 (425) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

16 stron
Numer specjalny z okazji X Zjazdu Historyków Polskich w Lublinie

Warszawa 1939 — **Początek i koniec** — Berlin 1945

JUBILEUSZOWY ZJAZD HISTORYKÓW

Wywiad z prof. dr Stanisławem Herbstem

W DNIACH 9—13 września br. obradować będzie w Lublinie X jubileuszowy Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Zjazd ten zwraca na siebie uwagę szerokich kręgów opinii publicznej. Nauka historyczna bowiem odgrywa w naszej rzeczywistości znaczną rolę. Od 25 lat towarzyszy ona głębokim przemianom ekonomiczno-społecznym i politycznym, jakie zachodzą w naszym kraju. Upowszechnia w społeczeństwie idee postępu społecznego, buduje mosty pomiędzy postępową i rewolucyjną tradycją lat dawnych a ideami i programami współczesnego ruchu robotniczego. Polska Ludowa zapewniła nauce historycznej wszechstronne warunki rozwoju, nadając jej rangę dziedziny wyższej użyteczności. Stojąc na gruncie nowej metodologii, historycy polscy nadrobili wieloletnie zaniedbania, wzbogacając wiedzę historyczną o dziejach naszego kraju o wybitne, nieprzemijającej wartości dzieła. X Powszechny Zjazd Historyków zbiega się z licznymi narodowymi rocznicami, a przede wszystkim 25-leciem Polski Ludowej i 30 rocznicą wybuchu II wojny światowej. Obie te rocznice stanowią ważną cezurę czasową w najnowszych dziejach narodu. Znajdą więc swój wyraz w toku odbywających się sesji.

W związku ze zjazdem „Kamena" zwróciła się do wybitnego historyka, wieloletniego prezesa Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego, który jest organizatorem zjazdu, prof dr Stanisława Herbsta, z prośbą o wywiad.

— Panie profesorze! Czy zechciałby pan scharakteryzować bliżej naszym Czytelnikom organizatora zjazdu — Polskie towarzystwo Historyczne?

— Zostało ono założone we Lwowie w 1886 roku, przez Xawerego Liskego. Po odzyskaniu niepodległości rozbudowano je na całą Polskę. Dziś liczy 40 oddziałów i ok. 3 000 członków. Do tradycyjnej działalności odczytowej i wydawniczej, badawczej i popularyzatorskiej, przybyło w latach powojennych utrzymywanie stacji naukowych (4) których zadaniem jest organizowanie i ułatwienie badań regionalnych. Stacje, istniejące od kilkunastu czy nawet dwudziestu lat, stanowią stale pielęgnowane warsztaty pracy naukowej, księgozbiory i przedsięwzięcia dokumentacyjne. Są one oparciem dla nowych wyższych uczelni oraz studiów zaocznych, a zdają również egzamin przy tworzeniu nowych ośrodków naukowych poza miastami uniwersyteckimi. Stacje bywały także oparciem dla wakacyjnych uniwersytetów regionalnych, lub stałych seminariów doktoranckich. Polskie Towarzystwo Historyczne jest bodaj najbardziej rozbudowanym w kraju towarzystwem naukowym, zrzeszającym badaczy, nauczycieli, archiwistów i różnorodnych miłośników historii. Jednak nie wszystkie jego oddziały terenowe pracują równomiernie. Są jeszcze wielkie miasta, liczące ponad 100 000 mieszkańców, stanowiące duże skupiska szkół i nauczycieli, w których Towarzystwo nie zdołało się utrwalić. W perspektywie widać więc jeszcze możliwości organizacyjne. Urbanizacja w ciągu lat kilkunastu powoła do życia kilkadziesiąt ośrodków subregionalnych skali 50—100 tys. mieszkańców. Nie może w nich zabraknąć tradycji historycznej, warsztatu naukowego, dostępnego dla wszystkich mieszkańców subregionu. W ten sposób historycy powinni wypełniać obowiązki wobec rozbudowy kraju.

— Jaką rolę odgrywają w życiu środowiska historycznego zjazdy historyczne? Czemu są poświęcone?

— Powszechne zjazdy historyków polskich są organizowane tradycyjnie przez Towarzystwo — w odstępach mniej więcej pięcioletnich. Pięciolecie jest okresem dość długim w skali badań również historycznych. Zjazdy stanowią więc okazję do zdania sprawy z tego, czego dokonano i refleksji nad tym, co jeszcze należy robić, niezależnie od rocznic i jubileuszów. Tegoroczny zjazd ma charakter specyficzny — jest jubileuszowy, bo dziesiąty (poprzednie odbyły się w latach 1880, 1890, 1900, 1925, 1930, 1935, 1948, 1958, 1963). Dodajmy, że w terminie pierwotnym (miał się odbyć w 1968 roku) przypadał na 50-lecie odzyskania niepodległości i pierwszego ludowego rządu. Przesunięcie terminu na rok 1969 przynosi jeszcze trzy inne rocznice: 25-lecie Polski Ludowej, 400-lecie Unii Lubelskiej i 30-lecie wybuchu II wojny światowej. Zjazdy dotychczasowe były okazją do dyskusji na tematy zasadnicze. W XIX wieku były to starcia szkoły warszawskiej z krakowską, po odzyskaniu niepodległości toczył się spór o krytyczne, naukowe opracowanie tematów, stanowiących świętość narodu walczącego o odzyskanie niepodległości (np. o ocenę Kościuszki —

Dokończenie na str. 14

W 30 rocznicę śmierci poety

Józef Czechowicz

żal

głowę która siwieje a świeci jak świecznik
kiedy srebrne pasemka wiatrów przefruwają
niosę po dnach uliczek
jaskółki nadrzeczne
świergocą to mało idźże

tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny
roztrzaskane szybki synagog
płomień połykający grube statków liny
płomień miłości
nagość

tak wysłuchiwać ryku głodnych ludów
a to jest inny głos niż ludzi głodnych płacz
zniża się wieczór świata tego
nozdrza wietrzą czerwony udój
z potopu gorącego
zapytamy się wzajem ktoś zacz

rozmnożony cudownie na wszystkich nas
będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie
ja gdym z pługiem do bruzdy przywarł
ja przy foliałach jurysta
zakrztuszony wołaniem gaz
ja śpiąca pośród jaskrów
i dziecko w żywej pochodni
i bombą trafiony w stallach
i powieszony podpalacz
ja czarny krzyżyk na listach
o żniwa żniwa huku i blasków
czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć
nim się kolumny stolic znów podźwigną nade mną
nadleci wtedy jaskółek zamieć
świśnie u głowy skrzydło poprzez ptasią ciemność
idźże idź dalej

1939

Kultura 1969

Zmarli

◆ Kompozytor Joseph Kosma. Urodził się w 1905 r. w Budapeszcie, gdzie rozpoczął studia muzyczne, od 35 lat mieszkał w Paryżu. Napisał muzykę do 3 oper, ponad stu filmów oraz kilkadziesiąt innych dzieł. W wielu z nich odzywały się melodie folkloru węgierskiego.

◆ W Paryżu 82-letni Rene Bruyez, poeta i dramaturg, członek jury nagrody „Interallie", wieloletni dyrektor różnych teatrów. Ostatnią jego sztukę „Le Sacrifice d'un seul" nadało radio w maju.

Literatura

◆ Ukazał się setny tom Biblioteki Poetów — tzw. celofanowa seria PIW. Setną książką jest zbiór poezji Norwida z przedmową J. W. Gomulickiego. Tom posiada specjalną obwolutę.

◆ Kieszonkowa edycja „Trylogii" w nakładzie 100 tys. egzemplarzy została natychmiast rozprzedana. PIW przygotowuje wydanie jeszcze w tym roku edycji w ozdobnej szacie graficznej, płóciennej oprawie i barwnej obwolucie, w nakładzie 50 tys. egz.

* „Miesięcznik Literacki" we wrześniu przyzna po raz pierwszy trzy nagrody (każda po 10 tys. zł) za publikacje książkowe z zakresu krytyki literackiej i artystycznej oraz eseistykę kulturalną i społeczną.

◆ W konkursie literackim, ogłoszonym przez władze kulturalne Bydgoszczy z okazji 25-lecia PRL, pierwszą nagrodę w dziale prozy otrzymał Paweł Dzianisz z Bydgoszczy i Zbigniew Strzałkowski z Lublina, w dziale poezji Władysław Roszewski z Torunia.

◆ Istniejący od 2 lat w Zakopanem kabaret satyryczny „Smutas" wystawił program pt. „Smutas — 69". Wykorzystano wiele tekstów Andrzeja Struga, które okazały się bardzo aktualne.

* W Chile odbywa się kongres pisarzy krajów Ameryki Łacińskiej. Obrady poświęcone są omówieniu węzłowych problemów literatury tego kontynentu, a w szczególności roli pisarza w życiu politycznym krajów rozwijających się.

◆ 1 sierpnia minęło 150 lat od chwili urodzin Hermana Melville'a, jednego z najwybitniejszych pisarzy amerykańskich. Nie był on rozumiany przez współczesnych i umierając powiedział: „Chociaż napisałem ewangelię naszego wieku, umieram w nędzy". Wielkość jego w USA docenia się dopiero obecnie.

◆ Francis Mauriac, który w ostatnich 10 latach pisał bądź pamiętniki, bądź artykuły publicystyczne, wydał nową powieść „Człowiek z minionej doby". Jest to kronika prowincjonalnej rodziny francuskiej.

Teatr

◆ Mamy w tej chwili w kraju 50 teatrów dramatycznych w 35 miejscowościach; posiadają one łącznie 72 sceny, dają rocznie ok. 400 premier i ok. 20 tys. przedstawień. Przeciętna widzów w ciągu ostatnich lat wynosi 7 mln rocznie.

◆ W Londynie wystawiono sztukę Bernarda Shawa „Potomkowie Matuzalema", napisaną tuż po drugiej wojnie światowej. Autor określił ją „jako arcydzieło powszechne lub chała". W wersji oryginalnej sztuka trwa 7 godzin, dzięki skreśleniom gra się ją teraz 5,5 godziny.

◆ W Urugwaju działa kilka teatrów amatorskich, a największy i najstarszy z nich to „Galpon" (stodoła) w Montevideo, który ostatnio z własnych środków zbudował sobie budynek. Szczególnym powodzeniem w tym teatrze cieszą się sztuki Brechta.

◆ Z początkiem przyszłego roku w jednym z teatrów nowojorskich zostanie wystawiona komedia muzyczna „Quasimodo", będąca przeróbką „Notre Dame de Paris" Wiktora Hugo.

Sztuka

◆ Dwie sensacje archeologiczne. Najpierw w woj. krakowskim odkryto stanowiska łowców mamutów sprzed 20 tysięcy lat, następnie w okolicach Słomnik natrafiono na osadę z epoki kamiennej, starszej od Biskupina o cały tysiąc lat.

◆ W warszawskiej „Zachęcie" wystawiono wiele ciekawych prac, nadesłanych na ogólnopolski konkurs „Człowiek i praca w Polsce Ludowej" dla malarzy, rzeźbiarzy i grafików.

◆ Pierwszą nagrodę w konkursie WAG na najlepszy druk plakatu w II kwartale otrzymały Szczecińskie Zakłady Graficzne za plakat teatralny Jerzego Kołacza „Dziś do ciebie przyjść nie mogę".

◆ W roku ub. różne zakłady pracy nabyły w Pracowniach Sztuk Plastycznych dzieła sztuki ogólnej wartości 4 mln zł. Najwięcej zakupiono ich w Warszawie, Szczecinie, Katowicach, Wrocławiu, Krakowie i Bydgoszczy.

◆ Po raz drugi już (pierwszy przed trzema laty) polscy ceramicy Helena i Lech Grzeszkiewiczowie otrzymali pierwszą nagrodę na międzynarodowym konkursie ceramicznym w Gualdo Tadino we Włoszech.

* Na zakończenie festiwalu kultury afrykańskiej w Algierze uchwalono manifest, który m. in. stwierdza, że „kultura jest dziełem ludu, a nie klasy panującej". Uczestnicy domagali się także wydania encyklopedii sztuki i kultury afrykańskiej oraz podjęcia przez szefów państw kroków celem odzyskania dzieł sztuki i dokumentów, zrabowanych przez kolonialistów.

◆ W jaskiniach Kuby i kilku sąsiednich wysp odkryto rysunki sprzed kilku tysięcy lat. Niektóre przedstawiają kontury ludzi, inne figury geometryczne. Późniejsze rysunki odtwarzają sceny z podboju tych krajów przez Hiszpanów.

◆ W Zurichu odbyła się wystawa 50 młodych malarzy różnych narodowości pod hasłem „Sztuka fantastyczna", gromadząc twórców od realistów do surrealistów. Stosunkowo najwięcej dzieł wyrażało protest przeciwko wojnie w Wietnamie.

◆ We włoskim mieście Bordighera otwarto 23 międzynarodowy salon rysunków humorystycznych. Uczestniczy w nim ponad 300 autorów z 35 krajów.

◆ W Piotrkowie Trybunalskim, gdzie pracują 3 huty szkła, powstanie wkrótce muzeum szklarstwa polskiego.

Muzyka

◆ Festiwal Chopinowski w Duszniki Zdroju rozpoczął się koncertem orkiestry Państwowej Filharmonii we Wrocławiu oraz recitalem pianistów Iriny Zarickiej (ZSRR) i Jana Ekiera (Polska).

◆ Polska i Jugosławia otrzymały honorowe wyróżnienie za działalność w upowszechnianiu kultury muzycznej — na 23 Kongresie Międzynarodowej Federacji Młodzieży Muzycznej. Kongres odbył się w Budapeszcie z udziałem delegacji z 23 państw.

◆ W dniach 16—19 października odbędzie się w Warszawie XII Jazz Jamboree z udziałem czołowych zespołów polskich i kilku zagranicznych.

◆ Kompozytor węgierski, Emil Petrovics, kończy pracę nad operą „Zbrodnia i kara" według powieści Dostojewskiego. Prapremiera odbędzie się jesienią w Budapeszcie.

◆ Faszystowskie władze greckie przedłużyły na rok karę zesłania znanemu kompozytorowi Mikisowi Theodorakisowi. Mieszka on w odludnej miejscowości górskiej, pod stałym nadzorem policji.

Film

◆ W Helsinkach odbył się „Tydzień filmów Wajdy" z udziałem reżysera, zainaugurowany „Pokoleniem".

◆ Ekipa radziecka będzie nakręcała w Polsce część plenerów „Marii" — filmu fabularnego o rosyjskiej kobiecie, walczącej o władzę rad, o wolność Hiszpanii i w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej.

* Sergiusz Bondarczuk, który obecnie we Włoszech kieruje zdjęciami do wielkiego filmu historycznego „Waterloo" następnie zamierza przenieść na ekran „Borysa Godunowa" Puszkina. Sam ma zagrać główną rolę.

◆ Znana nam tylko z filmów Katherine Hepburn wystąpi w amerykańskiej komedii muzycznej „Coco", opowiadającej o karierze producenta słynnych perfum francuskich — Chanela.

◆ Jeden z reżyserów francuskich przygotowuje wersję filmową powieści Anny Langfus (pochodzącej z Lublina) „Saute, Barbara". Film będzie nosił tytuł „Pour un sourire".

Różne

◆ „Wierna przyjaźń — wieczna przyjaźń" — taki tytuł nosi duży artykuł, zamieszczony w piśmie „Sowietskaja Kultura" na zakończenie „Dni Kultury Polskiej w ZSRR".

◆ Ukazał się 50 numer kwartalnika „Kultura i Społeczeństwo", którego inicjatorem i pierwszym redaktorem był prof. Chałasiński.

◆ Lubuski zespół pieśni i tańca zajął pierwsze miejsce na międzynarodowym festiwalu folklorystycznym w Warffum (Holandia). Zaproszono go już do ZSRR i NRD.

◆ Paryska „Olimpia" rozpocznie 3 października nowy sezon występami wielkiego musichallu z Leningradu.

◆ Twórca nowoczesnego jazzu orkiestrowego, Duke Ellington, ukończył 70 lat. Z tej okazji powiedział m. in.: „Co mi milion dolarów? Stanę się bogaty, gruby, antypatyczny. Jest wiele niezbędnych rzeczy — powietrze, woda, chleb, miłość. Wymieniłem je chyba nie w tej kolejności, jak należałoby".

◆ Najsłynniejsza francuska śpiewaczka operowa, Regine Crespin, odrzuciła propozycję śpiewania w Las Vegas, mimo, że w ciągu 3 miesięcy jej zarobki byłyby równe zarobkom normalnym w okresie 2 lat. Nie mam zamiaru śpiewać między strip-teasem a rewią też rozebranych girlasek — wyjaśniła.

◆ Marc Chagall energicznie zaprotestował, aby wzniesiony ku jego czci dom w Nicei został nazwany jego imieniem. Do czasu śmierci malarza, tamtejsze muzeum będzie nazywało się „Pozdrowienie biblijne".

◆ Maurice Bejart, znakomity choreograf francuski, który — nie mogąc otrzymać odpowiedniej sali we własnym kraju — przeniósł się do Brukseli, tam również ma poważne kłopoty. „Cyrk królewski", w którym ostatnio dawał swoje programy, został przez władze miejskie wynajęty na imprezy rozrywkowe, innych sal także brak.

◆ W dawnym mieszkaniu Freuda w Wiedniu organizuje się muzeum poświęcone sławnemu psychoanalitykowi. W czasie wojny hitlerowcy urządzili w tym mieszkaniu magazyn kosztowności, zrabowanych Żydom.

Anna Gael, młodziutka Francuzeczka, usiłuje zrobić karierę w Londynie. Tak pokaże się w filmie „Zeta One", opatrując scenę komentarzem: Hollywood ze swoim seksem jest opóźniony o sześć lat, jeżeli aktorka chce być aktualna, powinna występować tylko w filmach romantycznych.

Kamena str. 2

Notes „Kameny" Mieczysław Jesion

Po 30 latach...

ZAMIESZCZONE na pierwszej stronie „Kameny" wymowne zdjęcia pochodzą z wydanego niedawno w NRD albumu pt. „Der zweite Weltkrieg". Zatytułowaliśmy je: „Początek i koniec", aczkolwiek określenie to nie jest zbyt precyzyjne. Wrzesień 1939 roku otworzył kolejny etap hitlerowskich podbojów. Przed Polską była Austria, Czechosłowacja i Kłajpeda. Apetyt brunatnej bestii zwiększał się w miarę połykania coraz to nowych terytoriów. Jakże naiwny był premier brytyjski, Chamberlain, który po powrocie z Monachium chełpił się, że uratował pokój. Jak krótkowzroczna była polityka zachodnich mężów stanu, którym wydawało się, że zdołają ugłaskać Hitlera drogą kapitulacji!

Po trzydziestu latach, które minęły od tragicznego Września, umiemy wyciągnąć wnioski z bolesnych doświadczeń. Polska przestała być pionkiem na szachownicy Europy. Wstępując na drogę socjalistycznego rozwoju, potrafiliśmy rozwinąć nasz kraj gospodarczo; dzięki sojuszowi z ZSRR i udziałowi w Układzie Warszawskim zapewniliśmy bezpieczeństwo Polski i nienaruszalność jej historycznie sprawiedliwych granic. Mamy doskonale przygotowaną do obrony armię, wyposażoną w nowoczesny sprzęt. Naród polski nigdy w swej historii nie był tak spokojny o swoją przyszłość, jak może być dzisiaj. Ale...

Dlatego, aby Wrzesień 1939 roku nigdy się nie powtórzył, pilnie obserwujemy to wszytko, co się dzieje w Niemieckiej Republice Federalnej. Nie jesteśmy jak lat temu trzydzieści, osamotnieni, nie wyolbrzymiamy niebezpieczeństwa neofaszymu, ale trudno nam przechodzić obojętnie wobec rewizjonistycznej histerii, na której usiłują żerować niektórzy politycy zachodnioniemieccy.

25 lipca 1969 roku NPD urządza wyborczy wiec we Frankfurcie nad Menem. Bojówkarze tej neohitlerowskiej partii postępują tak, jakby świat zatrzymał się w 1945 czy 1939 roku. Kto nie z nami — ten przeciw nam. I oto 25-letni Dieter Bachert zostaje wykończony. *Krwawe* — pisze „Frankfurter Rundschau" — *rany na podbródku, na nosie, popękane wargi, ślady butów na czole, ciężkie wylewy krwi na całych plecach... Jakiś NPD-owiec, przyglądając się zmasakrowanemu młodemu człowiekowi, wyraża swoje zadowolenie z powodu „czystej roboty"... Rozpoczyna się wiec... zaczyna orgia krzyków i bicia. Powodem stają się okrzyki politycznych przeciwników NPD. Narodowi demokraci odpowiadają im: „Wy chore małpy, i te świnie nazywają siebie Niemcami, zamknijcie swoje zafajdane pyski..." „Porządkowi", którzy stoją u frontowego wejścia do sali, nakładają hełmy, przeciskają się przez krzesła, wyciągają demonstrantów, na dziedzińcu puszczają w ruch szpicruty. Bije się i depcze ludzi ze wszystkich stron. Bici próbują uciekać przez drzwi. Przy mikrofonie stoi redaktor naczelny pisma „Deutsche Nachrichten", Hans Joachim Richards, były SS-man, którego hasło wyborcze brzmi: „Niech błaga o litość Boga ten, kto nas zaczepi..."*

Wstrząsająca jest ta relacja nie będąca przecież wymysłem „komunistycznej propagandy". Przywódcy rządzących partii CDU i SPD mogą mówić, że to nie był wiec zorganizowany przez chrześcijańskich demokratów czy socjalistów, że *u nas coś takiego nigdy by się nie mogło zdarzyć*. Zgoda, gotowi jesteśmy wierzyć, ale przecież tylko dzięki tolerancji przywódców rządzących partii NPD działa legalnie i w biały dzień, na oczach policji, wykańcza swoich przeciwników politycznych!

Kiedyś cały świat zlekceważył NSDAP. Ale ta początkowo mała, śmieszna partia potrafiła przekształcić całe Niemcy w jeden wielki obóz koncentracyjny, a później rozpętać najkrwawszą z wojen. Dlatego dziś nie wolno lekceważyć NPD, nawet jeśli teraz partia ta nie stanowi jeszcze większej siły politycznej.

Trzydziesta rocznica wybuchu II wojny światowej nasuwa wiele refleksji. Świat daleki jest od idylli. Trwają walki w Wietnamie, sytuacja na Bliskim Wschodzie może się łatwo przerodzić w nowy konflikt zbrojny. Broń atomowa, bakteriologiczna, gazy trujące, rakiety bliskiego i dalekiego zasięgu — wszystko wymierzone przeciwko ludzkości, gotowe cały glob ziemski przekształcić w lawę księżycową. A z drugiej strony — nowa epoka zapoczątkowana lotem na Księżyc, olbrzymi rozwój techniki, medycyny...

Swoistym paradoksem jest fakt, że człowiek nauczył się już przeszczepiać serca, a jednocześnie skonstruował takie środki zagłady, które pod znakiem zapytania stawiają istnienie całego życia na naszym globie.

A jednak nie wolno wpadać w pesymizm. Właśnie fakt, że w przyszłej wielkiej wojnie może nie być ani zwycięzców ani zwyciężonych nakazuje szukać dróg prowadzących do zmniejszenia międzynarodowego napięcia. Rokowania, szukanie zbieżnych stanowisk — to nakaz chwili.

Polska opowiada się za zwołaniem ogólnoeuropejskiej konferencji, która by stworzyła podwaliny pod trwały pokój w Europie. Wystąpiliśmy pod adresem NRF z konkretną propozycją w sprawie uznania przez to państwo granicy na Odrze i Nysie. Nasz dialog z NRF oparty na realizmie politycznym, a takim realizmem jest właśnie polska granica zachodnia, wybiegałby poza stosunki dwustronne.

W ciągu tych lat, które minęły od czasu zakończenia II wojny światowej, Polska bierze aktywny udział w życiu międzynarodowym. Kierowaliśmy się troską o zachowanie pokoju w Europie, kiedy w 1957 roku na forum ONZ oficjalnie przedstawialiśmy plan dezatomizacji Europy środkowej. Droga do światowego odprężenia byłaby łatwiejsza, gdyby posuwać się po niej etapami, wypróbowując szersze porozumienia na porozumieniach mniejszych, częściowych.

Era atomowa, era kosmiczna, w którą już wkroczyliśmy, wyraźnie unaocznia, że nie można budować pokoju na wyścigu zbrojeń. To, co wczoraj było najbardziej nowoczesną bronią, dziś nadaje się na szmelc. Marnotrawi się energię ludzką, pieniądze, balansuje na linie.

1 września 1969 roku każe pamiętać o 1 września 1939 roku. Pamiętać i wyciągać wnioski. Nie tylko przez Polskę — ofiarę agresji. Bo po Warszawie 1939 roku był Berlin 1945 roku. Zdjęcie z tego Berlina pokazujemy na stronie pierwszej. Nie z myślą o czytelnikach „Kameny" między Bugiem a Odrą.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

* W Muzeum Ruchu Rewolucyjnego otwarto 19 lipca wystawę obrazującą 25-letni dorobek oświaty, nauki i kultury w województwie białostockim.

* W Białowieży trwa Ogólnopolski Plener Białowieski, w którym uczestniczą również artyści zagraniczni. Poza pracą twórczą plastyków przewidziane są liczne spotkania, dyskusje związane ze sztuką współczesną, a także imprezy relaksowe. Na zakończenie Pleneru (14 IX) odbędzie się wystawa prac powstałych w czasie jego trwania. Część tych prac zasili białostockie zbiory sztuki.

* Do końca września będzie czynna wystawa na Cmentarzu Jaćwingów z II—IV w. we wsi Szwajcaria (pow. suwalski). Ekspozycję przygotowało Muzeum Okręgowe z Białegostoku oraz Muzeum Ziemi Suwalskiej. Wystawa jest rezultatem prac wykopaliskowych, prowadzonych przez dr J. Antoniewicza. Pokazane znaleziska ze wspomnianego cmentarza dostarczają interesujących wiadomości o kulturze i dziejach bałtyjskich przodków wczesnośredniowiecznych Jaćwingów.

„Wilki w nocy" T. Rittnera w Teatrze im. Al. Węgierki w Białymstoku. Na zdjęciu: M. Szul i D. Rymarska.
Fot. St. Dukiewicz

* Państwowy Teatr Dramatyczny im. Al. Węgierki w Białymstoku wystawia komedię Rittnera „Wilki w nocy". Reżyseria: Z. Mak. Scenografia: W. Czaplanka. W rolach głównych: M. Szul i D. Rymarska.

* Upały nie przeszkodziły mieszkańcom Łomży, Grajewa i Ełku w tłumnym i entuzjastycznym przyjęciu słynnego kapitana Klossa, czyli Stanisława Mikulskiego. Aktor występował w dniach 2—4 sierpnia w ramach imprezy „Tele-radio-rytm" wespół z B. Paprockim, J. Wejcmanową, H. Ruckim, P. Szczepanikiem, A. Kossakowską i A. Seroczyńskim. Oprawę muzyczną imprezy wykonał białostocki zespół pod kierownictwem J. Tomzika.

* Dwaj plastycy białostoccy, Sławomir Chudzik i Jerzy Lengiewicz, wzięli udział w VII Międzynarodowym Plenerze zorganizowanym w Osekach koło Koszalina. Plener był poprzedzony wystawą ich malarstwa — „Konfrontacje 69".

KIELCE

* Wrzesień to na Kielecczyźnie miesiąc rozmaitych jubileuszy. M. in. obchodzone będzie 400-lecie Rakowa. W programie: sesja popularnonaukowa, poświęcona działalności arian, odsłonięcie płyty pamiątkowej, występy zespołów regionalnych. Natomiast w Nagłowicach powstał Gromadzki Komitet Organizacyjny, który przygotowuje obchody związane z jubileuszem Mikołaja Reja.

* W Skalbmierzu (pow. kazimierzowski) trwała w dniach 2—3 sierpnia sesja historyczna związana z jubileuszem 25-lecia utworzenia Partyzanckiej Republiki Pińczowskiej.

* W Bodzentynie wzniesiony będzie pomnik ku czci partyzantów poległych w walce z hitlerowcami. Projektantem jest inż. Stawiński. Obecnie trwają prace ziemne, wykonywane przez miejscowych ZBoWiD-owców.

* W Muzeum Regionalnym w Radomiu czynna jest z okazji 25-lecia PRL wystawa osiągnięć przemysłu radomskiego.

◆ 8 września będzie otwarta w Kielcach ogólnopolska wystawa twórczości Józefa Szermentowskiego, połączona z seminarium na temat jego malarstwa. Jest to pierwsza w ogóle ekspozycja poświęcona temu artyście. Zorganizowało ją Ministerstwo Kultury i Sztuki, Prez. WRN oraz Muzeum Świętokrzyskie, sesję zaś — kielecki Oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki.

* Mieszkający w Radomiu aktor Teatru im. S. Żeromskiego, Zbigniew Krężałowski, napisał już drugą sztukę telewizyjną pt. „Prowokacja", która ukaże się na ekranach pod koniec br.

LUBLIN

* Na zlecenie Wydziału Kultury Prez. MRN w Lublinie znany reżyser — dokumentalista, Witold Mickiewicz, z Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi ma przystąpić do realizacji filmu „Lublin 69". Scenariusz został już zaakceptowany przez zainteresowane strony. Film wyjdzie z produkcji w przyszłym roku.

* Trwają intensywne prace — na trzy zmiany — przy budowie kompleksu pomników, usytuowanych w obrębie terenów byłego obozu zagłady na Majdanku. Otwarcie obiektu — w drugiej połowie września.

* Z okazji 25 rocznicy wyzwolenia obozu Państwowe Muzeum na Majdanku przygotowuje obszerny IV tom „Zeszytów Majdanka".

* W Świdniku stanie Pomnik Nieznanego Żołnierza. Wiele prac wokół porządkowania miejsca jego lokalizacji wykonali mieszkańcy w czynie społecznym. Odsłonięcie — 1 września.

* Decyzją KW PZPR w Lublinie w br. zostanie utworzona w Łukowie filia Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu z wydziałem filozoficzno-historycznym.

* Rozstrzygnięto konkurs na wspomnienia pod hasłem „Moje 25 lat" ogłoszony przez Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej. I nagroda — Feliks Baran, dwie II — Józef Kusz i Jan Być, dwie III — Barbara Bodakowska i Zbigniew Waldemar Okoń. Spora część prac ukaże się w przyszłym roku w zwartej publikacji.

RZESZÓW

● 9 sierpnia wyjechał do Francji 30-osobowy Zespół Pieśni i Tańca WDK w Rzeszowie. Będzie on uczestniczył w Festiwalu Festiwali Folklorystycznych. W programie zespołu — m. in. wiązanka tańców rzeszowskich i góralskich.

● W 25 rocznicę wyzwolenia powiatu rzeszowskiego odbył się w Głogowie — 3 sierpnia sejmik działaczy kultury z terenu powiatu. Omawiano przemiany kulturalne i społeczno-polityczne, jakie zaszły na tym terenie. Następnie wystąpiły kapele ludowe z Rzeszowszczyzny.

● W sierpniu zanotowano rekordową liczbę zwiedzających Zamek w Łańcucie, w tym wiele wycieczek zbiorowych i indywidualnych z zagranicy. Muzeum to wzbogaciło się ostatnio o cenny obraz francuskiego malarza z okresu Oświecenia — C. J. Vernet'a (1714—1789), przedstawiający „Widok portu w świetle księżyca". Ofiarodawcą jest resort górnictwa, który zakupił dzieło od prywatnego właściciela.

NAJLEPSZĄ FORMĄ TERMINOWEGO OTRZYMYWANIA „KAMENY" JEST PRENUMERATA

Lubelszczyzna – region historyczny

Tadeusz Mencel

Bochotnica, pow. puławski. Fot. Janusz Urban

REGIONALIZM stanowi dzisiaj pojęcie (a zarazem program działania), niezmiernie popularne; w całym niemal kraju obserwujemy budzenie lub kultywowanie świadomości regionalnej w skali województwa, powiatu, a czasem również miasta. Działalność ta podkreśla odrębności historyczne, gospodarcze, kulturalne, obyczajowe oraz tradycje polityczne i społeczne. Szczególnie żywo działalność regionalna zaznaczyła się od czasów obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, kiedy zorganizowano w całym kraju wiele uroczystości rocznicowych w ramach województwa, powiatu lub miasta, uroczystości o charakterze krótkotrwałym lub całorocznym. Wówczas zaczęło sobie zdobywać prawo obywatelstwa pojęcie „ziemi" jako regionu większego (województwo) lub mniejszego (powiat). Mieliśmy więc np. Rok Ziemi Rzeszowskiej, Lubelskiej, ale również obchody ziemi bialskiej, puławskiej, lubartowskiej. Pojęcie „ziemi" stanowi niewątpliwie pewną nieścisłość w znaczeniu historycznym, ale w akcji podnoszenia na wyższy stopień „Polski powiatowej" budzenie świadomości powiatowej z podkreśleniem bogatej i odrębnej przeszłości gospodarczej, politycznej i kulturalnej ma duże znaczenie, dlatego działalność ta niewątpliwie ma cechy wyraźnie twórcze dla kształtowania nowej rzeczywistości regionu i podnoszenia jego poziomu w różnych dziedzinach.

Z drugiej strony w naszych czasach zanikają dawne odrębności obyczajowe poszczególnych regionów, tak charakterystyczny do niedawna folklor. Stopniowo dawne budownictwo wiejskie przenosi się do skansenów, stroje ludowe przechodzą do muzeów lub służą jako wzory dla zespołów ludowych, zanikają dawne wiejskie zespoły muzyczne, a stare pieśni i obyczaje wiejskie przechowują jedynie taśmy dźwiękowe, starannie zbierane przez specjalistów; zanikają garncarze i kowale wiejscy, tradycje pisanek i wycinanek, a wzory sztuki ludowej przejmuje dla celów handlowych CPLIA. Pod wpływem radia, telewizji, szkoły, prasy, literatury — zanikają odrębności językowe, stopniowo zatracają swe tradycje resztki szlachty zaściankowej, wchłonięte przez wielkie przemiany gospodarcze i społeczne kraju.

Zanikają więc odrębności regionalne w dawnym pojęciu. Czy na to miejsce kształtują się nowe odrębności regionów i podregionów?

Dla badacza pojęcie regionu ma ważne i różnorodne znaczenie z uwagi na czynniki geograficzne, gospodarcze, polityczne, językowe, kulturalne. Zresztą nie tylko dla historyka, ale również dla geografa, biologa, geologa, językoznawcy wyodrębnienie poszczególnych regionów o wielu odmiennych cechach ma dużą wartość badawczą. Wynika stąd pewna odmienność podziałów, zależnie od czynników, które biorą pod uwagę poszczególne dyscypliny.

Dla nikogo nie ulegają wątpliwości dawne podziały na regiony historyczne o charakterze podstawowym, jak Pomorze, Mazowsze, Wielkopolska, Śląsk, Małopolska, ale przecież już w okresie dawnej Rzeczypospolitej wyodrębniły się również niektóre mniejsze regiony, jak Podlasie, Krakowskie, Kurpie, Podhale, Pałuki, choć znaczenie ich niewątpliwie było mniejsze.

Rozbiory Polski przerwały w wielu przypadkach dotychczasowy proces kształtowania się regionów, przedzielonych od końca XVIII w. granicami państw zaborczych, podporządkowanych nowym warunkom politycznym, podziałom administracyjnym, zależnościom gospodarczym i wpływom kulturalnym. Czynniki te zatarły wewnętrzną więź niektórych regionów i stworzyły nowe więzi terytorialne. Najważniejsze znaczenie miały bodaj długotrwałe podziały administracyjne i państwowe, które wytworzyły w wyniku przemian gospodarczych pewne nowe cechy niektórych terenów (np. okręg łódzki).

Czy Lubelszczyzna jest regionem historycznym?

Nie sięgając zbyt daleko w przeszłość, warto może wziąć jako punkt wyjścia wiek XVIII, kiedy Lubelszczyzna to przede wszystkim województwo lubelskie obejmujące ziemię lubelską, powiat urzędowski i ziemię łukowską, a więc dość jednolity i nieduży teren między Wisłą, Sanem, Wieprzem i Liwcem, na wschodzie mający granicę na linii Parczewa. Najważniejsze miasta tego regionu stanowiły — obok Lublina — Łuków, Urzędów, Biłgoraj, Kraśnik, Kazimierz, Parczew i Kock. Województwo obejmowało na południu rozległe obszary ordynacji zamojskiej, a na północy liczne osady szlachty zaściankowej, dwie kasztelanie — lubelska i łukowska. Miasto wojewódzkie Lublin było siedzibą Trybunału Koronnego kadencji małopolskiej, co nadawało miastu wysoką rangę w skali krajowej, ale jednocześnie — wpływało na zła opinię województwa. *Województwo lubelskie zawsze sławne przez nieporządne swoje ustawy, przez prawnictwo, które tam duchem obywatelów rządzi, przez skąpstwo, małości, drobności swoje i prywatę partykularnych,* już przecież w końcu XVIII w. wracało do porządku w okresie reform stanisławowskich. Już wtedy Lublin stanowił prawdziwą stolicę całego województwa jako miasto największe i mające w Rzeczypospolitej charakter miasta pierwszej klasy, a przedstawiciele Lublina mieli prawo do udziału w sejmie Rzeczypospolitej. Do Lublina już w tym czasie ciążyła wyraźnie ziemia chełmska z powiatem krasnostawskim, oddzielona od województwa ruskiego przez województwo bełskie.

Pojęcie dzisiejszej Lubelszczyzny zaczęło się właściwie kształtować dopiero w XIX w., kiedy po 1795 r. ziemie na południe i zachód od Bugu aż do Wisły znalazły się pod zaborem austriackim jako część tzw. Galicji Zachodniej, a Lublin stanowił najważniejszy ośrodek miejski części Galicji, leżącej po prawej stronie Wisły, tak jak Kraków części lewobrzeżnej.

Nowe granice Lubelszczyzny wytyczył rok 1809, kiedy w wyniku zwycięskiej kampanii polskiej znalazły się w granicach Księstwa Warszawskiego dotychczasowe cyrkuły austriackie — lubelski, bialski i siedlecki z Galicji Zachodniej oraz cyrkuł zamojski z Galicji Wschodniej, odtąd na stałe związany pod względem administracyjnym z Lublinem.

Cały obszar po prawej stronie Wisły, którego głównym ośrodkiem miejskim był Lublin, stanowił w tym czasie prawdziwą mozaikę różnych obszarów administracyjnych, a nawet państwowych. Była to dawna ziemia sędzyska (woj. sandomierskie), część województwa mazowieckiego, obejmująca ziemię liwską (Liw, Kamieńczyk, Kałoszyn), część ziemi czerskiej z powiatem garwolińskim (Garwolin, Osiek, Stoczek) i warckim (Parysew, Seroczyn, Mińsk, Karczew) oraz część powiatu warszawskiego (Stanisławów, Okuniew). Z dawnego województwa podlaskiego weszła część ziemi drohickiej (Węgrów, Mordy, Sterdynia) i mielnickiej (Międzyrzec). Z dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego obszar ten wchłonął część województwa brzeskiego z Białą, Janowem, Kodniem i Włodawą.

Było to więc terytorium o bardzo różnych tradycjach historycznych, sztucznie połączone początkowo pod władzą austriacką, a po 1809 r. w ramach Księstwa Warszawskiego, powiększone o cyrkuł zamojski (Grabowiec, Tomaszów, Horodło) z dawnej ziemi chełmskiej i części województwa bełskiego.

Obszar ten od 1810 r. był podzielony na dwa departamenty — lubelski i siedlecki, zamienione po 1815 r. na województwa, a od 1837 roku na gubernie. W latach 1845—1867 gubernie podlaska włączono do lubelskiej, a po 1867 r. ponownie utworzono gubernię siedlecką. W 1912 r. zlikwidowano gubernię siedlecką i utworzono gubernię chełmską, która objęła tereny po lewej stronie Bugu i została odłączona od Królestwa Polskiego. Po 1918 r. nastąpiły dalsze zmiany terytorialne, a ostateczna granica województwa lubelskiego została ustalona dopiero po 1944 r.

Te nieustanne zmiany administracyjne w stosunku do terenu stanowiącego zlepek ziem o różnej tradycji, wynikały z polityki państw zaborczych i w dużym stopniu wpłynęły na ostateczne ukształtowanie się terytorium Lubelszczyzny. Istotne znaczenie miały również granice — południowa z Galicią i wschodnia z Wołyniem i Polesiem, które były jednocześnie granicami państwowymi z Austrią i Rosją aż do 1918 r. Od zachodu Wisła dzieliła Lubelszczyznę od ziemi sandomierskiej. Granice te wobec słabego rozwoju komunikacji służyły wykształceniu się odrębności Lubelszczyzny zarówno w dodatnim jak ujemnym znaczeniu.

Ludność Lubelszczyzny wykazywała niemal przez cały ten okres cechy terytorium granicznego, przejściowego, gdyż powiaty wschodnie (bialski, parczewski, chełmski, hrubieszowski, tomaszowski) były zamieszkałe w dużej części, zwłaszcza na wsi, przez ludność obrządku unickiego (greckiego). Zresztą przez cały wiek XIX obydwie grupy ludności, polska i ruska, nie przejawiały żadnych antagonizmów narodowościowych, a w miasteczkach powszech-

Dokończenie na str. 14

Sprawy historyków

Futurologia ma kolosalną przyszłość

Zygmunt Mańkowski

W 1969 roku przy Polskiej Akademii Nauk utworzono komitet dla spraw prognoz na rok 2000. Stanowi on zalążek przyszłego instytutu futurologicznego, tj. placówki naukowej (sic!), mającej się zajmować programowaniem (prognozowaniem — ?. Obecnie wyodrębnia się nowa dyscyplina naukowa, zwana prognozologią) bytu ludzkości w nadchodzącej erze „komputerów i rakiet". Instytuty takie powstały już wcześniej w najbardziej zamożnych krajach (np. w Stanach Zjednoczonych) i przywiązuje się do ich pracy dużą wagę. W ich skład wchodzą eksperci wielu specjalności naukowych, a przede wszystkim demografowie, ekonomiści, socjologowie, specjaliści od gospodarki wyżywieniowej, oceanografowie, psycholodzy, chemicy, fizycy itd.

Brak jednak wiadomości, czy zatrudniono tam historyków. Ci bowiem od wieków uchodzą wyłącznie za badaczy przeszłości, a produkt ich pracy jedynie za środek zaspokajania ciekawości ludzkiej, poszerzania horyzontów myślowych człowieka lub kształcenia jego charakteru. Wartość pragmatyczną historii jako nauki, mogącej służyć przyszłości, kwestionowano natomiast już wielokrotnie. Ostatnio prof. Witold Kula na łamach czasopisma „Polska", odpowiadając na zadane sobie pytanie „czy historia jest nauczycielką życia (magistra vitae)", formułuje następujący pogląd:

Nie, jeśli będziemy w niej szukać recept, jak zachowywać się w różnych sytuacjach, sytuacje bowiem się nie powtarzają. Tak, jeśli będziemy w niej szukać wiedzy o współzależnościach społecznych procesów. Zakumulowane doświadczenie ludzkości (historia) *i znajomość tego doświadczenia* (nauka historyczna) *nikomu recept nie dostarczy. Nikogo nie zwolni od popełniania nowych błędów, choć źle gdy często nie zabezpiecza przed powtórzeniem starych. Częściej przestrzeże czego nie robić — niż podpowie co robić. Częściej pozwoli przewidywać trudności jakie powstaną — niż podpowie środki zaradcze. To niewiele? Zawsze to więcej niż nic.*

Pogląd ten, aczkolwiek nie deprecjonujący — jest jednak skrajnie minimalistyczny. Polemizuje on zresztą z wieloma bardziej ekstremistycznymi osądami o roli, jaką w życiu ludzkości odgrywa tradycja oraz *zakumulowane doświadczenie ludzkości* (historia). Oto niektóre z tych poglądów: *Byłoby lepiej dla świata gdyby zdołał zapomnieć przeszłość, stracić pamięć i patrzeć w przyszłość nie oglądając się wstecz* (Paul Valery); *Wyzwolenie od balastu historii jest niezbędnym warunkiem swobodnej twórczości i tworzenia nowych wartości kulturowych... Człowiek natomiast dźwiga wielkie i coraz większe brzemię przeszłości; gniecie go ono na dół lub przegina w bok, przytłacza jego chód niby ciężar niewidzialny i ciemny* (F. Nietzsche). W XIX wieku pojawiła się doktryna antyhistoryzmu, która marzyła o *przyszłości bez przeszłości*, o posuwaniu się *naprzód skokami*, o zerwaniu *związków z przeszłością i ciągłością* procesu dziejowego, a jako warunek stawiała odwrócenie się od historii, która fatalistycznie utrwala złe tradycje w kolejno przechodzących pokoleniach.

Osądy podobne rodziły się zawsze jako produkt refleksji nad *mrocznymi skłonnościami* gatunku ludzkiego, a przede wszystkim nad uderzającą nieumiejętnością *urządzania swego życia według zasad rozumu i logiki*. Analizując dzieje ludzkości, historiozofowie od dawna już dostrzegali w nich zjawiska *przeczące zasadom rozumu* — gwałt, niesprawiedliwość, bezsens. Czymże bowiem mogą oni wytłumaczyć np. fakt, że w ciągu ostatnich 6 tysięcy lat istnienia ludzkości na ziemi było około 14 tys. wojen, w których toku zginęło ponad 3 miliardy ludzi, tj. więcej, niż obecnie zamieszkuje kulę ziemską? Że w ciągu ostatnich 3 500 lat jedynie 292 charakteryzowały się względnym pokojem?

W historii ludzkości niejednokrotnie snuto *utopijne* i *romantyczne* pomysły urządzania świata. Postulowano więc *republiki słońca* i *republiki rządzone przez filozofów i uczonych*, nakłaniano do powrotu do idylli człowieka pierwotnego, epoki jaskiniowej. W czasach wielkich przewrotów — w rewolucjach społecznych, na marginesach realistycznych dążeń i przedsięwzięć, koncypowano *szturmowanie nieba* bez żadnych konsekwencji, logiki i liczenia się z determinantami. Postulowano więc nowe stosunki moralne, nowe kalendarze i religie, rzucano hasła zniszczenia dotychczasowych narzędzi produkcji (teoria „jaskiniowców"), zburzenia raz na zawsze aparatu władzy, wyrzeknięcie się nakazów prawnych (anarchizm) itp. Słowem — podejmowano próby odcięcia się od tradycji, od *żelaznych konsekwencji historii* i praw rządzących życiem społecznym. Ale świat urządzać można jedynie na takich podstawach. Znajomość *zakumulowanego doświadczenia ludzkości* i istniejących obiektywnie i niezależnych od woli człowieka praw, rządzących tym życiem, jest bowiem podstawowym warunkiem jakiegokolwiek powodzenia w tej ważnej dla przyszłości dziedzinie.

Takie właśnie zadania przed nauką historyczną stawia np. wybitny filozof polski prof. Tadeusz Kotarbiński:

Historia poucza, co robić, a czego nie robić, powołując się na dziejowe doświadczenie; tłumaczy, z czego i jak powstała rzeczywistość obecna i ku czemu dąży mocą nabranego rozpędu; uświadamia o prawidłowościach stawania się, dziania w dziejach; powiadamia wreszcie o tym, jak było, jak bywało, charakteryzuje struktury i style bytu, wyświetla genezę i przyczyny wymienionych zdarzeń i urządzeń i ukazuje doniosłość wydarzeń wcześniejszych dla tego, co nastąpiło po nich. Z wymienionych zadań najbardziej by się zbliżało do palących konieczności zadanie pierwsze, pouczanie o tym co robić, a czego nie robić.

Podobne zadania historii wykreślał historyk T. Wojciechowski. Pisał on, że historia chroni przed *marzeniami* i *złudzeniami*, oszczędza zbędnych zawodów i rozczarowań, pomaga w realistycznym kształtowaniu przyszłości, sprowadza ludzkie dążenia na grunt realizmu.

Przeświadczenie o ważkiej roli historii jako nauki, służącej nie tylko kultywowaniu przeszłości jako takiej, przenika wydane ostatnio wybitne dzieło J. Topolskiego „Metodologia historii". Autor, wychodząc z marksistowskiej teorii historii, po raz pierwszy w takim zakresie, wprowadza do jej warsztatu nowe, przejęte od nauk ścisłych techniki badawcze, których zastosowanie powinno nadać nauce historycznej cechy dokładności i sprawdzalności niemal laboratoryjnej.

O historii jako nauce zwykliśmy mówić od czasu pojawienia się materializmu historycznego (marksizmu). Doktryna ta, wykrywając obiektywne prawa rządzące życiem społecznym, umożliwiła nie tylko uporządkowanie dotychczasowego procesu dziejowego i zrozumienie wektorów oraz determinantów przemian w tym procesie, ale przede wszystkim naukowe przewidywanie ogólnych trendów, ku którym zmierza ludzkość. Marks, analizując przeszłość i budując teorię formacji społecznych, nakreślił ogólną wizję najbliższej przyszłości świata — formację socjalistyczną. Wizja ta, przejęta przez międzynarodowy ruch robotniczy jako program, okazała się w pełni sprawdzalna. W kilkadziesiąt lat później światem wstrząsnęła rewolucja socjalistyczna w Rosji, w której toku rozpoczęto modelować nowe stosunki społeczne, zgodne i wynikające z ogólnych tendencji procesu dziejowego. Ten właśnie fakt w sposób ostateczny udowodnił pragmatyzm i utylitaryzm historii jako nauki.

Obecnie, w dobie przejawiania się prób deprecjacji nauk humanistycznych, a w tym i historii, uświadomienie sobie roli i zadań historii jako nauki wydaje się niesłychanie ważne. Trudno bowiem sobie wyobrazić, by w zespołach, programujących przyszłość ludzkości, zabrakło specjalistów, znających dokładnie *zakumulowane doświadczenia z przeszłości* i wyprowadzających z nich konstruktywne wnioski. Rzecz idzie tu o rangę nauk historycznych, ich rolę i przyszłość. Współczesny świat, zafascynowany imponującym postępem techniki, jakby zapomina, że maszyny nie będą w stanie rozwiązać najważniejszej dla człowieka sprawy — sprawy stosunków międzyludzkich, organizacji więzi społecznych i zapewnienia warunków pełnego rozwoju osobowości człowieka i uchronienia go od samozagłady.

Historycy na ogół zdają sobie z tego sprawę. Świadczy o tym wyraźny wzrost zainteresowania się teorią nauki historycznej i historiozofią. Szczególnie ta ostatnia dziedzina podejmuje wysiłki spojrzenia na dzieje ludzkości z punktu widzenia ogólnych tendencji, które towarzyszą ludzkości od zarania jej dziejów, do czasów dzisiejszych i na przyszłość. W jej obrębie wykształciły się swoiste modele poglądu na dzieje świata: katastroficzny (Bierdiajew, Sorokin, Spengler, Toynbee) i optymistyczny (Turgot, Coudorcet, Saint Simon, Marks, Engels).

Marksistowska teoria rozwoju kładzie wyraźnie nacisk na wykazanie bezpodstawności wszelkich koncepcji, sprowadzających rozwój społeczeństwa ludzkiego wyłącznie do postępu naukowo-technicznego, pomijających płaszczyznę społeczno-ekonomiczną. Nadaje to nauce historycznej rangę nauki istotnej w programowaniu przyszłości ludzkiej rodziny.

NOKTURN W SAMO POŁUDNIE

Henryk Pająk

WIĘC pamiętam, co uzgodniliśmy z tym facetem zarażonym zapachem piwa i filozofią barów trzeciej kategorii, gdy pogadując czekaliśmy na ostatni autobus z Chełma.

Nie nazwał tego tak właśnie, ale przekonał mnie, że czas przewalił się nad Wierzchowinami jak krowa nad pastuchem, gdy ogłupiała z gorąca zagzi się wściekle ku chłodnej czeluści obory. A teraz znów czuję, że wybrałem na to złe porównanie, bo pastuch podnosi się, prostuje potłuczone gnaty i wraca do chałupy, a Wierzchowiny zostały na miejscu i twierdzę, otóż właśnie twierdzę, że jeszcze się nie podniosły. Bo co to jest dwadzieścia pięć lat wobec zbiorowej śmierci dwustu mieszkańców Wierzchowin roztrzaskanych kulami dum-dum, w chałupach, stodołach, na drogach i polach, a także w kołyskach?

Żeby ten czas zawrócić, wystarczy zajść do biblioteki, poprosić o rocznik gazety, przewrócić kilka zrudziałych kart. Nie, już nikt nie pamięta, że w środę, szóstego czerwca 1945 roku, kino „Bałtyk" w Lublinie wyświetlało film produkcji polskiej pt. „Profesor Wilczur" z Junoszą Stępowskim w roli głównej, że tego dnia seanse rozpoczynały się o godzinach 12.30, 14.30, 16.30 i 18.30. Nikt też nie pamięta, że w innym punkcie miasta, w Instytucie Muzycznym, o tej samej godzinie położyła ręce na klawiszach słynna pianistka Wanda Łosakiewiczówna. Wykluczone również, aby komuś utkwiły słowa recenzji z tego koncertu, choć przecież Maria Bechczyc-Rudnicka pisała ze swadą: *...W części poświęconej utworom Chopina wolałoby się usłyszeć inny nocturn zamiast Nocturnu c-moll do którego nasi artyści zdradzają ostatnio nieuzasadnioną predylekcję. „Tarancella" Liszta, w której brzmią akcenty pokrewne elementom rapsodii, była wykonana z zacięciem wirtuozowskim...*

No więc zapytajcie teraz, w pierwszej lepszej chałupie w Wierzchowinach, wsi zagubionej na krańcach powiatu krasnostawskiego, co w niej działo się dnia szóstego czerwca 1945 roku, o której to było godzinie, jak się zaczęło. Odpowiedzą nawet ci kilkunastoletni, zakocani w „Selgach" za 1300 złotych, właśnie oni, których nie było jeszcze na świecie, a niektórzy ich rodzice jeszcze wtedy o Wierzchowinach nawet nie słyszeli. Opowiedzą szeroko, dokładnie, a przy tym beznamiętnie, co jest już mniej zdumiewające. Bo taka jest właśnie ranga wierzchowińskiego czasu i wierzchowińskiej pamięci, ranga zdarzeń, co przeszły z ojca na syna jako kożuch, niemożliwy do zdarcia w jednym pokoleniu.

Otóż to. Gdy w kinie „Bałtyk" profesor Wilczur rozpoczynał o godzinie 12.30 swój ckliwy życiorys, tak potrzebny widzowi leczącemu się z sześcioletniej grozy śmierci, gdy pianistka Wanda Łosakiewiczówna być może po raz pierwszy po wojnie wkładała wieczorową suknię, przygotowując się do koncertu, właśnie wtedy w Wierzchowinach rozegrał się w samo południe koszmarny nocturn: padały salwy, bił w niebo krzyk mordowanych, a młode kobiety i panny, jak później stwierdzi dyskretny protokolant wojskowy, zabijano w pozycji leżącej. Ów czas śmierci galopował nad Wierzchowinami przez dwie godziny. Nadciągał od Żdżannego na kilkuset furmankach, z czerwonymi różami w kieszonkach i klapach bandyckich mundurów, wjechał w wieś spokojnie a pogodnie, i naraz rozprysnął się krwawo jak kula dum-dum, co z ludzkiej głowy potrafi uczynić bezkształtny strzęp. Potem wataha „Sokoła", wykonawszy dzieło z „zacięciem wirtuozowskim", choć pijana spirytusem z rozbitej gorzelni, skrzyknęła się sprawnie i odjechała w kierunku Kasilanu, bo już-już słychać było samochody wojsk, nadciągających od Krasnegostawu i Chełma.

Gdy poszli, niewiele osób podniosło się z ziemi, z klepisk i pobłóg. Zsunął się z przypiecka i dał nura w zboże chłopak, co widział śmierć 19 osób w chałupie Pilipczuka. Wyszła cało Dudziakowa z matką i córką. Wyczołgała się spod ciał jakaś dziewczyna, wyjrzał spod liści łopuchu dwuletni synek Kniaziukowej. Zostało kilka rodzin, których nazwiska nie kończyły się na „uk". Ci, którzy przebywali poza wsią, odważyli się wejść dopiero z wojskiem, razem z wojskiem odeszli również w inne strony, pozostawiając na pastwę losu ryczący z głodu dobytek, rozprute pierzyny, pogruchotane sprzęty. Nad Wierzchowinami rozpostarło się niewzruszone milczenie krainy śmierci. A żniwa szły, wiatr przyginał ku ziemi fale pustych jeszcze kłosów, zapola stodół czekały na pierwsze ziarno w wolnej ojczyźnie. Kto je teraz skosi, czyje ręce zwiążą i zwiozą? Niedługo potem „Sztandar Ludu" napisze: *Żniwa przed nami. Ziarno rzucone w ziemię jeszcze w okresie wojny, zebrane będzie już w czasie pokoju. Brakuje ludzi, nie ma koni, krów i sprzętu, bandy strzelają do żniwiarzy.* Niedługo potem ukaże się rozkaz Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego: *Rozkazuję wszystkim oddziałom Wojska Polskiego akcję żniwną uważać za podstawowe działanie bojowe. Szczególnie należy pomóc w zbiorach rodzinom poległych i partyzantów, wdowom i sierotom... Całkowicie należy zebrać plony na ziemiach bezpańskich lub opuszczonych przez właścicieli... Żołnierzy i oficerów WP wybitnie zasłużonych na polu organizacji akcji żniwnej przedstawić do odznaczeń.*

Tak, niedługo potem...

* * *

Niedługo potem ta sama gazeta doniesie: *Szajka morderców Wierzchowin zlikwidowana. Zabito 166 bandytów, dowódcę „Sokoła" oraz zastępcę jego, mianującego się kapitanem „Szarym". 41 bandytów ujęto...*

...Zabito 166 bandytów. Za kogo więc modli się Magdalena Dudziak? Za jednego z tych 166 zabitych czy 41 schwytanych? Bo Dudziakowa za dwóch modli się codziennie przez tyle lat, tak powiedziała mi jej córka Irena, gdy siedząc przy rodzinnym stole, słuchałem grozy. Tu, gdzie siedzimy, ważyły się losy niespiesznej opowieści o dwóch godzinach połowy rodziny Dudziaków. Życie drugiej zawisło na spuście automatu w chacie Chyczków, do których Magdalena zaszła na pogwarki z ośmioletnią wówczas Irenką. Opowiada o tym matka, Irena dorzuca tylko szczegóły, bo w dziecięcą pamięć przerażenie wryło się dokładniej. — ...Za jakiś czas wpadł jeden. Rozejrzał się po twarzach, wylegitymował Chyczków, a mnie nawet nie zaczepił. Poleciał do drugiej izby, a tam mieszkała z dziećmi repatriantka zza Buga. Nie wiem, co mu powiedziała, bo raptem wrócił i wrzasnął do mnie: Jakiego jesteś wyznania? — Prawosławnego — mówię szczerze, bo wiem, o co chodzi i że moja godzina wybiła. — Dowód! Nie mam dowodu! — Dowód, liczę do trzech! — Panie, nie mam dowodu! — To wychodź na podwórze! I ty też — niby do Irenki...

— Tak powiedział — potwierdza jak echo Irena, a matka ciągnie dalej:

— Wtedy, już w drzwiach, usłyszałam Chyczkową: Panie, przecie to niewinna kobiecina, z czworgiem dzieci głoduje. Niemcy jej chłopa zabili... Prowadził mnie przodem, zaraz za drzwiami usłyszałam, że odbezpiecza karabin, dokoła słyszę krzyki i strzały, za płotem już leżą nieżywi sąsiedzi Chyczków. I wtedy właśnie coś mi w piersi, z tego żalu za życiem, jakby zupełnie pękło, bo zobaczyłam podwórko, gdziem wyrosła, a dalej całe pola Wierzchowin, całe to swoje życie i swoje dzieci... Odwracam się, rzeczywiście, już do mnie celował, więc krzyczę: Za co mnie zabijasz, co ona ci winna? — i pokazuję na bladą jak ściana Irenkę... Zatrzymał się. Opuścił trochę karabin i choć byłam pół żywa z rozpaczy, zobaczyłam, jak w jego twarzy coś się jakby obluzowało, zrobiło normalne, ludzkie. — Kiedy ci zabili męża? — Piętnastego sierpnia — powiadam. — Za co? — Za partyzantkę. — Za jaką? — Nie wiem, za partyzantkę. Chyczkowa może zaświadczyć, piętnastego sierpnia zabili go, za dworem...

Przerwa w opowieści. Kilka oddechów dla zadyszanej piersi. Łzy w oczach...

— No widzi pan, nie wszyscy byli u nich tacy. Tego mojego ruszyło sumienie. Namyślił się i powiada: stać tu za szopą i ani mru mru. Powiedział tak i poleciał. Przestałyśmy obie przez całe to piekło, aż wszystko ucichło, aż wszyscy odjechali...

— A w tym domu, co teraz jesteśmy — uzupełnia Irena — była nasza babka i kupa kobiet z naszej rodziny. Wpada jeden. — Dawać dowody, bo strzelam! A pijany był podobno jak bela. Pokazali. Obejrzał i mówi: nie da rady, muszę was wystrzelać, taki prykaz! Zaczęły go całować po rękach, obejmować za nogi. I widzi pan, tego też sumienie ruszyło. — No dobra, macie szczęście, bo ja jeszcze nigdy baby nie zabiłem. Kładźcie się na podłodze i nie podnosić głów! Wypadł na podwórze i wystrzelił parę razy. Jak tylko wyszedł, babcia podniosła się i wyjrzała oknem. Patrzy, a tu drugi leci od drogi z nożem, a ręce miał już upaprane we krwi, bo u Pawluczuków był. Ale właśnie pod oknem spotkali się obydwaj. Ten pierwszy, co kazał im kłaść się na podłodze, machnął do niego ręką, że niby wszyscy w chałupie gotowi. Tamten zatrzymał się. Jeszcze widziała, jak obydwaj wyciągnęli ze studni wiadro wody, jak długo pili, a potem poszli dalej...

Patrzę teraz na twarz kobiety, która przez dwadzieścia kilka lat modli się za tamtych dwóch i nadal jest przekonana, że jeszcze nie spłaciła długu za tamte dwa kapryśne, pijane gesty. Od tych gestów zależało jednak, że siedzimy oto w rodzinnym gronie Dudziaków, powiększonym przez dwoje dzieci Ireny. Młodsze obudziło się, przytruchtało do matki i patrzy na obcego z dziecięcą zachłannością. Ciepło jego nagiego ciała miesza się z ciepłem izby i upałem czerwcowego popołudnia. A przecież śmierć powiała lodowatym chłodem w tej izbie, przeszła przez nią jakże blisko. Kto inny siedziałby w tej izbie, inne dziecko przytulałoby się do matki, inne wspomnienia wypełniałyby to spotkanie. Jak w chacie Kondraciuków, choć ludzie opowiadają, że Kondraciuków mieli zostawić w spokoju, tylko młody nie wytrzymał i jak szli do nich, strzelił do oficera. Jak w domu Głowackich, wymordowanych do trzeciego pokolenia. Jak w dziesiątkach innych domów, których już nie ma, po których zostały tylko kępki bzów w nieistniejących już ogródkach, zarysy fundamentów i stare studnie z obłupanymi kręgami.

* * *

Kto chce zobaczyć naraz całe Wierzchowiny, od Stachniuków do sołtysa, 130 dymów razem z kolonią, polami i łąkami, musi wejść na sam wierzch, to znaczy na górę, gdzie przed wiekami rozsiadł się rycerski zamek, potem pańska rezydencja Smorczewskich, a na koniec piękna szkoła Tysiąclatka, dar żołnierzy KBW, otoczona rozległym ogrodem. Od tego wierzchu, górującego nad okolicą, wzięła się chyba nazwa Wierzchowin, bo dwór znacznie górował nad wsią. A wygląda to w ten sposób: dwa łagodne, równoległe do siebie wzniesienia, przedzielone w dole pasmem łąk i rzeczką. Dawniej te łąki były bagnem nie do przebycia, a w łąkę zamieniły się dopiero po regulacji rzeczki i usypaniu wysokiej grobli. Na jednym wzniesieniu zasiedli Smorczewscy, aby mieć wszystko na oku i patrzeć na wieś z góry i z dystansu, należnego rodzinie nobilitowanej przez samego papieża. Otoczyli dwór wiankiem starannie dobranych drzew, a gdy wystrzeliły w pnie stuletnie, uwolniły tę uroczą oazę zarówno od wyziewów bagna z lewej i oparów gorzelni z prawej strony, a także od widoku pługawych czworaków za plecami dworu, gdzie zawsze kłębiła się chmara dzieciaków, a gnojówkę czuć było na sto metrów. Na drugim posypały się ciurkiem chałupy gospodarzy. Ci zawsze z uszanowaniem czapkowali panu, lecz na służbę folwarczną, na dworusów, patrzyli z pogardą, bo tamci i wyznanie mieli inne i dusze zaprzedane dworowi. Po latach i wiekach, właśnie w samo południe 1945 roku, dworusy ze zgrozą patrzyły przez szpary w parkanie, jak dopełnia się los drugiego wzgórza. — To za Dębinę — pomyślał niejeden, bo wcześniej, podczas napadu na wieś Dębinę, padło kilku z tajemniczej bandy i dwóch z nich podobno było z tamtego wzgórza. Więc nic dziwnego, że jeszcze piętnaście lat po wojnie dzieci przezywały się: ty dworusie, ty zabużniaku, ty dziadu, ty chachle, aż wreszcie kierownik szkoły Wysocki, który siedzi tu od 1947 roku, w stół na zebraniu rodzicielskim grzmotnął pięścią siarczyście i powiedział dobitnie, co o tym myśli, bo to idzie z domów, od starszych.

Obydwa wzgórza łączy teraz owa grobla z drogą do Chełma. Po lewej, zaraz za mostem, czerwień wielkiej jak kościół gorzelni. Do niej wjechał konno oficer „Sokoła", gdy już skończyli robotę, i zażądał nowej porcji spirytusu. Dalej, do dworu i czworaków, nie szli. Wystarczyło kilka erkaemów, niedwuznacznie wyrychtowanych na drzewa parku i czworaki.

* * *

— Więc chce pan napisać reportaż o naszych Wierzchowinach? — zastanawia się głośno kierownik Wysocki. Siedzimy w obszernym pokoju na piętrze dworku. Wdrapaliśmy się tutaj po zbutwiałych i stromych schodach, żeby schronić się przed tumultem przygotowań do kolonii dzieci WZSP. Budowla jest zrujnowana, wapienne ściany pękają, a całe skrzydło już rozebrane, bo groziło zawaleniem. Dzieci będą mieszkać w Tysiąclatce, będą miały basen, ten ogród rozległy i okoliczne lasy. — Ja myślę, ciągnie kierownik, że powinien pan przede wszystkim przypomnieć, bo tu ludzka pamięć jest cała zwrócona do przeszłości, pomimo, że tamtych niewielu zostało. Większość to ludzie nie z tych stron. W parę miesięcy po napadzie już wieś był pełna. Dobra ziemia ciągnie, a leżała wtedy odłogiem, tylko brać. Niech pan koniecznie napisze, jak Wierzchowiny powstały, bo to ciekawe. Widział pan chyba niektóre twarze tych, co ocaleli?

— Właśnie, zastanowiły mnie wystające kości policzkowe, krucze włosy, smagła cera i jakieś takie dziwne, ostre spojrzenia czarnych oczu...

— Opowiadał mi proboszcz ze Żdżannego, który wygrzebał to ze starych kronik kościelnych. A było tak. Za Łokietka był na tym wzgórzu zamek rycerski i trochę chat. Tatarzy napadli parę razy i ludność przeniosła się tam, gdzie teraz jest wieś Żdżanne. Aż wreszcie wzięto do niewoli sporą watahę Tatarów i osadzono ich w pobliżu zamku. Jednego dali do kowala, był więc Kowalczuk, drugiego do młynarza, zrobił się Młynarczuk, trzeciego do ogrodnika, i tak powstał Ogrodniczuk. Z czasem krew się wymieszała i stąd te rysy dawnych mieszkańców Wierzchowin...

— Ale wróćmy do współczesności — przerywam tę opowieść. — Dlaczego np. tak mało ludzie budują w Wierzchowinach? Widziałem wszystkiego może trzy nowe domy.

— To jest rzeczywiście problem Wierzchowin. Powiem od razu — za duży ruch ludności. Jedni osiadają, pogospodarzą kilka lat i znów gdzieś ich ciągnie. Przyjeżdżają nowi, najczęściej z biłgorajskich czy janowskich piachów i zaczynają od nowa. Takim potrzeba kredytów, przeróżnych ulg, materiałów budowlanych. Taki Mękas, Dzieciuch, Bielak, Pachuta, Dyjak — przyjechali parę lat temu i trudno od nich wymagać.

Rys. Edward Inglot

Nowe Wierzchowiny powstaną dopiero za kilka lat. A wie pan, dlaczego? Jak się młodzież pożeni i weźmie za gospodarowanie. A wie pan, ile tego jest? 47 dziewczyn w wieku od 14 do 18 lat i 30 chłopaków. To są dzieci tych, którzy osiedli tu po 1945 roku. Zobaczy pan tę młodzież wieczorem w świetlicy, zejdą się wszyscy, bo w Opolu finał festiwalu piosenkarskiego. Jestem pewny, że niewiele tej młodzieży odejdzie z Wierzchowin. Po ośmiu klasach niełatwo o dobrą pracę w Chełmie czy Krasnymstawie, a tu ziemia czeka. Dobra ziemia, po 5, 6 hektarów na każde gospodarstwo. Trzeba tylko tę młodzież pożenić, ziemię skomasować, bo np. Pilipczuk to rekordzista: ma pole w 30 kawałkach...

* * *

To prawda, festiwal opolski ściągnął kilkadziesiąt osób. Sami młodzi. Wśród nich dostrzegłem syna Pilipczuka, z którym przed kilkoma godzinami rozmawiałem o jego planach kontynuowania nauki w szkole radiowo-technicznej. Dostrzegłem również ciemnooką wnuczkę Tymoniuka, Teresę. Też jedynaczka, jak młody Pilipczuk i też zdawała do szkoły, lecz oblała z matematyki i powiedziała mi, że już trzeci raz nie będzie próbować. Obydwoje są dziećmi tych, którzy w 1945 roku uratowali się tylko dzięki przypadkowi.

Patrzyłem na ich twarze, gdy w kwadracie telewizora pojawili się chłopcy z gitarami, niewiele od nich starsi i zaśpiewali smutną, tak niepodobną do ich młodzieńczych twarzy pieśń o białym krzyżu, co to stoi w szarym polu. „Szli by walczyć o swój dom wśród zielonych pól" — zawodziły głosy, które jeszcze niedawno mocowały się z chłopięcą mutacją. — „Wraca dziś pamięć o tych, których nie ma" — to już ostatnie słowa piosenki, już chłopak uśmiecha się, bo widzi i czuje, że za chwilę jeszcze raz zerwie się grzmot oklasków, po których od miesięcy stąpa triumfalnie ów „Biały krzyż". A gdy skończyli, pomyślałem sobie, że łoskot oklasków należy się nie młodemu zespołowi, tylko tej wstrząsającej strunie pamięci, której tak celnie dotknął autor słów i melodii, temu ściśnięciu gardła, które zawsze przychodzi, gdy grają „Monte Cassino" czy „Rozszumiały się wierzby". Lecz słowa pieśni nie bardzo przystają do Wierzchowin. Mogiła nie w szczerym polu, tylko w środku wsi, a krzyż nie biały, tylko szary i spękany od starości. Ci, którzy tam leżą, nie szli, jak mówi piosenka, by „walczyć o swój dom, wśród zielonych pól". To właśnie do nich przyszli.

To prawda tylko, że dom był wśród zielonych pól, wśród których wyrośli, prawda tylko, że wśród tych pól przyszło im zginąć latem.

Bolesław Wilk

Anatomia drzewa

1

drzewo
zbudowane jest z tkanek
ułożonych jak
karty
w podręczniku
dendrologii
najważniejsza z nich
tkanka wzmacniająca
czyli mechaniczna
która czyni drzewo —
drzewem

2

wewnątrz drzewa
jest nicość
życia
w długości słojów
w sękatym systemie
skończności
w zastygłych ptasich
etiudach
w beznadziejności
płaszczyzn
i przestrzeni
gdzie nawet zapomnienie
nie jest już
bolesne — —
w czeluściach
trumny

Chobrzany

Z perspektywy 50-lecia

Lubelskie środowisko historyczne

Kazimierz Myśliński

LUBLIN nie miał w czasach zaborów szkół wyższych i związany był w tym względzie z jednej strony z Warszawą, z drugiej — głównie ze Lwowem. Tamte ośrodki ukształtowały ludzi, których wolno uważać za twórców tutejszego środowiska naukowego. Należał do nich Hieronim Łopaciński, Jan Ambroży Wadowski i Henryk Wiercieński, od których zaczyna się uprawianie regionalnej historii Lubelszczyzny. Tradycja tych związków utrzymywała się i w dwudziestoleciu międzywojennym. Działający w Lublinie historycy, pracownicy naukowi Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, archiwiści, nauczyciele historii, bibliotekarze, wywodzili się z tamtych głównie ośrodków. Warto przypomnieć nazwiska Leona Białkowskiego, Stanisława Kossowskiego, Zygmunta Kukulskiego, Jana Riabinina, Jana Dobrzańskiego, badaczy, redaktorów, wydawców, organizatorów akcji odczytowych — wszystko to spoczywało na ich barkach. Z ich inicjatywy powstało Lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Polskie Towarzystwo Historyczne i pisma: „Region Lubelski", a potem „Pamiętnik Lubelski". Oni byli duszą większości ówczesnych inicjatyw naukowo-badawczych.

Nie tylko zresztą Lublin ściągał historyków-badaczy. Ośrodki badawcze powstały w Zamościu, Chełmie, Szczebrzeszynie, żeby wymienić najżywotniejsze. A i w jeszcze mniejszych osiedlach można było spotkać historyków-regionalistów, zbierających materiały do dziejów swoich miast i wsi i podejmujących się bardzo ambitnych nieraz zadań. Wielu z nich działało jeszcze po ostatniej wojnie i zdobyło poważne miejsce w dziejach nauki. Z nich na wymienienie zasługuje Zygmunt Klukowski ze Szczebrzeszyna, wydawca niezmiernie interesujących źródeł do lat okupacji na tamtejszym terenie.

Najpoważniejszym kierunkiem zainteresowań tych badaczy była historia regionalna Lubelszczyzny. Do dziś nie straciły wartości zwłaszcza wydawnictwa źródłowe do dziejów Lublina, przygotowane przez Białkowskiego i Riabinina. Problem reformacji badał Kossowski, epokę renesansu Ludwik Zalewski, szkolnictwo Jan Dobrzański. Wiele prac dotyczyło lubelskiego rzemiosła w dawnych wiekach, udziału Lubelszczyzny w powstaniu kościuszkowskim i w powstaniach narodowych XIX wieku. Wymieniamy, oczywiście, tylko główne problemy. Nie udało się natomiast historykom lubelskim dwudziestolecia dojść do syntezy dziejów Lublina i Lubelszczyzny, tak że nawet uważny czytelnik nie miał bynajmniej pewności, czy stanowiła ona istotnie historycznie ukształtowany odrębny region, jak np. Śląsk, Pomorze czy Mazowsze. Na postawienie i rozwiązanie takiego problemu potrzeba było nierównie bardziej rozwiniętego ośrodka badawczego niż ten, który tu wytworzył się przed wojną.

Po przerwie okupacyjnej stworzono w Lublinie warunki powstania silnego i samodzielnego ośrodka naukowego. Obok istniejącego nadal KUL powstał w 1944 roku Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, dzieło Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Absolwenci obu uczelni znaleźli się w tutejszych archiwach i bibliotekach, muzeach, szkołach i innych placówkach grupujących historyków. W sumie ponad stu historyków starszego i młodszego pokolenia można było skupić przy kilku głównych problemach badawczych. Starsi przybyli z innych, większych ośrodków uniwersyteckich: z Warszawy, Krakowa, młodsi są w ogromnej większości wychowankami tutejszych katedr. Ich pracę umożliwiają bogate zasoby archiwalne Wojewódzkiego Archiwum Państwowego, Archiwum Kurii Biskupiej, a także działy rękopisów bibliotek i niektórych innych instytucji. Biblioteki uniwersyteckie i Publiczna Biblioteka Wojewódzka i Miejska im. Hieronima Łopacińskiego dysponują niezbędną literaturą naukową. Ukazują się pisma: „Rocznik Lubelski", „Annales UMCS", „Roczniki Humanistyczne", a i „Kamena" oraz miejscowe gazety nie skąpią swoich łamów historykom.

Rezultatem jest dorobek lubelskiego środowiska historycznego. Nie sposób tu wyliczyć czy wymienić wszystkich szczegółowych tematów, czy choćby większych problemów, podejmowanych w pracowniach historyków w ostatnich dwudziestu pięciu latach. Z konieczności wypada się ograniczyć do charakterystyki ogólnych kierunków zainteresowań i wymienienia problemów najważniejszych.

Na pierwszym miejscu znajduje się historia Lubelszczyzny. Określane tym terminem terytorium nie było w minionych wiekach jednostką jednolitą, ani w sensie przynależności administracyjnej, ani — co ważniejsze — w sensie odrębności kultury. Przez stulecia jego poszczególne części wchodziły w skład województwa sandomierskiego, ruskiego czy bełskiego, skrawki północne należały do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Historyk musi najpierw odpowiedzieć na pytanie, czy jedność tego obszaru i jego historyczna indywidualizacja była dziełem dopiero XIX wieku i wynikiem administracyjnych decyzji władz zaborczych, czy też stworzyły ją już czasy dawniejsze. Gdyby zaś znalazł podstawy do przyjęcia tej drugiej możliwości, wtedy powinien wskazać historyczny okres, czy nawet ściślejszy moment czasowy, od którego można mówić o jedności tego obszaru z punktu widzenia gospodarki i kultury. Szczególnego znaczenia nabiera sprawa czynników integrujących cały obszar między Wisłą środkową i Bugiem, przy czym wyjaśnienie roli Lublina, jako największego ośrodka miejskiego, wydaje się niezmiernie doniosłe. Nie potrzeba dodawać, że odpowiedź na wszystkie te pytania pozwoliłaby zarazem określić rolę Lubelszczyzny w państwie, w porównaniu z rolą innych dzielnic.

Aby odpowiedzieć na pytanie zasadnicze, trzeba było rozwiązać całą masę kwestii i problemów drobniejszych, nieraz o przyczynkowym tylko charakterze. Trzeba było rozwinąć badania nad dziejami Lubelszczyzny od czasów najstarszych, którymi zajmuje się archeologia i mediewistyka, do najnowszych, które historyk bada równolegle z socjologiem i ekonomistą. Dotychczasowe ustalenia i wyjaśnienia nie zawsze zadowalają, wiele z nich nie wyszło poza ramy hipotez naukowych. Niemniej osiągnięcia są duże, co oczywiście nie oznacza, że nie trzeba dalszych poważnych wysiłków.

Badania nad przeszłością tak specyficznego obszaru, jak Lubelskie, mają znaczenie z jeszcze innego punktu widzenia. Lubelszczyzna zmienia się niezmiernie szybko, a rozmiary przeobrażeń rzucają się w oko mocniej, niż w innych, bardziej zaawansowanych w rozwoju województwach. Przeobrażenia widać w rolnictwie, gdzie nowoczesna technika rozsadza niejako stare formy ustroju rolnego, przetrwałe w postaci drobnych gospodarstw indywidualnych, wskazując drogę ku różnym formom zbiorowego i spółdzielczego gospodarowania. Widać przeobrażenia w przemyśle, gdzie obok odziedziczonych po XIX wieku małych zakładów przemysłu rolno-spożywczego powstają wielkie obiekty przemysłowe, budowane na skalę, przekraczającą potrzeby jednego województwa. Zmieniają wygląd wsie i przede wszystkim miasta, zmienia się stan i sieć dróg, dla potrzeb gospodarki i przyszłości; dopasowuje się nawet element tak oporny w ciągu stuleci na wszelkie zmiany jak układ wodny.

Otóż nie może ulegać wątpliwości, że planując przyszłe formy osadnicze, gospodarcze czy ustrojowe, nie można nie zdawać sobie sprawy z tego, że przechodziły one w przeszłości, od swoich początków i genezy, ogromną ewolucję. W toku tej ewolucji szereg elementów przeżyło się i straciło rację bytu, inne jednak ciągle dobrze służą dzisiejszym potrzebom społecznym. Chodzi o to, aby tylko tamte odrzucić, gdy elementy przydatne należałoby zużytkować w budownictwie form przyszłych. Sięgając do przykładów można wskazać choćby na przebudowę miast, przy której nie można nie wydobywać, względnie nie zachowywać, architektonicznych czy urbanistycznych wartości dawnych czasów. Tak postąpiono w zasadzie w Lublinie, Zamościu czy Chełmie, ale nie ma miasta, bodaj najmniejszego, gdzie by nie można było ich znaleźć. Jeżeli tysiące ludzi, szukających letniego wypoczynku, spieszy do Kazimierza, to nie tylko dlatego, że jest to ośrodek wypoczynkowy, lecz chyba w jeszcze większym stopniu z uwagi na walory architektoniczne i urbanistykę tego starego osiedla nad Wisłą. Nikt w równym stopniu, co historyk, nie jest powołany do określenia prawdziwej wartości tych wszystkich elementów przeszłych, które przetrwały do naszych czasów. Kryteriów oceny dostarczyć jednak mogą tylko głębsze badania szczegółowe, owa historia regionalna, która w związku z tym nabiera w naszych czasach wielkiego znaczenia praktycznego.

Nie sposób tu znowu wymienić wszystkich prac historyków lubelskich w tym zakresie. Wystarczy wspomnieć, że na ich dorobek składa się więcej niż sto poważnych rozpraw, zamieszczonych w „Roczniku Lubelskim", „Annales UMCS" i „Rocznikach Humanistycznych", syntetyczne ujęcie dziejów Lubelszczyzny, dwukrotne syntetyczne ujęcie dziejów Lublina, siedem zbiorowych monografii dziejów poszczególnych powiatów, a w opracowaniu znajduje się wielka monografia miast Lubelszczyzny i zarys dziejów wsi lubelskiej od czasów najdawniejszych.

Z badań nad historią regionalną szczególne znaczenie posiadają prace, dotyczące ruchów społecznych na obszarze między Wisłą i Bugiem. Były to najpierw antyfeudalne ruchy chłopskie, szczególnie wyraźne w połowie XVII wieku i charakterystyczne dla ówczesnej sytuacji Rzeczypospolitej, a następnie chłopskie i plebejskie nurty w powstaniach narodowych XIX wieku. W nowszych czasach jest to przede wszystkim rewolucyjny ruch robotniczy, ujawniający się od końca tamtego stulecia, zwłaszcza w okresach wrzenia 1905 i 1917 roku, a po 1918 roku w wystąpieniach robotników, kierowanych przez Komunistyczną Partię Polski, przeciw burżuazyjnym rządom dwudziestolecia. Liczne prace historyków lubelskich wykazały wielką rolę Lubelszczyzny w dziejach polskiego ruchu robotniczego. Rolę proletariatu fabrycznego dużych ośrodków miejskich odgrywali tu w dużej mierze robotnicy folwarczni, a rolę „zaczynu" — idee Wielkiej Rewolucji Październikowej w Rosji, przynoszone przez tysiące ludzi wracających stamtąd do kraju po wojennej tułaczce. Formy rewolucyjnej walki były tu w związku z tym w dwudziestoleciu bardzo ostre. Tematyką tą zajmuje się duża grupa historyków, wśród nich wymienić należy na pierwszym miejscu autora dużej pracy o radach robotniczych 1918 i 1919 r., Stanisława Krzykałę.

Historycy ci zapisali jeszcze jedną kartę dziejów Lubelszczyzny. Jest to tragiczna karta lat okupacji, martyrologii mieszkańców i zwłaszcza dzieci wsi zamojskich, eksterminacji w obozach zagłady w Majdanku, Sobiborze, Bełżcu. Jest to jednak zarazem karta najchlubniejsza, na której czytamy o ruchu oporu i największych w kraju bitwach partyzanckich. Historycy lubelscy wydali grube tomy źródeł do dziejów Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, następnie do dziejów Batalionów Chłopskich. Ponadto zaś w licznych książkach i artykułach opracowali mnóstwo szczegółowych zagadnień. Na podkreślenie zasługuje fakt, że są podkreślenie zasługuje fakt, że są to prawie wyłącznie historycy młodego pokolenia. Reprezentatywne dla całej grupy jest nazwisko Zygmunta Mańkowskiego.

Historycy KUL uczestniczą od lat w badaniach regionalnych i publikują swoje wyniki we wspomnianych miejscowych czasopismach. Mają poważny udział w szczególności we wszystkich monografiach zbiorowych, wydawanych przez Polskie Towarzystwo Historyczne. Mają jednak i własną problematykę badawczą, wynikającą z charakteru uczelni. Jest to problematyka dziejów kościoła w Polsce, przedstawiona ostatnio w dwóch księgach zbiorowych. Nie wchodząc w szczegóły, należałoby podnieść, że u podstaw osiągniętych wyników leży prowadzona od lat kolektywna praca nad atlasem historii kościoła w Polsce. Szczególne znaczenie zdaje się posiadać duży wysiłek, włożony w odtworzenie początków i organizacji kościoła. Także dla historii regionalnej.

W środowisku lubelskim reprezentowana jest również historia powszechna. Jak można się zorientować z prac, publikowanych w czasopismach i w formie książkowej, zainteresowania koncentrujące się na stosunkach społecznych w prowincjach rzymskich w III i IV wieku n. e., na dziejach Słowiańszczyzny Połabskiej w dobie powstawania państwa polskiego, na ekspansji Anglii na Bałtyk w XVII wieku i na stosunkach polsko-niemieckich XIX wieku. Osobno wymienić należy syntezę dziejów powszechnych XIX stulecia, pióra Mieczysława Żywczyńskiego, profesora KUL, który jest przede wszystkim badaczem dziejów powszechnych. Są też w Lublinie prowadzone i rozwijają się badania nad stosunkami gospodarczymi i kulturalnymi, łączącymi Polskę z krajami wschodniej Europy, wchodzącymi obecnie w skład Związku Radzieckiego, a także z innymi krajami, zwłaszcza basenu Morza Czarnego, dawną Mołdawią i Wołoszczyzną, dzisiejszą Rumunią. Badania te w Lublinie, najdalej na wschód wysuniętym polskim ośrodku uniwersyteckim, są szczególnie uzasadnione, a przemawiają za tym także ważne zdarzenia z przeszłości. Przecież właśnie w Lublinie zawarta była unia Polski i Litwy, której czterechsetna rocznica przypada na rok bieżący.

Zrobiliśmy pobieżny z natury rzeczy i ogromnie skrótowy przegląd problemów najważniejszych. Nie mówiliśmy o wielu innych. A zasługiwałyby na omówienie osiągnięcia lubelskich archeologów, etnografów i historyków poruszających zagadnienia nie regionalne, lecz ogólnopolskie, wykraczające poza granice województwa. Ale i tego wystarczy dla stwierdzenia, że zrobiono dużo i zapoczątkowano prace, ważne dla całej polskiej nauki historycznej. Ważne przede wszystkim przez to, że zlikwidowały „białą plamę", jaką Lubelszczyzna — z braku bardziej intensywnych badań — stanowiła do niedawna w polskiej nauce historycznej, że wprowadziły ją niejako na arenę dziejów i pozwoliły określić jej miejsce w polskim procesie historycznym. Ważne i przez to jeszcze, że w procesie przeobrażeń, zachodzących na obszarze między Wisłą i Bugiem, rzuciły na szalę jeszcze jeden, wcale nie najmniej znaczący czynnik: dziedzictwo przeszłości, dorobek duchowy i materialny tej ziemi, źródła postaw uczuciowych mieszkańców Lubelszczyzny, ich patriotyzmu. W tym przecież tkwi praktyczna wartość badań historycznych i ciągła aktualność historii.

Janowiec — komnata w wieży. Fot. St. Siurawska

Regionalizm nowoczesny

Ireneusz J. Kamiński

Z WYKSZTAŁCENIA i praktyki zawodowej Wincenty Piątak jest nauczycielem. Od trzech lat prezesuje Towarzystwu Regionalnemu Hrubieszowskiemu. Poszukuje i gromadzi dokumenty, związane z historią powiatu. Rysuje, projektuje stronę graficzną wydawnictw TRH oraz ekslibrisy. Jest autorem opracowań historycznych i etnograficznych, dotyczących regionu. Zbierał znaczki pocztowe i publikował artykuły w czasopismach filatelistycznych.

Wnicenty Piątak nie jest stereotypowym miłośnikiem ziemi rodzinnej, zbieraczem wszelkich pamiątek na zasadzie, „co podejdzie pod rękę", starszym panem o jowialnym usposobieniu, wygłaszającym od czasu do czasu sentymentem podszyte pogadanki dla władz i dziatwy szkolnej. Poza tym nie pisuje poematów o Ziemi Hrubieszowskiej i nie goni o świcie po ukwieconych łąkach za motylami, aby pod koniec życia podarować co piękniejsze okazy — przy dźwiękach orkiestry strażackiej — lokalnemu muzeum.

Słowem W. Piątak z Hrubieszowa jest typem nowoczesnego obywatela regionu, który swoje powinowactwo krwi — urodził się na terenie powiatu — i społeczną obecność w sprawach dnia dzisiejszego rozumie jako nieustające poszukiwanie i uzupełnienie prawdy o dziejach Ziemi Hrubieszowskiej.

— Nie chodzi w tym działaniu — mówi — o wznoszenie murów wokół zaścianka, o zakamuflowany partykularyzm, latany frazesem w miejscach, obnażających prowincjonalną podszewkę, lecz o stworzenie elastycznego progu do skoku indywidualnej świadomości w Polskę, w świat. Znajomość własnej biografii i wydarzeń, które ją kształtowały, pozwala ludziom uniknąć kompleksu niższości, a także, choć zabrzmi to może paradoksalnie, wyższości. Wydaje mi się, że wiedza historyczna daje rzecz niezwykle cenną: patriotyzm zespolony z otwartym stosunkiem do świata, do innych obyczajów i kultów.

W. Piątak jest postacią bardzo popularną w Hrubieszowie, co w pewnym stopniu wyjaśniają jego wieloletnie związki ze szkolnictwem miasta i powiatu. Mieszka na dalekim przedmieściu, w parterowym domku wśród drzew owocowych, w pewnym oddaleniu od drogi Hrubieszów—Zamość, lecz wystarczy zapytać przypadkowego przechodnia, aby bezbłędnie trafić do prezesa TRH. I tu dopiero następuje istotne uzupełnienie przyczyn popularności W. Piątaka w Hrubieszowie.

Znad jakiejś gospodarskiej roboty podnosi się obnażony do pasa, szczupły mężczyzna, muskularny i opalony, po krótkiej wzajemnej prezentacji prosi do mieszkania, gdzie obrazy i rzeźby „prymitywne" i w takim już „garniturze" toczy wielogodzinną rozmowę. Mówi tak, jak gości: bezpośrednio, otwarcie, bez konwencjonalnych ozdobników. I to chyba m. in. przynosi mu popularność i ludzką sympatię.

Dla dziennikarza jest jednak trudnym partnerem, nie spełnia jego oczekiwań, chętnie mówi — ale nie o sobie.

— Bo widzi pan, o sobie, to nie ma sensu. Cokolwiek robiłem, to zawsze z kolegami z Towarzystwa. Zresztą tradycje ruchu regionalnego są w Hrubieszowie znacznie odleglejsze.

W latach dwudziestych i powojennych działał tu Antoni Wiatrowski, nauczyciel, organizator hrubieszowskiej szkoły zawodowej, pochłonięty jednak przede wszystkim zbieraniem materiałów do historii miasta. W 1957 r. ukazały się jego „Dzieje Hrubieszowa", lecz autor nie ujrzał już dzieła swego życia; zmarł kilka miesięcy wcześniej. Ówczesny podinspektor szkolny W. Piątak wraz z inspektorem K. Chudzińskim przygotowali tę książkę do druku.

A. Wiatrowski był również założycielem hrubieszowskiego Towarzystwa Miłośników Sztuki (1945 r.), które później zostało zlikwidowane z powodu miernej działalności. Wtedy właśnie narodziła się myśl powołania Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, poparta przez władze powiatowe. Wincenty Piątak, jeden z współorganizatorów, opracował statut i w 1960 r. TRH rozpoczęło swój bezprecedensowy na Lubelszczyźnie żywot, ukierunkowany głównie na problematykę historyczną regionu. Taki profil Towarzystwa uzasadniały dwa momenty: bogata tradycja Ziemi Hrubieszowskiej oraz konieczność integracji zróżnicowanego etnicznie społeczeństwa regionu. Jeśli dziś mieszkańcy miasta i powiatu czują się tu gospodarzami, niemała w tym zasługa działaczy TRH.

Program towarzystw regionalnych na Lubelszczyźnie jest od dłuższego czasu powodem wielu nieporozumień — mówi W. Piątak. — Zamiast mierzyć i oceniać stopień realizacji przyjętego na realnych podstawach programu, wytyka się, że tego a tego Towarzystwo nie zrobiło, choć o tym a tamtym nie ma nawet wzmianki w statucie.

Jak wspomniano, W. Piątak od trzech lat prezesuje TRH. A jest to dziś instytucja dynamiczna i rozgałęziona, licząca ponad 900 członków (głównie nauczycieli), działających w następujących sekcjach: archiwalnej, bibliotekarstwa, ogólnej, członków wspierających i zbiorowych, filmowo-fotograficznej, imprez, młodzieżowej, muzealnej, społecznych opiekunów zabytków, publikacji. Istnieją też dwie sekcje zamiejscowe — warszawska i lubelska, a planuje się powołanie krakowskiej i wrocławskiej. Towarzystwo, rzecz niecodzienna w kraju, utrzymuje się wyłącznie ze składek członkowskich. Posiada też własne archiwum i bibliotekę oraz wydawnictwa: „Biuletyn TRH", redagowany i opracowywany graficznie przez W. Piątaka i „Bibliotekę TRH". W obu wydawnictwach znajduje się sporo materiałów, rozpraw i artykułów autorstwa historyków-amatorów i naukowców — przede wszystkim z lubelskiego ośrodka uczelnianego, skąd też TRH otrzymuje osobne publikacje, tematycznie związane z Hrubieszowem.

Celem pomnożenia stanu wiedzy o Ziemi Hrubieszowskiej Towarzystwo zwróciło się z apelem o podejmowanie odpowiedniej problematyki przez magistrantów i kończących Studia Nauczycielskie; efekty tego są już widoczne. Dodajmy jeszcze, że TRH od dłuższego czasu popularyzuje historię regionu w szkołach powiatu oraz organizuje samodzielnie lub współdziała w realizacji sesji historycznych. „700 lat Grabowca", „150-lecie urodzin Bolesława Prusa", „Ogólnopolska Sesja Naukowa w związku ze 150-leciem Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego", „Przeszłość powiatu hrubieszowskiego", „Wkład hru-

Dokończenie na str. 14

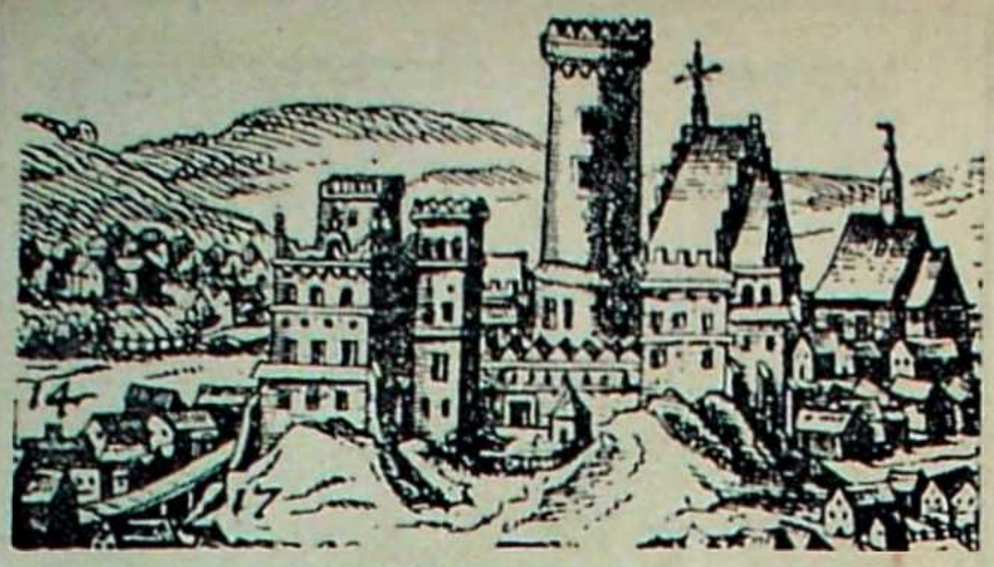

Zamek lubelski na początku XVII wieku. Fragment miedziorytu A. Hogenberga z 1617 r.

Lublin w latach Unii Lubelskiej

Henryk Gawarecki

NAJSTARSZY widok Lublina — miedzioryt A. Hogenberga — przedstawia miasto z początku XVII w. Dlatego też, by pokazać miasto w latach trzeciej ćwierci XVI wieku, nie możemy, niestety, posługiwać się przekazami ikonograficznymi. Po pożarze Lublina w 1575 roku, który strawił niemal całe miasto, nastąpiła gruntowna odbudowa. Dość radykalnie zmieniała ona jego oblicze. Z miasta gotyckiego Lublin w krótkim czasie stał się pięknym miastem renesansowym.

Dlatego pisząc o Lublinie w latach Unii Lubelskiej, musimy korzytać z dokumentów, lustracji, zapisów w księgach radzieckich, a także z tekstów literackich. Tym, który wsławił pięknymi strofami współczesny mu Lublin, był Sebastian Klonowic. Przebywał w nim co najmniej od 1568 roku aż do śmierci w 1602 roku, poznał dobrze i polubił. W jego twórczości spotykamy poetyckie opisy Lublina, pełne słów najwyższego uznania. W łacińskim poemacie *„Philtron"* (wydanym w 1582 roku) takim widzi on miasto:

Lublin to miasto darami nieba darzone obficie.
Miasto i mury szczególną się cieszą nieba opieką...
Parki twoje piękniejsze nad świata całe ogrody...
Miasto to godne być Boga mieszkaniem i królów siedzibą.
Ludne, bogate, znacznych już wielu mężów wydało,
Wiele zdziałało w pokoju, sławne zawarło przymierza.

Jeśli w tym czasie zbliżalibyśmy się do Lublina od strony traktu krakowskiego, już z daleka uderzyłaby nas jego piękna sylweta. Nad czerwieniejącym pasem murów obronnych wznosiły się wysoko wieże: Bramy Krakowskiej, Ratusza, kościoła św. Michała i smukłe gotyckie szczyty kościoła dominikanów. Trakt krakowski prowadził przez tereny miejskie trasą już od dawna ustaloną, a więc obok kościoła sw. Krzyża (dziś kaplicy KUL), dzisiejszą ulicą Nowotki ku ul. Krakowskie Przedmieście i od niej trasą, będącą przedłużeniem ul. Pstrowskiego, ku kościołowi *S. M. de Triumpho* — brygidek, stąd zaś ulicą Narutowicza obok kościoła bernardynów i zbiorników wodnych *cisterna aquatica* do Bramy Krakowskiej.

Przedmieście leżące na zachód od miasta — nazwane Krakowskim — było już w tym czasie zabudowane wzdłuż głównej jego ulicy. Zabudowa ta była w większości drewniana. Dopiero pożar przedmieścia w 1557 roku zmienił ten stan. Zabroniono bowiem dla bezpieczeństwa ogniowego stawiania budynków na przestrzeni od murów obronnych do kościoła bernardynów. W ten sposób przedpole wałów miejskich zostało uporządkowane, a nowo budujące się domy były już w części murowane. Przed Bramą Krakowską znajdowała się dość głęboka, ale nie nawodniona fosa. Przerzucony przez nią most prowadził ku wnętrzu bramy. Ciężka, żelazna brona, umieszczona w specjalnych kamiennych prowadnicach w korpusie bramy, ze zgrzytem łańcuchów podnoszona była o świcie i spuszczana o wieczornym zmierzchu.

Sama brama prezentowała się nader okazale. Jej gotyckie mury wieńczył hełm w kształcie bani, kryty miedzianą blachą. Na wierzchu umieszczona była szczerozłota kula, która odbijając promienie słoneczne rozsiewała dookoła złocisty blask. Z daleka widoczna była wielka tarcza wspaniałego zegara, umieszczonego na najwyższej kondygnacji wieży. Trębacze, którzy razem ze strażą zamieszkiwali wieżę, dźwiękiem swych trąb ogłaszali z ganków każdą godzinę. Ganki te, znajdujące się poniżej szczytu, otaczały dookoła bramę; w dni świąteczne służyły one muzykom, którzy *dla przyjemności mieszkańców Lublina wygrywali piękne pieśni na swych instrumentach.*

Z obu stron bramy, od północy i południa, przylegały mury obronne ze strzelnicami i gankami. Ulica, prowadząca od bramy do Rynku, nie miała jeszcze w tym czasie ustalonej nazwy — spotykamy się czasem z nazwą „ulica Krakowska" lub „do Bramy Krakowskiej". Była ona gwarna i rojna w szczególności w dni targowe, kiedy na rynek ciągnęły przez nią gromady chłopów z pobliskich wsi. Część budynków przy tej ulicy była jeszcze drewniana. W parterach kamienic mieściły się lokale sklepowe i warsztaty rzemieślnicze, jako że miejsce to było dla handlu bardzo sposobne.

Rynek, ze stojącym na środku Ratuszem, wydawał się wówczas mieć odmienne od dzisiejszych proporcje i nic dziwnego, gdyż zmieniły się one od tego czasu dość radykalnie. W połowie XVI wieku wybudowany został od fundamentów niemałym nakładem przez rajców miejskich Ratusz — *ku ozdobie miasta i pożytkowi ogólnemu*, jak to czytamy w przywileju Zygmunta Augusta z 1552 roku. W piwnicy pod Ratuszem rajcy szynkowali swobodnie piwem przywożnym *przemyskim, kazimierskim, gdańskim i wszelkim innym obcym* (piwo lubelskie uważano *z winy miejsca... niedobrego smaku*). Nic też dziwnego, że było tu głośno i wesoło do późnego wieczora. Na Rynku przed Ratuszem zainstalowana została fontanna, ponieważ miasto posiadało już dobrze funkcjonujący wodociąg i mogło sobie na taką rozrzutność pozwolić. O fontannie tej pisze Sebastian Klonowic w *„Roxolanii"* (1584):

Miedzianą rurą wpuszczona do miasta
Bije na kole fontanna swawolna.

Zabudowa Rynku nie była w tym okresie jednolita. Większość kamienic nosiła na sobie cechy późnogotyckiej architektury, w wielu miejscach czerwieniły się ceglane jednopiętrowe fasady i trójkątne wysokie szczyty, gdzie niegdzie wstydliwie kryły się drewniane domy. Tylko najzamożniejsi mogli sobie pozwolić na renesansową modernizację swoich siedzib. Należeli do nich m. in. Lubomelscy, którzy w 1540 roku przebudowali dziedziczną kamienicę (pod nr 8 leżącą). Piękny renesansowy portal z gmerkiem „Zadora" i z charakterystyczną stylizowaną dekoracją roślinną zdobił wejście do budynku. W jego podziemiach znajdowała się dobrze zaopatrzona w przednie trunki winiarnia, która zyskała sławę wówczas, gdy w czasie odbudowy kamienicy po pożarze w 1575 roku sklepienie jej i ściany pokryte zostały bakchicznymi malowidłami. Niektóre z nich były tak w treści „nieprzystojne", iż kobietom „poczciwym" wstyd było je oglądać.

W dni dorocznych jarmarków Rynek ożywiał się niebywale, bo, jak to czytamy we współczesnych opisach, zjeżdżali się tu kupcy niemal z całego świata. Czego tu bowiem nie sprzedawano: sukna, czamlety, aksamity, adamaszki, atłasy, jedwabie, pieprze, szafrany, imbiry, goździki, stal, miedź, sierpy, kobierce, konie, farby tureckie, skóry wołowe, baranie, juchtowe, giemzowe, miód, ryby, wina węgierskie i malmazje, towary litewskie kosmate — sobole, kuny, rysie, bobry wilki, wydry, liszki i wiele innych towarów. By kupcy mogli swobodnie wystawiać i sprzedawać swoje towary, potrzebom handlu służyły wszystkie slenie i sklepy kamienic w Rynku i w przyległych do niego ulicach. Poza tym cały Rynek obstawiony był dookoła drewnianymi kramami i budami, których pierwszy rząd stał na skraju chodnika przed fasadami kamienic, stały one także dookoła Ratusza, w ulicy Bramowej i w Bramie Krakowskiej (w niej miejsce trzymali szewcy ze swymi pięknymi wyrobami).

Na zamknięciu ulicy Złotej (nazywano ją wtedy „ad S. Stanislaum") tak jak i dziś wznosił się wysoki korpus kościoła dominikanów. Czerwony, smukły szczyt harmonizował z bryłą gotyckiego kościoła. Wnętrze nakryte było żebrowymi sklepieniami, na ścianach oprócz obrazów wisiały bogate kobierce i zasłony.

Wspaniale prezentował się w tych latach kościół farny, stojący przy ul. Grodzkiej. Jego strzelista wieża, stanowiąca główny akcent w sylwecie miasta, kryta była miedzianym hełmem, z pozłacaną kulą na szczycie. Tarcza zegara, umieszczonego w wieży, była widoczna z daleka, a kilka dźwięcznych spiżowych dzwonów zapowiadało święta i uroczystości kościelne.

Brama Grodzka miała jeszcze wówczas charakter obronnej budowli gotyckiej. Ceglane mury korpusu bramy zwieńczone były krenelażem, zaś przedbramie, stojące już na stoku wzgórza, podparte było potężnymi przyporami. Przez zwodzony most i wysoki, wzniesiony na drewnianych palach wiadukt, można było dostać się na wzórze zamkowe.

Zamek, goszczący niejednokrotnie w swych izbach dwór królewski, nie stracił swego gotyckiego obronnego charakteru. Jego masywne, wysokie mury rozsiadły się szeroko na wzgórzu zamkowym. Od zachodu — to znaczy od strony miasta — wznosiły się zabudowania mieszkalne, które już od początku XVI wieku były przekształcane w stylu renesansowym. Zachowały się bowiem dowody, iż około 1530 r. w Zamku lubelskim przebywał Bartłomiej Berecci, architekt królewski, twórca wspaniałej kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Inwentarz Zamku, sporządzony w 1564 r., daje szczegółowy opis wnętrz mieszkalnych, baszty, kaplicy, kamienicy grodzkiej i domu mansjonarskiego. Wzgórze zamkowe otoczone było spiętrzonymi i szeroko rozlanymi wodami Bystrzycy i Czechówki. Ujęte były one w groble i wały, które formowały obfitujące w ryby stawy. Gdzie niegdzie wznosiły się ponad wodą niewielkie, pokryte zielonością wyspy. Aleksander Gwagnin w wydanej w 1578 r. *„Sarmatiae Europeae descriptio"* tak opisywał Zamek lubelski *„na górze wysokiej, nad jeziorem wielkim zmurowany, nad głęboką przekopą okazało i ży...*

Lublin w 1569 r. przez cały okres trwania sejmu był miastem bardzo ożywionym. Obrady sejmowe odbywały się bowiem przy współudziale wielu dostojnych gości. Brali w nich udział m. in. legat papieski i kardynał Hoziusz, posłowie — cesarza Maksymiliana, króla szwedzkiego, sułtana tureckiego, kniazia moskiewskiego i wielu innych panów.

Wielka uroczystość odbyła się 19 lipca 1569 r. W dniu tym, wobec wszystkich stanów, senatorów i dygnitarzy, posłów i książąt, na ozdobnym majestacie wzniesionym *na przedmieściu lubelskim, tu ku Krakowowi*, zasiadł Zygmunt August i odebrał od Albrechta Fryderyka, książęcia pruskiego, hołd i przysięgę lenniczą oraz pasował go na rycerza. Tron wzniesiony był w miejscu dzisiejszego Placu Litewskiego, to jest tam, gdzie stanęła obozem szlachta litewska — tak utrzymuje Jan Ponętowski (*„Sejm walny koronny lubelski przez J.K.M. złożony 1569"*), uczestnik sejmu, obecny na tych uroczystościach. Niezbyt zgrabnymi wierszami tak pisze:

Lublinianie, jakaż to wam sława urośnie,
Mieliście przy tem mieście znamienite goście.
Na tem miejscu dziateczki abyście karali,
By książęcia pruskiego hołd wspamiętywały...

Gdy król wysłał do Krakowa po koronę i sceptra Jana Herburta, kasztelana sanockiego:

Kraków się z tego smęcił, że to w insze stało
Mieście ono omagium, jego poniechało.

Niemal każdy z gości cudzoziemskich przyjeżdżał do Lublina z darami. Wielką sensację wzbudził książę Legnicki, który ofiarował królowi dwa młode lwy.

Odesłano je do Krakowa na Zamek. Wielkie dziwy wzbudził także — jak pisze Ponętowski — smok z dalekiej krainy:

Kto żywego nie widział, lecz malowanego,
Musiał być przestraszony dla srogości jego.

Lublin w połowie XVI wieku stał się miastem, które znane było szeroko w całej Europie, ze swych targów i jarmarków, kupcom ze wschodu i zachodu. Mieszkańcy jego szybko bogacili się i osiągnęli wysoki poziom kultury materialnej. Świadczą o tym liczne testamenty i działy majątku mieszczan lubelskich, w których czytamy o naczyniach srebrnych, klejnotach, kosztownych kobiercach i zasłonach, drogich futrach i szatach. Rosła jednocześnie kultura artystyczna miasta, w którym zamieszkał Sebastian Klonowic, bywali Mikołaj Rej i Jan Kochanowski. Osiedlili się tu głoszący radykalne hasła społeczne Bracia Polscy — Marcin Czechowic i Jan Niemojewski. O szybkim rozprzestrzenianiu się form renesansowych świadczą zachowane fragmenty wystroju architektonicznego i dekoracji kamienic lubelskich, rzeźba nagrobkowa, a nawet znajdowane w wielkiej ilości fragmenty kafli piecowych z dekoracją figuralną. Nic też dziwnego, iż o Lublinie w owym czasie pisano tak pochlebnie!

Polichromia św. Trójcy

ODKRYWANIE zabytków kultury artystycznej przypomina nierzadko najbardziej sensacyjne i zawikłane zagadki kryminalne. Ktoś coś popełnił, ktoś inny trafił na ślad owego „występku" i, jeśli jest specjalistą — historykiem sztuki, archeologiem czy detektywem — rozpoczyna śledztwo, posługując się logiką, gromadząc przesłanki, ale w głębi ducha licząc też na sprzyjający przypadek.

Freski w kaplicy św. Trójcy na wzgórzu zamkowym w Lublinie, a właściwie ich ledwo widoczne ślady, zauważył po raz pierwszy Kazimierz Stronczyński, inwertaryzator zabytków na obszarze Królestwa, co uwieczniono w „Albumie Lubelskim" A. Lerue z 1857 r. Bogowie, jak to bywało w Egipcie, nie zemścili się na Stronczyńskim, nawet ludzie przeszli obok odkrycia, czemu ostatecznie dziwić się nie należy. Historia sztuki i konserwacja były wówczas w Polsce w powijakach, a poza tym czasy nie skąpiły wydarzeń znacznie bardziej wstrząsających. W centrum zainteresowania czynników oficjalnych były wtedy raczej więzienia niż obiekty kultury i sztuki.

Na przykład Zamek lubelski w którego obrębie znajdowała się właśnie średniowieczna kaplica, przekształcono w 1826 r. na więzienie, a funkcję tę obiekt spełniał przeszło sto lat. Obecny, pseudogotycki wygląd otrzymał Zamek podczas tej przeróbki z początku ubiegłego wieku. Tylko kaplica i pobliski donżon uniknęły stylistycznych profanacji, nie licząc wnętrza i malowideł świątyni.

Po kilkudziesięciu latach od zamieszczenia wzmianki o freskach w „Albumie Lubelskim", niemal na schyłku XIX wieku, dobrał się do nich malarz Józef Smoliński, który odbił tynki z obmurowania schodów na chór, odsłaniając fragment kompozycji z królem Władysławem Jagiełłą w otoczeniu świty, przed tronującą Madonną, o czym powiadomił krakowską Akademię Umiejętności. No i od tego czasu naukowo-konserwatorski kołowrotek nabrał niejakiej szybkości.

Odkryciem zainteresowała się carska Komisja Archeologiczna, która w 1903 r. przysłała do Lublina z Petersburga prof. N. W. Pokrowskiego i architekta P. P. Pokryszkina. Do 1914 r., z dłuższymi przerwami, przeprowadzili oni szereg badań inkonograficznych i konserwatorskich. Na północnej ścianie łuku tęczowego ujawniono m. in. datę ukończenia malowideł — 10 sierpnia 1418 r. — i cyrylicą utrwalone imię autora: Andrzej.

To imię oraz bizantyjsko-ruski charakter malowideł skłoniły wspomnianych badaczy do uznania kościoła w dolnych jego partiach za zabytek architektury halickiej z XIII w., a w górnych za obiekt dziewietnastowieczny, pseudogotycki; od tej ostatniej tezy szybko zresztą odstąpiono. Mylność wniosków carskich naukowców wykazali później polscy historycy sztuki.

Wybuch I wojny światowej przerwał prace w kaplicy św. Trójcy, ale już w 1917 r. podjął je prof. J. Makarewicz z zespołem. Oczyszczono część fresków *nie cofając się* — jak zauważył prof. M. Walicki — *przed daleko sięgającymi retuszowaniami cyklu prezbiterium*. Nadmiar inwencji konserwatorskiej towarzyszył również prof. E. Trojanowskiemu, który od 1921 r. kontynuował prace poprzednika, odsłaniając i utrwalając dekorację nawy. Wysiłki profesora i jego uczniów *dzięki wadliwie przeprowadzonemu punktowaniu nie uwydatniły obiektywnej wartości polichromii*. Mówiąc innymi słowy: w zbyt dużym stopniu i nieumiejętnie zrekonstruowano brakujące fragmenty fresków.

Szeroko zakrojone prace konserwatorskie, obejmujące zarówno malowidła, jak i cały obiekt sakralny, rozpoczęto w 1954 r. i faktycznie trwają one do dziś. Jedyny w Lublinie zabytek klasy zerowej, a więc najwyższej z możliwych, od lat wielu znany jest więc mieszkańcom miasta jedynie ze skąpych informacji prasowych i znacznie obfitszych a barwniejszych, plotek. I w tym właśnie mieści się niejako sensacyjność sprawy „kaplica św. Trójcy w Lublinie".

Polichromia kaplicy nie jest jednolita stylistycznie. Mistrz Andrzej wykonał malowidła w prezbiterium, natomiast freski nawy są dziełem — jak przypuszcza M. Walicki — dwóch lub trzech malarzy, którzy reprezentowali bardziej konserwatywne tendencje, wywodzące się ze słowiańskiego pogranicza Bizancjum. Mistrz Andrzej natomiast często korzystał z zasobów sztuki gotyckiej, co ujawnia m. in. „Komunia apostołów". Widniejąca na sklepieniu prezbiterium apologia Sądu Ostatecznego i Trójcy Świętej nawiązuje do tekstów leodyjskiego teologa z XII w. Ruperta de Deutz, co dodatkowo świadczy o mocnych związkach Andrzeja z Polską.

Polichromia pokrywa niemal całe wnętrze kaplicy i jest *najpełniejszym i najbardziej plastycznym uzmysłowieniem osobistych zainteresowań Jagiełły*. Przypomnijmy za cytowanym tu wielokrotnie, zmarłym trzy lata temu profesorem UW, Michałem Walickim, autorem pierwszej i do dziś w zasadzie nie kwestionowanej pod względem merytorycznym obszerniejszej rozprawy w freskach lubelskich, że wychowany w atmosferze ruskiej kultury Jagiełło konsekwentnie zmierzał do przeszczepienia na grunt polski monumentalnej sztuki bizantyjskiej. Z rachunków podskarbiego Hinczki z lat 1393—1394 wynika, że aż w kilkunastu obiektach królewskich i sakralnych w Polsce pracowali w tym okresie zawezwani przez króla malarze ruscy. Poza tym Długosz, Wapowski, Kromer i Bielski wspominają o ruskich malowidłach w kolegiacie wiślickiej i katedrze gnieźnieńskiej. To stosunkowo intensywne przenikanie się dwóch sąsiadujących ze sobą kultur zostało przerwane na gruncie polskim z chwilą śmierci Kazimierza Jagiellończyka.

Lublin. Kaplica Zamkowa. Freski po konserwacji w 1959 r.

Wspomniano o trwających do dziś kłopotach konserwatorów z kaplicą i znajdującą się w niej *jedyną na ziemiach historycznej Małopolski kompletnie zachowaną polichromią średniowieczną, w dodatku opatrzoną własnoręczną sygnaturą malarza*. Zdaniem kompetentnych osób *ogólny stan malowideł jest zadowalający. Jedyny problem konserwatorski sprowadza się w chwili obecnej do zagadnienia usunięcia z powierzchni malowideł nalotów oraz zapobieżenia ich dalszemu powstawaniu*. Naloty te spowodowane są pewnego rodzaju grzybem, zapyleniem zewnętrznym i wykwitami soli. Autorzy tej opinii, Piotr Rudniewski i Mieczysław Samborski, podejrzewają, że nie wyjaśniona dotąd obecność soli w tynku jest *wynikiem wprowadzenia niewłaściwych materiałów w czasie prac restauracyjnych — z lat 1917—18 i 1921—24*. Wśród szeregu zasadniczych postulatów mających na celu zlikwidowanie tych destrukcyjnych czynników, umieszczają również *zamknięcie kaplicy dla zwiedzających z uwagi na występujące w czasie przebywania w obiekcie większej liczby osób wprowadzanie dodatkowych porcji wilgoci*. Mamy jednak nadzieję, że jest to rozwiązanie doraźne. Zbyt bowiem cenny artystycznie i kulturowo jest to obiekt, aby korzystali z niego jedynie konserwatorzy i historycy sztuki. Dzieło sztuki żyje dopóty, dopóki stykają się z nim ludzie, społeczeństwo.

IJK

Z „warszawskiego okresu” Józefa Czechowicza

W 30 rocznicę śmierci poety

Andrzej Koss

POWIŚLE ofiarowało mi Józefa Czechowicza. Zawieszone, jak w starej akwaforcie, latarnie gazowe, bogato ilustrowany cieniami pejzaż ulicy Dobrej w Warszawie — to akcesoria pamiętnych spotkań: pierwszego — w listopadzie 1935 roku, oraz szeregu następnych.

Zdarzenia lat 1936—39, faszyzacja kraju, coraz dotkliwsza społecznie i ostra walka klasowa, dno kryzysu i nędza, a nade wszystko widmo zbliżającego się konfliktu zbrojnego, wywierały potężne piętno na wrażliwej psychice poety. Jego wypowiedzi z tego okresu, chociaż niemożliwe do dokładnego obecnie odtworzenia, obfitują w refleksje społeczne, sięgają po mocne akcenty pacyfistyczne; w ogóle tzw. „okres warszawski” jest dla Czechowicza okresem najsilniejszego związania się z problematyką społeczną. Wynika to nie tylko z lektury jego ówczesnych wierszy, ale z ciągłych, na użytek bezpośredniego otoczenia, deklaracji twórczych, określających w warunkach konfliktów społecznych rolę pisarza i artysty.

Jego zaangażowanie nie doprowadzało wszelako do formułowania programu walki środkami artystycznymi o poprawę istniejącego stanu rzeczy. Był, jak się to obecnie często o nim mówi, katastrofistą. Rola twórcy, jego zdaniem, polegała na formowaniu świadomości nadciągającej klęski, na świadomym przeżywaniu upadku, na ukazywaniu piękna wewnętrznych konstrukcji irracjonalnego życia ludzkiego, w którym niemożliwa jest brutalna interwencja siły.

Mówi się o nim, że w okresie warszawskim utrzymywał szerokie kontakty i miał wielu przyjaciół. Moje obserwacje prowadzą do poglądu, że o ile Czechowicz w tym kilkuletnim okresie znał i podtrzymywał znajomość z dużą liczbą osób, bardzo różnorodnych, zarówno pozycją socjalną jak i skalą zainteresowań, a nawet poziomem umysłowym — to w doborze przyjaciół był wybredny i ostrożny, bez inicjatywy w zbliżeniach.

Według mnie — Czechowicz żył w prawie kompletnej izolacji psychicznej od otoczenia, coraz bardziej z biegiem czasu głębokiej, żył własnym, odrębnym życiem wewnętrznym, działając na zewnątrz jakimś zaledwie mało ważnym fragmentem swej uwagi, ot, tyle, aby nie narazić się na zarzut braku komunikatywności.

*

Nadszedł czas perturbacji finansowych Czechowicza. Zmuszony do zaprzestania pracy w redakcji „Płomyczka”, nawiązał współpracę z Williamem Horzycą i tygodnikiem „Pion”, ekskluzywnym pismem owładniętym przez młodych i prezentującym poważne osiągnięcia poetyckie. Drukowało ono, w czym niemały miał udział Czechowicz, poetów dojrzałych aspiracjami i osiągnięciami twórczymi, szczególnie poetów, których artystyczne eksperymenty zasługiwały na wyjątkową uwagę, zwłaszcza na tle nowatorskiego ruchu europejskiego, do jakiego pismo skłaniało się.

Na początku 1938 roku, lub może jeszcze pod koniec 1937, Czechowicz zainicjował dość krótkotrwałą „imprezę dochodową” — jak ją nazywał — która, w jego pojęciu, miała przynieść krociowe zyski, a także być poetycką konkurencją dla kawiarni „Sztuka i moda” przy ul. Królewskiej w Warszawie, gdzie w jeden dzień tygodnia poeci spod znaku „Skamandra” i satelitarni ich towarzysze mówili swoje wiersze lub powierzali je sławom recytatorskim.

Wybór Czechowicza padł na piękną kawiarnię, ocienioną romantycznymi drzewami, mieszczącą się przy ustronnej ulicy Traugutta, a nazywającą się „Zodiak”.

Przygotowanie tego wszystkiego miało być, zgodnie z życzeniem Józefa, moim „referatem”. Zabrałem się zatem do dzieła, codziennie donosząc memu „mocodawcy” o postępach prac, uzgadniając z nim szczegóły. Trudnością nr 1 było wyszukanie recytatorów dla tekstów, których autorzy z różnych względów nie mogli lub nie chcieli sami wygłaszać.

W moich zapiskach z tego czasu znajduje się takie zdanie Czechowicza: *Jedyną aktorką, która może odpowiedzialnie mówić poezję awangardową, jest wychowanka Reduty — Zofia Małynicz.* Jak to się stało, że nie dotarłem wtedy do niej, nie wiem. Dziś aktorka tak o tym opowiada: *Nie, nie rozmawiałam wtedy z Czechowiczem na temat znanych mi ze słyszenia wieczorów zodiakowskich. Bardzo chętnie włączyłabym się wtedy, choć przypominam sobie, że chyba w 1937 roku mówiłam kilka wierszy Czechowicza na poranku w Reducie. To wielki poeta, pamiętam, że miałam duże trudności w prawidłowym odczytaniu jego wierszy. Brak interpunkcji, zamierzone przez poetę świadome zasadzki zaskakiwały mnie. Wystarczyło jednak wczytać się, oswoić nieco z fakturą wiersza, a pewność właściwej interpretacji przychodziła niespostrzeżenie. Już*

po śmierci poety kilka razy wracałam do recytacji jego wierszy, za każdym razem stawały się one bliższe i łatwiejsze. Chodziło wówczas o to, że dla tego gatunku poezji aktorzy musieliby wyzbyć się głosu odpowiedniego do tekstów romantycznych. Dziś wraca ta tendencja do beznamiętnego mówienia...

Za doradą mojej kuzynki Hanki Wójcikiewiczówny, młodej i zdolnej aktorki „Reduty”, zwróciłem się do Osterwy, który bez chwili namysłu wskazał Edmunda Wiercińskiego jako recytatora „zodiakowych” poezji. Jeszcze tego samego dnia byliśmy obaj z Czechowiczem u niego w mieszkaniu. Otwarte drzwi wśród trzeszczących schodów czynszowej, warszawskiej kamienicy, wilgotny półmrok, na tapczanie cierpiący na migrenę aktor. Umówiliśmy się, że dostarczymy wiersze, a termin najbliższego wieczoru ustalony zostanie odrębnie.

Te wieczory, po których obiecywaliśmy sobie tak wiele, nie dały nam spodziewanych efektów, a nawet strona finansowa zawiodła w zupełności.

*

Pod koniec 1938 roku Czechowicz przeżywał swoją „malarskość”, żarliwe zainteresowanie aktualnymi zdarzeniami w tej dziedzinie sztuki. Zdarzało się w jego wypowiedziach, że granice pomiędzy substancją poetycką a widzeniem malarza zacierały się zupełnie. Jego monolog miał wówczas charakter bezosobowy — mówił o supremacji surrealizmu i geometrycznej abstrakcji. Był wyraźnie podniecony, informując nas o ekspozycjach surrealistów w Paryżu oraz geometrycznych abstrakcjonistów „Cercle et Carré”, „Abstraction — Création”, które w 1938 roku dały początek późniejszego salonu „Réalités Nouvelles”.

W liście adresowanym do mnie do Lwowa, gdzie wyjechałem na kilka tygodni, pisał kiedyś: *Oderwanie się w sztuce Kandinsky'ego zaufanie abstrakcji jako narzędziu eksperymentu, jego barbarzyństwo, wybuch kształtów i kolorów w czasie 1910—1920, obrazy Klee, wyłączające ingerencję myśli ludzkiej, nie oznaczają antyracjonalizmu. Istotną potrzebą sztuki jest intelektualna obserwacja aktu tworzenia. Ma ona obserwować powstające kontury dzieła i w każdym stanie jego wznoszenia lub lepiej: dziania się, usuwać elementy zbędne, deformujące. To stawanie się wiersza, aktu twórczego, ma materializować się konsekwentnie przez fakt kontroli, której wpływ jest pośredni, której akt nie ulega ani nie poddaje się. Nie wiem, czy dość wyraźnie napisałem to, że obrazy w moich wierszach są przez nie same inspirowane, stanowią o swojej autonomii i zakreślają własne prawa. Wchłaniają mnie one tak zupełnie, jak całkowita staje się moja niewola pozbawiona świadomości. Później mogę już czynić z wierszem, co chcę. Mogę spokojnie robić w nim zmiany i przekształcenia. On już w swojej istocie nie zmieni się, żyje bowiem odtąd na własny rachunek, własnym indywidualnym i niezależnym życiem.*

*

W swojej książce o Czechowiczu W. Gralewski podaje gotową receptę na jego twórczość. Związuje on tę sprawę w prosty i łatwy sposób z fermentacją cukrową w organizmie ludzkim, podając, że poezja Czechowicza to rozkład cukrów, a zwłaszcza czekolady, łapczywie pochłanianej przez poetę. Przy tego rodzaju przepisie kulinarnym, problemem staje się tylko zależność gatunku literackiego od spożywania określonych rodzajów czekolady: np. poeta o dużej dozie determinacji i żalu do świata — to na pewno zwolennik czekolady gorzkiej, poeta od erotyków, sławiący wdzięki niewieście — mleczna z orzechami itd.!

Odwieczna to pasja tropienie związków pomiędzy przejawami zwykłego, codziennego życia twórcy, jego słabostek, namiętności, przywar i żenujących często upodobań — a aktem tworzenia. Pasja, która przynosi często rozczarowanie i z reguły nie doprowadza do wysnucia jakichkolwiek wniosków o charakterze ogólnym.

Nie o to mi, rzecz jasna, szło w tych wspomnieniach. I nie o to też idzie, by z ulubionych przez Czechowicza spacerów na Pragę do cerkwi wyciągać wnioski o takim czy innym zapamiętaniu religijnym poety. Został po tych spacerach taki zapis, który ma wartość samoistną:

starocerkiewna błyszczy
pięciolinia
zmierzch dymiący
czerwono
święty marcin ubrany w sen
złotolity
w błękitnej polichromii
średniowiecznego oddechu
wiatr porusza szklane usta
dziewczyn
jakim spojrzeniem cię witać
z głębi mrocznego świata
wyzywam blask i mirrę kadzidło
bizancjum
zaklinam śpiew o basie continuo
i kolor
wypijam powietrze którego
dotknęły twoje wargi.

(Fragment z mającego się ukazać tomu wspomień o Czechowiczu.)

Zaczarowany świat dla dzieci

Jan Orłowski

BLISKO dziesięć procent poetyckiej spuścizny Czechowicza to wiersze dla dzieci. Stanowią więc one ważną pozycję w dorobku poety. Mimo to imię największego z lubelskich poetów nie kojarzy nam się mocno z poezją dla dzieci, ze wspomnieniami pierwszej wierszowanej lektury, tak jak imie Tuwima natychmiast nam przywraca w pamięci sapiąca „Lokomotywę”, „Ptasie radio” i inne wiersze. W rzeczywistości Czechowicz był bodaj czy nie bardziej niż Tuwim związany z nurtem poezji dla dzieci; świadczy o tym jego praca wydawnicza w „Płomyczku”, „Płomyku” i stosunkowo duża liczba wierszy, napisanych z przeznaczeniem dla najmłodszych czytelników.

Jednak wśród szerokich rzesz tych właśnie czytelników poetą bardziej znanym jest niewątpliwie Tuwim. Zasługa to nie tylko talentu autora „Kwiatów polskich” i przedziwnej właściwości jego wierszy dla dzieci, które tak żywo przemawiają do wyobraźni dziecka. Dzieje się tak również i dlatego, że Tuwim miał szczęście dożyć czasów powojennych, co nie dane było Czechowiczowi, i dzięki temu mógł w większym stopniu spopularyzować swe wiersze dla dzieci wśród najmłodszego powojennego pokolenia. Inna przyczyna mniejszej popularności autora „Zimowych uroków” tkwi w tym, że przez lata narastał wokół niego mit szermierza poetyckiej awangardy, mit poety trudnego, ekskluzywnego, dostępnego dla wybranych. Nic więc dziwnego, że takiego poete trudno było przez lata całe zbliżyć do dzieci.

Nieprześcigniony dotąd mistrz polskiej poezji dla dzieci, nieżyjący już Jan Brzechwa w swoim szkicu „O poezji dla dzieci” („Twórczość” 1955, nr 4) nie wymieniał Czechowicza wśród autorów wierszy dla dzieci, napisanych w okresie międzywojennym, chociaż wspominał zasługi poetów, którzy mniej tu zdziałali, jak np. Broniewski i Gałczyński. Dziś sytuacja zmieniła się nieco na korzyść lubelskiego poety. Jego wiersze weszły na trwałe do szkolnych czytanek dla klasy II i III (szkoda tylko, że przez niedopatrzenie różnych zespołów autorów umieszczono w czytance dla klasy II i III ten sam wiersz Czechowicza pt. „Jesień”), a Wydawnictwo Lubelskie wypuściło na rynek w dużych nakładach starannie wydany zbiorek „Wiersze dla dzieci” oraz oddzielnie wydane wiersze: „Jak groch wędrował”, „Jesień”, „Zimowe uroki”, „Przy sianokosach”, „Srebrne nitki”. W ten sposób wiersze Czechowicza dla dzieci, wyłączone niejako z kilku wydań jego utworów, mogą wreszcie trafiać do rąk właściwego adresata.

Popularyzacja wierszy Czechowicza wśród dzieci jest dzisiaj rzeczą bardzo pożądaną, ale nie jedyną, jaką winni jesteśmy poecie w roku 30-lecia jego tragicznej śmierci. W bogatej już stosunkowo literaturze krytycznej, poświęconej autorowi „nuty człowieczej”, brak jest omówienia i analizy krytycznej jego utworów przeznaczonych dla dzieci. Bez takiego zaś omówienia nie mogą być pełne nasze sądy i wyobrażenia o talencie poetyckim Czechowicza, nie może być pozbawionej jednostronności oceny jego poetyckiego dorobku.

Dobre wiersze dla dzieci, a nie zaś „rymowana woda” (określenie J. Brzechwy) noszą piętno niepowtarzalności i indywidualności swego twórcy. Wierszowane powiastki Jachowicza rażą dziś dzieci swoim moralizatorstwem; nadal jednak wzrusza Konopnicka opowieściami o losach sierot; uczy i bawi zręcznie operujący paradoksem i fantastyką Tuwim; zachwyca Brzechwa dziecięcym komizmem, mistrzowskim zastosowaniem w swych wierszach przesadni, personifikacji, onomatopei i innych środków poetyckiego obrazowania, dostępnych wiedzy i wyobraźni dziecka. Warto zdać sobie sprawę z tego, czym wyróżniają się wiersze Czechowicza. Był on i w tych wierszach, podobnie jak w całej swej twórczości, głęboko indywidualny. Jego wiersze, pisane z myślą o dzieciach, cechuje niepowtarzalny urok.

Powstawały one w latach 1933—1938. Drukował je przeważnie w „Płomyczku”, „Płomyku” i podpisywał najczęściej pseudonimami: Henryk Zasławski lub J. H. C. Podobnie jak we wszystkich utworach, tak i tu stawiał sobie Czechowicz wysokie wymagania. Nie są to pospolite, banalne wierszyki, wobec których autor stosuje taryfę ulgową, ze względu na młody wiek czytelnika i niski poziom jego kultury literackiej. Czechowicz unika standaryzacji formy wiersza, stosuje różny kształt strofy i urozmaicone metrum, nie posługuje się wytartymi i spowszedniałymi rymami. Świeżość i urok występuje także i w treści wierszy. Poeta unikał w nich nudnego dla dzieci moralizatorstwa. Przytoczony niżej wierszyk zdaje się temu przeczyć, ale jest to tylko pierwsze, pozorne wrażenie. Stanowi on zresztą wyjątek w twórczości Czechowicza dla dzieci.

Kiedy się zjadł śniadanie
łyżeczkę trzeba sprzątać
popatrz tylko kochanie
już mysz wyłazi z kąta

nie chciałeś schować łyżki
upadła ci na podłogę
teraz obgryza ją myszki
nic na to poradzić nie mogę

Portret Czechowicza wykonany przez Witkacego w 1934 r.

Dydaktyzm tego wiersza wyrażony jest tu jednak w sposób dyskretny i nie natrętny. Wiersz nie straszy dziecka przykrymi konsekwencjami, gdyż poniesie je w ostatecznym rachunku łyżeczka a nie dziecko. Jeszcze dyskretniej wyrażony został dydaktyzm w wierszu pt. „Przy sianokosach”, w którym poeta opowiada o tym, jak dzieci pomogły zranionemu kosą zajączkowi:

Udarł Stefanek
czysty gałganek
z koszuli
ranę opatrzy, otuli.

(1933)

W późniejszych wierszach, pisanych przeważnie w roku 1935 i w następnych latach daje się zauważyć odstępstwo poety od dydaktyzmu (nigdy zresztą nie wyrażanego w sposób jaskrawy) na rzecz opisów piękna przyrody i ojczystych stron. Te wiersze są najliczniejsze i zarazem najpiękniejsze. Szczególny urok widział poeta w zimowym i jesiennym pejzażu, ale rzecz charakterystyczna, że jest to z reguły pejzaż wiejski. Dynamiczny wiersz pt. „Śląsk śpiewa”, pokazujący potęgę i surowe piękno industrializacji, stanowi tu całkowity wyjątek. Tematyka wiejska dominuje więc w „Kołysankach”, w takich wierszach jak „U strugi”, „O rosie”, „Moja ziemia”, „Jesień”, „Srebrne nitki” i in. Zafascynowanie pięknem jesieni, zimy, zachwyt ojczystymi stronami wyraził poeta w kilku wierszach. Któż nie dopatrzy się tego zachwytu chociażby w takich strofach:

Matusiu, Lublin tak srebrny
twe baśnie mi przypomina
o lotach koni podniebnych,
o czarach lamp Aladyna.
...A kiedy nocą
bania uroków tu pęknie
i gwiazdy niebo wyzłoca
— o, matuś — jak będzie pięknie!

(„Zimowe uroki”)

W ten sam ton uderza poeta i w wierszu „Moja ziemia”, w którym jakże łatwo doszukać się echa Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza”:

...a ona nawet w grudniu zieleni
się jeszcze
modrzewiami gibkimi, niby leśne
dziewczę.
A ona ciężką falą czarnoziemu
spływa
po górach ku Wiśle rodna
i szczęśliwa...
. . . . . .
Srebrne miasta i wioski, ośnieżone
bory,
rankiem słońce na śniegach, czy
białe wieczory,
śnieżyce i księżyce — wszystko
ciebie stroi,
ziemio moja rodzinna, kraju matki
mojej...

Tematyka wierszy Czechowicza dla dzieci jest zawsze jak najbardziej swojska. Nie szukał on, wzorem innych autorów, tematów w egzotycznych krajach, nie wymyślał w swych wierszach fantastycznych i nieprawdopodobnych przygód. Wiersze jego tkwią korzeniami w polskiej, rodzimej glebie, mienią się w nich polskie barwy i często brzmią dźwięki polskiej ludowej piosenki („Nasze śpiewanki”, „Kołysanki”). To przecież w wierszach dla dzieci znajdujemy takie oto strofy, jakby żywcem wzięte z poezji ludowej:

U mej matki rodzinny
stoi jawor zielony,
a pod jaworem
a pod zielonym
trzej ptaszkowie śpiewają...

(„Nasze śpiewanki”)

Uwagom o braku egzotyki i fantastyki nie przeczy bynajmniej wiersz pt. „Nocleg w obozie”, w którym poeta maluje scenerię afrykańską z ryczącymi lwami, splątanymi w dżungli lianami i odgłosami tam-tamów. Ten wiersz nie jest bynajmniej opisem żadnych afrykańskich przygód: wyraża on rodzimy, tajemniczy nastrój obozowej harcerskiej nocy, wyzwalającej w dziecięcej duszy nie dające zasnąć marzenia o dalekich podróżach. Rację miał poeta, stwierdzając w zakończeniu wiersza.

Trudno, trudno uznać w mroku
tajemniczym —
bębny, groza, ciemność... I lew
blisko ryczy.

Dokończenie na str. 15

LUDZIE WRZEŚNIA

Wrzesień — ten z 1939 roku — stał się na zawsze symbolem największej tragedii narodu polskiego. Osamotniona politycznie, zacofana gospodarczo, żyjąca w przestarzałym systemie społecznym Polska stała się kolejnym łupem faszystowskiego hitleryzmu.

Zamieszczamy poniżej kilka rozmów z ludźmi, którzy w tych ciężkich dniach bronili, lub usiłowali bronić ojczyzny. Ich osobiste doświadczenia potwierdzają to, co notują historycy: brak uzbrojenia, brak odpowiedniego przygotowania do wojny, coraz większa dezorganizacja na wyższych szczeblach dowodzenia, brak łączności. A jednocześnie powszechna chęć walki, bohaterstwo niższych dowódców i prostych żołnierzy, hojna ofiara krwi i wielu innych cierpień narodu, który jednak nie zginął i po sześciu latach współuczestniczył w zatknięciu zwycięskich flag na gruzach Reichstagu.

Dla prowadzącego poniższe rozmowy sprawy te są szczególnie bliskie, albowiem sam w nich uczestniczył jako z-ca dowódcy V kompanii Batalionów Robotniczych Obrony Warszawy.

Franciszek Antczak emerytowany porucznik MO

Jako starszy sierżant byłem instruktorem Przysposobienia Wojskowego w Łodzi. 1 września dostałem 11 ludzi, 5 flowerów oraz rozkaz maszerowania do Warszawy. Następnego dnia przed południem na Pl. Zbawiciela lub Trzech Krzyży, już dokładnie nie pamiętam,

Franciszek Antczak jako por. MO w 1946 r.

doszło 24 ludzi, a komendę objął por. Czapliński. Nasze uzbrojenie powiększyło się o rewolwer bębenkowy, ale bez nabojów. Przez stolicę przeszliśmy śpiewając piosenki wojskowe, ludność obrzucała nas kwiatami i papierosami. W jakimś majątku pod Modlinem dostaliśmy wspaniałą kolację, sorty mundurowe oraz karabinki ręczne. Zostałem mianowany szefem kompanii.

3 września zaczęliśmy się okopywać, ale o godz. 11 por. Czapliński otrzymał rozkaz: maszerować na Garwolin! W Warszawie znów wiwaty ludności, kwiaty, papierosy, czekolada, ale na Grochowie zaskoczyło nas bombardowanie. W Garwolinie zakwaterowaliśmy w koszarach kawaleryjskich, jednak już drugiej nocy miasto było bombardowane i paliło się. Nowy rozkaz: maszerować na Żelechów. Tam dołączył do nas jakiś major z wyższego dowództwa i objął komendę, nasza kompania liczyła już 200 ludzi — wciąż dołączali ci, którzy chcieli się bić z Niemcami. Sformowaliśmy batalion, dostaliśmy konie, tabory i pieniądze, ja zostałem szefem batalionu i dowódcą 1 kompanii, dowództwo batalionu objął kpt. Kopeć, także pochodzący z Łodzi.

I nowy rozkaz: maszerować do Białej Podlaskiej. Tam włączono nas do większej jednostki, którą dowodził ppłk. Wójtowicz. Cała grupa ruszyła najpierw na Brześć, potem na Lublin. Podpułkownik chciał się przedzierać z całym oddziałem do Rumunii, ale pod Włodzimierzem Wołyńskim z płaczem oznajmił, że wojna skończona, każdy może iść, gdzie chce. Ja do Łodzi dotarłem dopiero 29 października. Szedłem w mundurze i Niemcy jakoś jeszcze się nie czepiali. Ale w Łodzi właściciel domu, w którym mieszkałem, już zrobił się folksdojczem i zameldował policji, że ukrywam mundur. Dowiedziałem się o tym natychmiast od życzliwych ludzi, więc zdałem oficjalnie mundur i dzięki temu miałem spokój.

Tak więc byłem jednym z wielu tysięcy tych, którzy chcieli się bić, ale dla których nie wystarczyło broni, których zdezorganizowane wyższe dowództwo przerzucało z miejsca na miejsce. Oczywiście w trakcie marszów byliśmy kilkakrotnie bombardowani i nie obyło się bez ofiar. Żołnierzy niemieckich widziałem tylko z daleka pod Garwolinem — to był zwiad motocyklowy, nie wiem, jak się tam dostali i jak odjechali, to było 6 lub 7 września.

W połowie listopada 1939 r. wstąpiłem do konspiracyjnej Polskiej Organizacji Bojowej, której dowódcą był „Junota", żyjący do dziś! w Łodzi dyr. Bartoszewicz. Ja byłem grupowym, a także jeździłem do Warszawy, gdzie na ul. Solec odbierałem matryce ulotek. Pod koniec 1940 r. zostałem aresztowany za ową działalność, w ciągu 4 miesięcy zbito mnie 17 razy, ale nie przyznałem się do niczego. Jako więźniarza wywieziono mnie do obozu pracy w Hanowerze. Tam dogadałem się z Niemcem antyhitlerowcem, który wyrobił mi potrzebne dokumenty, dzięki którym „legalnie" dojechałem do Chełma.

Do wyzwolenia obijałem się w okolicy kolonii Tarnówka i wsi Karlinów, żyjąc z dorywczej pracy. Potem byłem jednym ze współorganizatorów MO w Chełmie, pełniąc funkcje najpierw instruktora, potem zastępcy komendanta powiatu dla spraw polityczno-wychowawczych. W 1950 r. w stopniu porucznika MO przeszedłem na emeryturę.

Marian Krawczyk dyrektor przedsiębiorstwa „Lubgal"

Czynną służbę wojskową miałem skończyć w kwietniu jako starszy marynarz. Ale przedłużono ją nam o trzy miesiące. W połowie sierpnia zostałem zwolniony do cywila. Już po kilku dniach odebrałem w Warszawie ponowne wezwanie, a w dowództwie floty przydzielono mnie jako sternika na minowiec ORP „Rybitwa".

31 sierpnia wieczorem otrzymaliśmy rozkaz sprawdzenia, czy palą się latarnie morskie w Gdańsku i wzdłuż wybrzeża Prus Wschodnich. Pamiętam, że hasłem było słowo „koza", odzewem „cap". Jeżeli napotkana jednostka nie odpowie tym hasłem, rozkaz brzmiał krótko-strzelać! Latarnie były wygaszone, do strzelania nie doszło. Wróciliśmy wczesnym świtem, kazano nam zakotwiczyć w porcie gdyńskim. Niespodziewanie o 5 rano nad portem przeleciały niemieckie samoloty, strzelając z karabinów maszynowych, ale nie zrzucając jeszcze bomb.

Marian Krawczyk (zdjęcie aktualne).

Natychmiast kazano nam wypłynąć. Około godz. 9 na pięknym, bezchmurnym niebie znów pokazały się samoloty niemieckie. Przez zaminowaną zatokę zmierzał do Gdańska statek grecki. Zaczęliśmy dawać mu sygnały, aby zaczekał, to go przeprowadzimy, ale płynął nadal i za chwilę wyleciał w powietrze. Byliśmy za daleko, aby ratować załogę, zresztą w tej samej chwili na naszą eskadrę 6 minowców i 2 kontrtorpedowców poleciała z nieba lawina ognia. Wśród nas był całkowicie wyładowany minami „Gryf". Chwilami nie było go widać spoza dymu i fontanny wody po wybuchających bombach. Ale, na szczęście, nie został trafiony, chociaż od odłamków zginął jego dowódca.

W pewnej chwili minowiec „Mewa" daje znaki świetlne, że okręt pali się, a na pokładzie są zabici i ranni. Mimo spadających bomb i serii z karabinów maszynowych dopłynęliśmy do jego burty, aby ratować załogę. I wtedy przeżyłem pierwszy wielki wstrząs: na siedzeniu działka przeciwlotniczego siedział żołnierz, a obok leżała, dosłownie — leżała jego zupełnie oderwana noga. Mimo to żołnierz strzelał bez przerwy, odbierając pociski od donoszących je stale kolegów. Za chwilę drugi wstrząs: na pokładzie ścięty, jeszcze dymiący ciepłem mózgu czerep głowy radiotelegrafisty, człowieka, z którym wielokrotnie rozmawiałem... Wtedy zrozumiałem, że istnieje strach, zwykły, ludzki strach o życie. Różnie można z tym walczyć. Mnie do równowagi doprowadził potężny haust wódki.

Przez kilka następnych dni minowaliśmy Zatokę Gdańską, pobierając w nocy miny z kryp na mieliznach koło Pucka. Raz wpadliśmy na mieliznę i zostaliśmy dopiero w ciągu dnia. Nie było już mowy o stawianiu min, więc z całym dywizjonem zawinęliśmy na odpoczynek do portu w Jastarni. Ale godzinę po wyładowaniu na redę naszych min nadleciały niemieckie bombowce. Najpierw nad latarnią Kaszyca zaimprowizowały walkę powietrzną, chyba aby nas zmylić, potem poleciały bomby. Wszystkie jednostki dywizjonu zostały uszkodzone, ale, o dziwo, ani jedna z min nie wybuchła. Ja nam zostałem wtedy kontuzjowany.

Oprócz minowania ostrzeliwaliśmy szosę koło Pucka, którą posuwały się czołgi oraz piechota niemiecka. Sami Niemcy później przyznali, że nasza akcja była skuteczna. W czasie kolejnego nalotu, a byłem właśnie przy sterze, jeden z bombowców nurkował prosto na mnie. Niemal w ostatniej chwili skręciłem, pilot albo został trafiony albo stracił panowanie nad maszyną, „dogonił" wyrzuconą przez siebie bombę i wraz z nią spadł tuż obok do morza.

Po uszkodzeniu naszych minowców zostaliśmy przydzieleni jako piechota morska na linię frontu Wielka Wieś — Hallerowo. Napór nieprzyjacielski jednak był tak silny, że musieliśmy się cofać. Ja znalazłem się na samym cyplu Helu, gdzie organizowano obronę przed ewentualnym desantem. Cypel był stale ostrzeliwany przez krążownik „Szlezwig-Holstein" oraz artylerię niemiecką z rejonu Pucka i Babich Dołów. Obrona Helu jest znana, nie będę więc wspominał szczegółów tej tragicznej, ale i bohaterskiej obrony. Po kilku odrzuconych propozycjach kapitulacji 2 października ustał opór. Płacząc, składaliśmy broń...

Prawdą jest, że przyjmujący kapitulację Niemcy zachowywali się wobec nas w porządku, że bardzo wysoko oceniali nasz opór. Ale już po trzech dniach stawiło się gestapo. Zaczął się teraz głód, brak lekarstw, brutalne traktowanie, obóz jeniecki w Starogardzie — aż do końca stycznia pod namiotami. Uciekałem trzy razy i trzy razy zostałem schwytany, raz już pod Skierniewicami. Potem obóz karny w Greiswald, nieudana próba porwania łodzi podwodnej, bardzo ciężki obóz w Ostrzeszowie, gdzie przeżyliśmy tylko dzięki pomocy ludności polskiej i wreszcie warunkowe zwolnienie do Warszawy. Oczywiście nie zameldowałem się już ani razu, dałem deba do Lublina i tu zaczął się następny etap mego życia — konspiracja, a potem praca w przemyśle.

Marian Mikołajczak podpułkownik Wojska Polskiego

Byłem uczniem szkoły podoficerskiej dla małoletnich w Koninie. Jakiś tydzień przed wybuchem wojny nasza szkoła, jak wszystkie podobne, została rozwiązana. Kazano nam wrócić do domów. Udałem się więc w stronę rodzinnych okolic pod Gniezno, ale po drodze wraz z 5 kolegami spotkaliśmy 56 pułk piechoty, który właśnie opuszczał koszary w Jarocinie, kierując się na Warszawę. Zgłosiliśmy się natychmiast jako ochotnicy, bez większych ceregieli zostaliśmy przyjęci, otrzymaliśmy broń. Mnie przydzielono do łączności jako radiotelegrafistę.

Pułk oczywiście maszerował pieszo, dowództwo poleciało konno lub wozami, tak że łączność była dość fragmentaryczna. Wojna zastała nas w okolicach Kłodawy, która tego samego dnia była bombardowana i częściowo spalona się. Dwa lub trzy dni później nadszedł rozkaz podzielenia pułku na grupy, nawet

Marian Mikołajczak, podpułkownik Wojska Polskiego.

mniejsze od kompanii. Prawdopodobnie chodziło o to, aby nie tworzyć dużego i łatwego celu dla niemieckiego lotnictwa, ale przy bardzo skromnym wyposażeniu łączności, sparaliżowaniu komunikacji oraz ciągłych przenoszinach dowództw zarządzenie to i do naszej jednostki wprowadziło wielką dezorganizację.

Gdzieś koło tygodnia krążyliśmy na przedpolach Warszawy w rejonach Kutna i Sochaczewa. Oczywiście, dochodziło do starć z patrolami niemieckimi; szczególnie dokuczliwe dla ludności były patrole motocyklowe, które podjeżdżały szybko pod wsie czy nawet pojedyncze zabudowania, pociskami zapalającymi podpalały domy i wycofywały się. Wielokrotnie braliśmy udział w gaszeniu tak właśnie powstałych pożarów.

Jednocześnie rozwijała się dywersja niemiecka. Już w czasie początkowego marszu zdarzali się dezerterzy, których z chwilą wybuchu wojny było więcej. To synowie kolonistów niemieckich, przyszli folksdojcze, zorganizowani w znaną V kolumnę. Nie tylko sami dezerterowali, ale także podpalali — owe pożary jak i te, wzniecane przez motocyklistów, służyły lotnikom niemieckim jako drogowskazy, bądź cele bombardowania. Ale równocześnie do naszych grup stale zgłaszali się jeszcze liczniejsi Polacy, cywilni lub z rozbitych już jednostek, którzy za wszelką cenę chcieli walczyć.

Otrzymaliśmy rozkaz, aby przez Warszawę iść do Modlina. W stolicy byliśmy chyba trzy dni, nikt nie mógł nam nic konkretnego powiedzieć. 14 września podziurawionym już mostem Kierbedzia przeszliśmy na Pragę, a potem do Modlina. Obrona tej twierdzy jest znana, więc nie będę przypominał szczegółów tego piekła, jakie przeżywaliśmy w bronionych zacięcie fortach Modlina. Gdy 27 września nadeszła wiadomość o kapitulacji bohaterskiej Warszawy, po prostu nie chcieliśmy wierzyć. Na stosie pojawiły się czołgi, początkowo wmawialiśmy sobie, że to jadą nam na odsiecz polskie czołgi z Warszawy. Dalszy opór był bezsensowny. 29 września skapitulował Modlin.

Najpierw moją jednostkę, oczywiście po rozbrojeniu rzecz prosta większość broni zniszczyliśmy tak, że nie nadawała się już nawet do naprawy, skierowano do Pułtuska, stamtąd po dwóch dniach do Królewca, gdzie zostaliśmy jeńcami wojennymi stalagu XX B, który następnie został przerzucony do Marienburga.

Po napaści niemieckiej na ZSRR Hitler wygłosił wielką mowę do podbitych już narodów i na tej podstawie zwolniono z naszego stalagu ludzi, pochodzących z zachodnich województw polskich, w nadziei, że wielu z nas wpisze się na volkslisty. Wróciłem pod Gniezno, ale wzięto mnie na roboty przymusowe. Po nieudanej ucieczce zostałem pracownikiem folwarcznym w Jelitkowie aż do wyzwolenia naszych terenów przez Armię Radziecką. Natychmiast zgłosiłem się jako ochotnik do Wojska Polskiego i zostałem przydzielony do jednostki specjalnej II Armii. Ale to już inna historia.

Antoni Skrocki starszy instruktor Związku Inwalidów Wojennych

Jako ochotnik rozpocząłem służbę wojskową 1 listopada 1936 r. w 7 pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej przeszedłem na służbę nadterminową. Jako wyróżnienie otrzymałem przeniesienie do 2 szwadronu pionierów (saperów) Mazowieckiej Brygady Kawalerii w Warszawie. 28 sierpnia 1939 r. otrzymałem kartę mobilizacyjną z zadaniem or-

3 maja 1946 r. na Placu Litewskim w Lublinie gen. Bewziuk dekoruje Medalem Zwycięstwa i Wolności sierżanta pchor. Antoniego Skrockiego.

ganizowania 12 szwadronu pionierów, który miał wejść w skład rezerwowej brygady kawalerii. Tworzył się on koło Wilanowa gdzie otrzymaliśmy przewidzianą broń, konie, sprzęt, miny, pontony, łodzie, a ponadto 50 chłopskich furmanek. Na 150 ludzi było tylko 3 zawodowych żołnierzy — rotmistrz, porucznik i ja, kapral. 30 sierpnia zameldowaliśmy gotowość bojową, chociaż nie mieliśmy żadnej broni przeciwpancernej czy przeciwlotniczej.

1 września miały się odbyć w naszym rejonie ćwiczenia obrony przeciwlotniczej, więc nadlatujące samoloty nie wzbudziły specjalnej sensacji. Dopiero, gdy zrzuciły kilka prawdziwych bomb okazało się, że to już wojna. Na szczęście, nie było ofiar.

Wkrótce nadszedł rozkaz, aby załadować się w Warszawie do pociągu i jechać do Częstochowy. Wszystko odbywało się w trakcie prawie nieustannych ataków lotniczych, ale stolica była wtedy jeszcze dobrze broniona przez artylerię przeciwlotniczą oraz myśliwce, a szczególnie właśnie rejony dworców. Transport kilka razy stawał, czekając na naprawę zbombardowanych torów, wreszcie koło Kołuszek nakazano wyładunek, dalsza jazda nie była możliwa. Teraz mieliśmy dalej posuwać się konno, oczywiście bocznymi drogami, bo co ważniejsze były doszczętnie zapchane innymi transportami i uciekinierami. Naszej brygady w oznaczonym rejonie nie było. Cywile mówili nam, że radio nakazuje uciekać, bo Niemcy wszystkich Polaków mordują. Wtedy jeszcze tak źle nie było, te wiadomości były nadawane przez radiostacje niemieckie udające polskie, to była dywersja — chodziło o wzniecenie paniki.

W nocy z 6 na 7 września znaleźliśmy się w Skierniewicach. Nie było tam żadnych obiektów wojskowych, ale całe miasto po bombardowaniu paliło się. Przejechaliśmy galopem, aby się nie poparzyć. Rano zaczęły nad nami krążyć 3 Messerschmitty, ale zbiorowy ogień ze 150 luf widocznie je uszkodził, bo szybko odleciały. Kilka mających się jednostek wojskowych, w wyniku doraźnego porozumienia, postanowiło zorganizować opór w Grodzisku Mazowieckim. Szwadron konny posuwał się względnie dobrze, ja z ciężkimi taborami z trudem przedzierałem się przez zatłoczone drogi.

8 września koło wsi Radziejowice nad ranem zaczęła się zbliżać jakaś strzelanina. To cofała się tyraliera podchorążych lotnictwa z rejonu Skierniewic, tuż za nimi piechota niemiecka. Razem przedarliśmy się do lasku; zrzuciłem z wozu kuźnię, a zabrałem kilkanaście skrzyń z amunicją przeciwlotniczą. W tym lasku spotkaliśmy baterię przeciwlotniczą kpt. Bonaszewskiego, któremu te pociski bardzo się przydały. Ponadto wymieniliśmy mapy — dostałem drogowe, a dałem sztabowe, które dla artylerii były bardzo użyteczne.

Jakieś 400 m przed pierwszymi zabudowaniami Grodziska napotkaliśmy czołgi niemieckie. Oddały w naszym kierunku salwę — wiele koni i ludzi padło, padł koń też, ja, na szczęście, wyszedłem bez szwanku. Podjęcie walki z czołgami przy użyciu kawaleryjskich karabinków było niemożliwe. Kto żyw do budynków! — padł rozkaz. Ja biegłem skokami z jakimś podchorążym artylerii przeciwlotniczej, ale Niemcy odcięli nam odwrót, w dodatku zostałem ranny w nogę. W jakimś dołku przytuleni do ziemi przeleżeliśmy aż nadeszła noc. Wokół nas uwijali się Niemcy, okopywali działa, szykując się do wsparcia ataku na Warszawę. W pewnej chwili w Grodzisku podniósł się olbrzymi słup ognia i dymu — to jakiś polski oddziałek, który podobno przedarł się z Warszawy, wysadził w powietrze magazyny paliwa. Sami bezsilni, z radością patrzyliśmy na ten wybuch: żołnierz polski walczył do ostatka...

W nocy gdzieś od Błoni odezwały się nasze karabiny maszynowe, ostrzeliwując pozycje niemieckie. Co któryś pocisk był świetlny: orientując się dzięki tym krótkim błyskom, czołgaliśmy się dosłownie między pozycjami hitlerowców w tamtym kierunku. Wyczerpani do ostatka, ja mdlałem z bólu, zatrzymaliśmy się w pustych zabudowaniach dworca kolejowego. Podchorąży poszedł szukać jakiegoś konia lub woru, ale już nie wrócił, chyba zginął. Na moich oczach wyleciał w powietrze pociąg polski, bo Niemcy zaminowali tor. Gdy o świcie zobaczyłem w pobliżu Niemców, znalazłem się w stodole na słomie, do dzisiaj nie wiem, jak. Byłem okropnie zmęczony, głodny, spragniony, noga puchła coraz bardziej, ale musiałem zachowywać się bardzo cicho. Gdzieś po południu, gdy walki przeniosły się nieco dalej, wrócił z rodziną kolejarz, nazywał się Hieronim Grad. Najpierw przestraszył się moją obecnością, potem nakarmił, napoił, dał cywilne ubranie i odwiózł do szpitala zakaźnego w Grodzisku, gdzie pielęgniarkami były siostry zakonne. Niemcy bali się tyfusu i tylko zaglądali do celi, w której leżałem. Siostra Adela, gdy nadchodzili, dawała mi czepek zakonnicy, ja udawałem śpiącego, więc kolejni Niemcy machali ręką i szli dalej.

Po pobycie w kilku szpitalach zostałem wymeldowany z początkiem 1940 r. jako pochodzący spoza Buga. W Lidzie rozpuszczono nas. W 1944 r. wstąpiłem do I Armii i jako żołnierz 8 pułku piechoty przeszedłem szlak bojowy od Warszawy do Berlina. Byłem jednym z tych nielicznych, którzy na własne oczy widzieli, jak na gruzach Reichstagu zawieszano flagi radziecką i polską.

Jan Żak pracownik Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego

W 1935 r. jako poborowy stawiłem się w 24 pułku ułanów w Krasniku i tam po ukończeniu szkoły podoficerskiej pozostałem jako kapral nadterminowy. Po przemianowaniu pułku na zmotoryzowany zostałem przeniesiony wraz ze szwadronem do 12 pułku ułanów podolskich w Krzemieńcu. W początkach sierpnia 1939 r. w ramach plutonu kwaterunkowego pojechałem przygotowywać kwatery na okres manewrów. Już wszystko było gotowe, pułk się zbliżał, gdy zarządzono mobilizację całej naszej jednostki. Miejscowe kobiety pomagały nam ładować bagaże i siodłać konie, po czym galopem pojechaliśmy na miejsce zbiórki. W ciągu 6 godzin przejechaliśmy ponad 120 km. Ale potem z trudem mogliśmy chodzić po ziemi.

Do naszego miejsca postoju w lasach, zjeżdżali rezerwiści, nadchodziło umundurowanie i broń. Przyjechał jakiś generał, odebrał przysięgę, taką, jaką składał każdy żołnierz po zakończeniu okresu rekruckiego, po czym spalono wszystko, co zbędne, łącznie ze zużytym sprzętem. Koncentracja brygady nastąpiła najpierw w rejonie Brodów, gdzie rezydował jej dowódca, gen. Przewłocki, potem w rejonie Krzemieńca. Wreszcie pociągiem przez dwie doby jechaliśmy pod samą granicę do Wielunia. W okolicach tego miasta stanęliśmy na kwaterach i m. in. rozpoczęło się szkolenie w używaniu broni przeciwpancernej — zresztą wyłącznie teoretyczne, bo samej broni nie było.

1 września wczesnym rankiem od uciekających na rowerach policjantów dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Podeszliśmy bliżej granicy, otrzymaliśmy też tego dnia ową broń ppanc. Zaczęły bzykać kule, nakazano przygotować maski przeciwgazowe. Od czoła przyszło wołanie o wozy dla rannych. Przeszliśmy za wał kolejowy i za chwilę na drodze wzdłuż wału pojawiło się ok. 80 czołgów niemieckich. Przed nami jakaś rozrzucona wieś, której domy kolejno niszczyła niemiecka artyleria i czołgi. Nagle na

Kamera str. 8

torze, w luce leśnej, pojawił się polski pociąg pancerny, kilkoma strzałami zniszczył 3 czołgi, ale szybko odjechał. Cofnęliśmy się za wał na skraj lasu. Czołgi niemieckie przejechały mostem i wjechały przed nas. Dowódca pułku płk. Kuczek kazał otworzyć ogień dopiero wtedy gdy czołgi były już wśród nas. Kilka pierwszych zapaliło się. Niemcy zaczęli wyskakiwać, reszta kolumny cofnęła się, ale wkrótce przejechała drugim przejazdem, słabo bronionym.

Obandażowaliśmy rannych Niemców i zaczęliśmy cofać się. Wieś z naszymi kwaterami była już niemal całkowicie zniszczona. Pod stałym naporem trzeba się było cofać, oparliśmy się dopiero w

Jan Żak, kapral 12 pułku ułanów.

Puszczy Kampinoskiej, gdzie znaleźliśmy tak bardzo potrzebny punkt zaopatrzeniowy. Walki w rejonie Puszczy są znane jako całość, o szczegółach można mówić całymi dniami. Żyliśmy i walczyliśmy pod stałym gradem bomb i pocisków artyleryjskich. Ataki, kontrataki, walki zagubionych oddziałków, kilka razy nawet na bagnety, strzały w plecy od cywilnych Niemców...

Wreszcie znaleźliśmy się w rejonie Jabłonny, razem z resztkami wielu innych rozbitych jednostek, niezdolni do dalszego oporu wskutek braku broni i amunicji. Pierwsi żandarmi niemieccy obiecywali nam doskonałe traktowanie i szybkie rozpuszczenie do domów. Stało się inaczej. Przeraźliwie zmęczonych pognano nas do stacji kolejowej Wójtostwo, stamtąd zadrutowanymi wagonami towarowymi do stalagu w Olsztynie. Przez 2 doby jazdy ani razu nie otwarto wagonów, nie dano jeść ani pić, nie pozwolono na usunięcie zmarłych, nie dano rannym ani jednego bandaża czy lekarstwa.

Pod namiotami, w olsztyńskim stalagu, spędziłem 16 miesięcy. Przed wejściem i na każdym rogu karabiny maszynowe, wszędzie pełno wartowników z automatami, druty podłączone do prądu elektrycznego. Któregoś dnia zjawiło się kilkunastu Niemców, wybierając sobie jeńców do roboty. Ja z 9 kolegami trafiłem do grafa von Finkensteina. Pracowaliśmy w polu, zawsze pilnował nas uzbrojony wachman.

Oswobodzenie przyniosła dopiero Armia Radziecka. Trzy tygodnie przygodnymi furmankami wracałem do rodziny pod Kraśnikiem. Po miesiącu zgłosiłem się do służby w MO, skończyłem szkołę oficerską w Słupsku. W 1950 r. zakończyłem służbę w MO i od tego czasu pracuję bez przerwy w Lubelskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego.

Rozmawiał
Jerzy Dostatni

To, co najcenniejsze...

Wojciech Białasiewicz

LEŻY przede mną stos fotografii przedstawiających podobizny żołnierzy, którzy trzydzieści lat temu, na zakurzonych szlakach września 1939 roku, polegli w obronie ojczyzny. 24-letni szeregowy Stanisław Wójtowicz z Krosna, żołnierz baonu pancernego, który poległ 16 września w czołgu rozpoznawczym TKS w rejonie Smólska Dużego, rażony pociskiem przeciwpancernym, a obok kpr. Ryszard Radzikowski z 1 dyonu artylerii konnej, przeszyty serią z karabinu maszynowego w dniu 26 września w rejonie Aleksandrowa. 20-letni szeregowy kompanii strzeleckiej PW z Niepołomic, Antoni Zych, zmarły z ran w szpitalu w Hrubieszowie. Por. Aleksander Stypułkowski, 31-letni d-ca kompanii 11 pp, który w trakcie natarcia w dniu 15 września zginął od eksplozji własnego granatu, zawieszonego na pasie. Szer. Karol Pajkos z 2 pułku strzelców podhalańskich, zginął w wieku 23 lat w rejonie Łukowej, a tuż obok fotografia jego rówieśnika, szer. 60 pp Stanisława Dymarczyka z Kalisza, który zginął 20 września, rozstrzelany przez Niemców jako jeniec, w zbiorowej egzekucji w Majdanie Wielkim, koło Krasnobrodu.

Dziesiątki, setki nazwisk ludzi przeważnie młodych, których na zawsze przyjęły piaski zamojskie. Kiedy przed trzema laty przystąpiłem do identyfikacji żołnierzy polskich poległych w 1939 r. i pochowanych na Zamojszczyźnie, pod której pojęciem rozumiem powiaty zamojski, tomaszowski, biłgorajski i hrubieszowski, nie sądziłem, że akcja ta przyjmie aż takie rozmiary.

Rozpocząłem więc motocyklową wędrówkę po cmentarzach Zamojszczyzny, która trwała pełne dwa miesiące. Wyjazdy te pochłonęły mnie całkowicie, weszły do tego stopnia w krew, że nie wyobrażałem sobie dnia, który byłby spędzony nie na motocyklu i nie w pogoni za czymś, co od wielu lat, okryte patyną czasu, spoczywało w ziemi.

I gdy podczas jednego z wyjazdów leżałem po upadku, zresztą zupełnie nieszkodliwym, wgnieciony motocyklem w biłgorajski piasek, miałem właściwie serdecznie dość tej włóczęgi. Pozwoliłem sobie wówczas na kontemplację, zaiste w dość niezwykłych warunkach. Po krótkiej chwili zniechęcenia sięgnąłem pamięcią wstecz i przypomniałem sobie pożółkłą kartkę, odnalezioną w aktach parafii w Komarowie, kartkę zapisaną w 1939 roku ręką ówczesnego proboszcza ks. dr Kwoczyńskiego, która podawała nazwiska poległych wraz z oznaczeniem miejsc ich pochowania na miejscowym cmentarzu. Przypomniałem sobie także murowane krzyżyki na cmentarzu komarowskim z umocowanymi tabliczkami „nieznany żołnierz". Fakt, że tabliczki te mogłem tyle lat po rozgrywających się wypadkach ożywić, że mogłem im nadać pełne brzmienie, był dla mnie osobiście momentem bardzo wzruszającym. Chciałem zrobić wszystko, aby sylwetki poległych żołnierzy nie poszły w niepamięć i czułem ogromną satysfakcję, gdy to się udało.

Z jakże innymi uczuciami stałem przed olbrzymią, zbiorową mogiłą żołnierzy pochowanych we wsi Łosiniec, przed mogiłą, która kryła w sobie około dwóch setek ludzkich istnień, bezimiennych. Poznałem wtedy smak gorzkiej bezsilności, która zresztą towarzyszyła mi także podczas identyfikowania poległych, pochowanych na cmentarzu parafialnym w Krasnobrodzie. Okrutną wymowę posiadały umieszczone tam, na zbiorowych mogiłach, tabliczki z napisami „150 nieznanych żołnierzy", itp. Albo kwatera żołnierzy poległych w kampanii 1939 roku, bądź zmarłych z ran w Centrum Szpitali Wojskowych w Zamościu i pochowanych na miejscowym cmentarzu parafialnym. Utrzymana w dużym porządku, doprowadzała mnie do pasji tabliczkami z napisem „nieznany żołnierz". Jaki „nieznany"? A przecież wystarczyło sięgnąć do akt parafialnych w Zamościu, aby zidentyfikować stu kilkudziesięciu poległych i nie tylko podać ich imiona oraz nazwiska, ale także wskazać miejsce ich pochowania. Ks. płk Ludwik Bombas rzetelnie pełnił funkcje kapelana Centrum Szpitali w Zamościu i zasłużył na pamięć potomnych, utrwalając w specjalnym wykazie nazwiska tych, którzy swoje młode życie złożyli w ofierze...

Wiele, bardzo wiele zawdzięczam ludziom, których nie sposób wymienić na tym miejscu po nazwiskach, a którzy okazali mi nadzwyczaj duże zrozumienia oraz pomocy w niełatwym przecież zadaniu identyfikacji poległych żołnierzy. Wszyscy starali się pomóc w miarę swoich sił i możliwości. Dokumentacją parafialną, która okazała się bezcenna, a zwłaszcza księgi aktów zgonu, służyli mi księża proboszczowie. Zdarzało się, że księża w formie komunikatów z ambon zwracali się do społeczeństwa o informacje dotyczące poległych. Akcją identyfikacji objętych było na Zamojszczyźnie około 80 parafii, a więc taka sama liczba cmentarzy parafialnych.

Równolegle prowadziłem poszukiwania przy pomocy organów administracji terenowej, przeglądając akta, znajdujące się w posiadaniu rad narodowych. Szczególnie cenne materiały otrzymałem z Prezydium PRN w Biłgoraju. Były to materiały Polskiego Czerwonego Krzyża z okresu pierwszych lat okupacji, kiedy to pod auspicjami PCK ekshumowano poległych żołnierzy, którzy pochowani byli w prowizorycznych mogiłach, na okoliczne cmentarze. Zawartość tek archiwalnych, znajdujących się w posiadaniu PRN w Zamościu, Tomaszowie Lub. i Hrubieszowie, wbrew przypuszczeniom zupełnie mnie rozczarowała. Na podkreślenie natomiast zasługuje bardzo życzliwy stosunek pracowników administracji do prowadzonych poszukiwań. Niejednokrotnie przewodniczący GRN mobilizował cały personel urzędniczy, celem odnalezienia potrzebnych dokumentów bądź uzyskania informacji. Oczekujący wówczas na załatwienie spraw petenci załamywali ręce, traktując przyjazd usmolonego faceta na motocyklu jako dopust boży.

Wiele nadzwyczaj cennych informacji otrzymałem od osób, które w 1939 roku pełniły funkcje organistów kościelnych albo grabarzy i z racji swoich obowiązków uczestniczyły w chowaniu poległych żołnierzy. Nie przypuszczałem nawet, że wydarzenia wojenne, tak wydawałoby się odległe, utrwalone zostały z taką wyrazistością i mocą w umysłach prostych ludzi, mieszkańców zamojskich wiosek.

Nigdy nie zapomnę jednego z takich spotkań we wsi Niemirówek. Była już późna godzina wieczorna, kiedy w chacie, do której zostałem zaprowadzony, zebrało się grono mieszkańców wioski. Przez kilka godzin zafascynowany byłem wspomnieniami, które snuto językiem prostym, niewyszukanymi słowami, ale tak sugestywnie, że mimo woli uległem nastrojowi chwili. Usłyszałem wówczas m. in. opowieść o młodziutkim podchorążym Janie Jerzym Fortunacie Kwiatkowskim, synu b. ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego. W tej właśnie chacie, ranny szrapnelem w twarz, z całą młodzieńczą wiarą i optymizmem roztaczał przed opiekującymi się nim chłopami wizję zwycięstwa, w które wierzył, a którego przecież nie było mu dane doczekać.

Wydobyte z mroków zapomnienia nazwiska poległych żołnierzy rozpocząłem drukować na łamach „WTK", wywołując duże zainteresowanie w szerokich kręgach społeczeństwa, a zwłaszcza tej jego części, dla której wydarzenia roku 1939, zarówno w sercach jak i umysłach, są ciągle żywe. Mało osób wie, że do dziś Wydział Informacji i Poszukiwań Zarządu Głównego PCK otrzymuje rocznie kilka tysięcy listów z prośbą o udzielenie wiadomości o losach najbliższych. Do „WTK" zaczęły napływać dziesiątki listów dosłownie ze wszystkich zakątków kraju. Rozesłałem także parę setek listów na adresy aktualne trzydzieści lat temu, które znajdowały się w dokumentacji poległych żołnierzy. To była nikła szansa nawiązania kontaktów, ale na co piąty list otrzymałem odpowiedź.

Z powodzi korespondencji wybrałem poniższe fragmenty na zasadzie zupełnej dowolności. Stanowią one jednak, moim zdaniem, o istocie problemu identyfikacji poległych żołnierzy wrześniowych, pomimo że przeprowadzona została w tak wiele lat po wojnie.

Wdzięczny jestem za zainteresowanie się postacią mojego ojca, poległego na Ziemi Zamojskiej we wrześniu 1939 roku. Strzelec 11 pułku piechoty, Wincenty Szkoc, zwykły prosty żołnierz, oddał ojczyźnie to, co było dla niego najdroższe, to jest życie. Nie dokonał jakiegoś poważnego czynu bohaterskiego, lecz jego postępowanie wiodło do czynów bohaterskich, został wierny ojczyźnie i swej żołnierskiej przysiędze do końca swego życia. My, jako jego rodzina, wdzięczni jesteśmy mieszkańcom Zamościa, ponieważ zachowali pamięć o żołnierzach września 1939 r., tj. o moim ojcu również, opiekują się mogiłami i dbają o to żeby wciąż na nich rosły kwiaty — Józef Szkoc z Dąbrowy Górniczej.

Zwracamy się z prośbą o poinformowanie nas, w którym miejscu spoczywają zwłoki brata, oraz o podanie bliższych danych o drogiej nam osobie. Po otrzymaniu odpowiedzi wybieramy się pojechać do mogiły ukochanego brata Tomasza. Jesteśmy bardzo wstrząśnięci tą wiadomością, tym bardziej, że poczynione zapytania w PCK po odzyskaniu niepodległości o losie mego brata, dały odpowiedzi negatywne. — Andrzej Bodylski z Kalisza.

Proszę bardzo o dokładne powiadomienie mnie, gdzie leży mój mąż, jaką śmiercią zginął i jak po tylu latach odnalazł Pan go. Korzystając z wycieczki, która pojedzie z pracy do Lublina, chciałabym odwiedzić grób. Bardzo Panu dziękuję za zainteresowanie się tą sprawą. — Teodozja Bultrowicz ze Szczecina.

Wzruszona jestem życzliwością i prawdziwie ludzkim zrozumieniem cudzego bólu czy żałoby. Cieszę się, że są jednak jeszcze ludzie dobrej woli. Szukałam Zbyszka, bezskutecznie, w okresie okupacji wśród kolegów i oficerów z innych pułków, w oflagach. Po wyzwoleniu szukałam przez Czerwony Krzyż, daremnie. Dopiero znalazłam jego nazwisko wydrukowane w „WTK". To była okropna, bolesna prawda. — Maria Zamoyska-Borowska z Gorzowa Wielkopolskiego.

Czy Pan nie mógłby mi dokładniej opisać, czy mogiła ojca na cmentarzu jest widoczna i czy można ją rozróżnić między innymi, bo gdyby tak, to ja bym przyjechał zobaczyć jego miejsce spoczynku. — Stefan Wcisło z Zalipia, woj. krakowskie.

Bardzo dziękuję za wiadomość o śmierci brata. Dotąd nie wiedziałem, jak zginął i gdzie, byłem tylko pewny, że nie żyje, bo tyle lat i żadnej wiadomości. Będę bardzo wdzięczny jeżeli dowiem się, gdzie jest mogiła mego brata. — Władysław Smoliński z Łodzi.

Stokrotnie dziękuję, bo nie wiedziałam, gdzie syn zginął i co się z nim stało. Jest to bolesny cios dla mnie, bo nie dostanę się tam skropić jego mogiły łzami. Ciężki ból dla mnie, że tak chorował, nie zapomnę tego nigdy. — Julia Zych z Niepołomic, woj. krakowskie.

Po zakończeniu działań wojennych dowiadywałam się o męża przez PCK, który nic nie odpowiadał, aż dopiero przez Niemiecki Czerwony Krzyż otrzymałam wiadomość, ale nie byłam jej pewna. Dopiero wzmianka w „WTK" upewniła mnie w tej ciężkiej i smutnej dla mnie i rodziny wiadomości. Zasyłam wyrazy szacunku i wdzięczności. — Weronika Mioduszewska z Krześlina, pow. Siedlce.

Piszę do Pana jako rodzony brat poległego por. A. Stypułkowskiego. Wdzięczny jetem Panu, że mogłem znaleźć w „WTK" nazwisko drogiego mi brata, poległego w obronie ojczyzny. — Edward Stypułkowski z Zambrowa.

Akcja identyfikacji żołnierzy polskich poległych w okresie kampanii wrześniowej 1939 roku na Zamojszczyźnie nie jest jeszcze zakończona i należy przypuszczać, że jeszcze szereg nazwisk uda się uchronić od zapomnienia i przekazać opinii publicznej. Dotychczas udało mi się ustalić około tysiąca nazwisk poległych żołnierzy, natomiast w piaskach zamojskich spoczywa ich ponad trzy tysiące. Oddali za wolność to, co najcenniejsze — życie...

Cmentarz wojskowy we wsi Banachy.

MARIAN BUCZEK

JEGO nazwisko na zawsze związało się z Lublinem. Podobnie jak z historią partii, jej rewolucyjną działalnością w okresie międzywojennym o wyzwolenie społeczne i walką zbrojną o wolność narodową.

Marian Buczek urodził się 26 września 1896 roku, we wsi Nużyn pod Łukowem, jako syn kolejarza. Od 15 roku życia pracował w warsztacie ślusarskim, potem jako kolejarz w Lublinie, poznając własnym doświadczeniem najpierw rządy carskie, a potem obietnice i rzeczywistość odzyskującego niepodległość państwa.

Gorący patriota, nie orientujący się jeszcze w arkanach polityki na wysokich szczeblach, wstąpił do Legionów Piłsudskiego. Ale gdy przyszło do złożenia przysięgi na wierność Austrii — był wśród tych, którzy złożenia tej przysięgi odmówili. Unikając szczęśliwie represji, przedziera się do Lublina, gdzie pod koniec 1918 r. zostaje komendantem Milicji Ludowej okręgu lubelskiego. Była to organizacja zbrojna, tworzona od chwili powstania Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie, a złożona głównie z członków SDKPiL, Pogotowia Bojowego PPS oraz PSL Wyzwolenie. Milicja Ludowa, uznana jeszcze przez rząd Moraczewskiego, została wkrótce podporządkowana bezpośrednio Piłsudskiemu, który postanowił ją najpierw rozbroić, a potem rozwiązać, wcielając resztki do policji granatowej.

Buczek był wtedy członkiem PPS. Ale podczas gdy góra PPS kierowała się coraz bardziej na prawo, on odwrotnie — konsekwentnie zmierzał w stronę rewolucyjnej lewicy. Mieczysław Kucharuk, organizator pierwszego na Lubelszczyźnie komitetu folwarcznego (w Zemborzycach), członek Lubelskiej Rady Delegatów Robotniczych, w swoich wspomnieniach (w rękopisie) pisze wielokrotnie o Buczku.

Poznali się 8 lutego 1919 r., gdy Buczek przyjechał na wizytację komendy rezerwy Milicji Ludowej w Zemborzycach. Był tam cały dzień, m. in. zapowiadając, że 9 lutego w sali „Rusałka" odbędzie się wielki wiec robotników Lublina, łącznie z robotnikami wielu folwarków. Na wiecu tym miano domagać się amnestii dla więźniów politycznych, wywłaszczenia obszarników oraz upaństwowienia wielkich zakładów przemysłowych. Wieczorem, do zakonspirowanej izby, przyszedł jakiś chłop z wiadomością, że na weselu we Wrotkowie policja bije chłopów, którzy proszą aby obaj zaraz przyszli. Buczek jednak nie poszedł, uprzedzając towarzyszy: to się może źle skończyć. I rzeczywiście — okazało się, że to była pułapka. W drodze Kucharuk wraz z dwoma innymi został aresztowany, a w komisariacie policjant tłumaczył się przed komisarzem: Buczek nie przyszedł.

Jakiś czas potem Buczek zażądał od Kucharuka przygotowania ściśle zakonspirowanego pomieszczenia w Zemborzycach oraz zaufanego człowieka z furmanką. Chodziło o przechowanie broni i amunicji, ponieważ obawiano się, że na rozkaz władz warszawskich broń Milicji Ludowej może być skonfiskowana. Kryjówka mieściła się w pałacu zemborzyckim, wchodziło się do niej przez kominek. Fornal Korba jeździł potem do Lublina, przywożąc jakieś ciężkie ładunki, których zawartości jednak nie znał.

W nocy z 12 na 13 kwietnia wyleciała w powietrze prochownia lubelska, wyrządzając zarazem duże szkody w pobliskich koszarach. Buczek kierował wtedy wydziałem śledczym Milicji Ludowej, a mieszkał w zakonspirowanym mieszkaniu przy ul. Namiestnikowskiej (Narutowicza). Wkrótce został aresztowany pod zarzutem, że to on wysadził prochownię, a także dlatego, że przeciwstawiał się stale ograniczaniu kompetencji oraz projektom rozwiązania Milicji Ludowej. Pod tymi zarzutami przesiedział dwa lata w więzieniu na Zamku, będąc pierwszym więźniem politycznym w tym gmachu. Zwolniony z braku dowodów, natychmiast po wyjściu zorganizował komórkę PPS-Lewicy, wraz z którą wkrótce wstąpił do KPP. Aresztowany ponownie, został skazany na 8 lat więzienia.

W latach 1929—33 z ramienia partii działał w Warszawie, Zagłębiu Dąbrowskim i na Śląsku. Jeden z uczestników nielegalnego zebrania komunistów w Łomży tak napisze później o Buczku: *Zobaczyliśmy człowieka czynu, człowieka, którego gnała wprost z bramy więziennej żądza nieubłaganej walki. Spodziewaliśmy się zobaczyć w nim męczennika sprawy, ale zobaczyliśmy walczącego buntownika, nieskazitelnego rewolucjonistę i nauczyciela.*

24 maja 1933 r. został znów aresztowany i skazany na 10 lat więzienia. Poznał najcięższe sanacyjne więzienia — w Białymstoku, Sieradzu, Łowiczu, na Mokotowie, we Wronkach i Rawiczu.

Buczek stał się jednym z głównych organizatorów komun więziennych. Były to w okresie międzywojennym organizacje więźniów politycznych, które reprezentowały ich wobec administracji więziennych, zajmowały się rozdziałem żywności i odzieży, ale przede wszystkim prowadziły szkolenie polityczne i ogólne. Różnymi drogami utrzymywały one kontakty z KPP i Czerwoną Pomocą. Komuny stały się jakby uniwersytetami komunistycznymi, przygotowując jednych do dalszej walki o wyzwolenie społeczne, wciągając innych do działalności rewolucyjnej, do partii.

Pod koniec sierpnia 1939 r. starosta komuny więziennej w Rawiczu, Marian Buczek złożył w administracji wszystkie pieniądze więźniów politycznych z przeznaczeniem na Fundusz Obrony Narodowej. Ofiary tej jednak nie przyjęto. W dniu 31 sierpnia Buczek w imieniu współtowarzyszy przedstawił kancelarii więzienia następujące oświadczenie: *Walczyliśmy zawsze z faszyzmem i jesteśmy obecnie gotowi do walki. Zgłaszamy się do wojska, by walczyć z bronią w ręku przeciw najazdowi hitlerowskiemu.*

Ale i tym razem nie przyjęto ofiary patriotów. Odwrotnie — gdy następnego dnia administracja uciekła z Rawicza, bramy więzienia zamknięto szczególnie troskliwie, a na stole zostawiono dla Niemców kartkę z wymowną informacją: „Komunistisches Gesindel" (komunistyczna hołota).

Więźniowie zdołali jednak na czas wyłamać kraty i bramy; pomaszerowali w kierunku Warszawy, aby tam przyłączyć się do walczących. Po drodze grupa, której przewodził Buczek, gdzieś koło Konina przyłączyła się do jakiegoś cofającego się oddziału. Dowodzący tą grupą nieznany porucznik broni dać nie mógł, bo sam jej w nadmiarze nie posiadał, ale zarówno on sam jak i prości żołnierze odnosili się do więźniów z całą serdecznością i dzielili się z nimi skromnymi posiłkami.

Koło Ożarowa, 20 km od Warszawy, znajduje się aleja drzew, a koło niej groby, przeważnie nieznanych ludzi. To tutaj jest grób Mariana Buczka. Wraz z kolegami nie doszedł do Warszawy, padł w tym miejscu, pod ogniem niemieckich karabinów maszynowych.

Życie Buczka to uporczywa, ciągła walka, pełna poświęceń osobistych, o wyzwolenie mas pracujących spod ucisku i wyzysku kapitalistycznego, o Polskę ludową. Władze sanacyjne odpłaciły mu za to 16 latami więzienia.

(d)

Kamena str. 9

ZIEMIA

Romuald Wiśniewski

FELIKSA Ostrowska z góry uprzedza, że nie ma czasu na rozmowy, a następnie żąda, bym schował notes, bo jeśli chcę coś zapisywać, to ona słowa nie powie. I dopiero potem, gdy jednak sobie pogawędziliśmy, poznałem powody tej nieufności: myślałam, że to ktoś podejrzany. Z powiatu teraz do chłopów nie przyjeżdżają, bo wiedzą, że w polu urwanie głowy. No to kto? Z gminy to przyjeżdżają motorem, albo rowerem. Skąd mogłam wiedzieć, że pan z gazety? Pewnie te jehowe, pomyślałam sobie, jak zobaczyłam, że taksówka jedzie po drodze i staje koło nas.

Droga jest polna, wyboista i obsadzona gęsto po obu stronach orzechami włoskimi. Orzech lubi słońce, tegoroczna pogoda sprzyjała mu, więc z drzew zwisają wielkie jak rzadko kiedy owoce. Orzechy to rekompensata dla tych, którzy nie dostali ziemi przy drodze Wandalin—Wrzelowiec, o twardej nawierzchni, tylko przy idącej od niej w bok polnej drodze. Orzechy posadził pan Kleniewski, nie sam, oczywiście, tylko rękami swoich robotników, a że to wszystko wokół było jego, toteż i cały plon z drzew wpływał do pańskich magazynów. Po parcelacji, drzewa przy drodze bitej stały się własnością zarządu dróg publicznych, a te, przy bocznej, polnej, rolników, na których ziemi rosną. Naturalnie orzechy nie są w stanie zrównoważyć korzyści, jakie daje usytuowanie gospodarstwa przy drodze bitej, lecz trudno, pani Feliksa nie narzeka. I tak przecież urządziła się przez te dwadzieścia pięć lat.

W miarę, jak przekonuje się, że rzeczywiście nie jestem „ten jehowa" zaczyna opowiadać mi coraz chętniej, wyraźnie wzrusza się swymi wspomnieniami.

— Panie, jaka nam była bida. Ile razy chleba brakowało. A teraz to się nie zdarza. I mleko też zawsze jest, dwie krowy trzymam, kawałek słoniny też się znajdzie, bo i świnie się hoduje, i krowy, i kaczki. No, inne życie.

Pokazuje mi z dumą gospodarstwo. Murowany, ładnie otynkowany dom, murowany budynek stajniobory, murowana chlewnia, murowana suszarnia tytoniu... Stodoła jest drewniana, ale olbrzymia. Warto by postawić nową, krytą nie słomą, a dachówką, tylko czy sił wystarczy? Ostrowska i jej mąż Stanisław to ludzie już dobiegający wieku emerytalnego. I tak przecież mogą być dumni z tego, co zrobili własnymi rękami. Czyż jeszcze 25 lat temu marzyli, że będą kiedyś gospodarzami w pełnym tego słowa znaczeniu, cenionymi w okolicy? Wtedy, w 1944 roku, mieszkali w Kluczkowicach, w jednej izbie, w czworakach, u pana Kleniewskiego. Gdy ukazał się dekret o reformie rolnej i gdy dostali 3 hektary ziemi, nie mieli oprócz niej nic, ani budynków, ani sprzężaju, ani narzędzi...

— Dziś, gdybym miała nawet tamte lata, tamto zdrowie i nic więcej, i gdyby mi dali 3 hektary szczerego pola i powiedzieli, że mam tu osiąść i gospodarować, to bym się nie podjęła. Ale wtedy, to było co innego, ojciec i matka całe życie pracowali na pańskim, ja z mężem myśleliśmy, że też tak będziemy musieli, nie mieliśmy żadnej możliwości żeby kupić sobie na własność kawałek roli, a tu nagle dali nam za darmo. Ile myśmy się natyrali, żeby to wszystko zbudować, żeby kupić młocarnię, kosiarkę i inne maszyny... Co ja będę panu opowiadać. Pracowało się, to i jest...

Włącza silnik i pompuje wodę ze studni. Do wody tu głęboko, 36 metrów, dawniej wydawało im się sukcesem wykopanie i obetonowanie studni, teraz uznali, że kręcenie korbą jest zbyt męczące i kupili motor. Nikt we wsi jeszcze takiego motoru nie ma. Ostrowscy uważani są zresztą powszechnie za zamożnych, a to stąd, że przed laty przejęli w użytkowanie 3 hektary ziemi po sąsiedzie, który wyjechał na Zachód. Dzieci mieli też nie za wiele do wykarmienia, zaledwie dwoje. Oboje są teraz w Opolu — syn pracuje jako elektryk, córka wyszła za mąż i ma zamiar objąć po rodzicach gospodarstwo. Na razie mieszka w mieście, gdyż chce opiekować się swymi dziećmi, chodzącymi tam do szkoły. Lecz wakacje spędzają u rodziców na wsi, pracując w polu.

Ostrowscy są zatem trochę nietypowi przez uprawianie swoich 6 ha, lecz niewiele odbiegli od typowości. Wieś Kręciszówka, którą zwiedziłem i o której teraz piszę, położona w pobliżu Kluczkowic w powiecie opolskim, w woj. lubelskim, składa się z dwudziestu czterech gospodarstw, o powierzchni 3 hektarów każde. Poza kilkoma rolnikami którzy przedtem mieli już drobne kawałki ziemi i jedynie dodano im trochę, tak, aby mieli łącznie po 3 ha, wszyscy inni to robotnicy folwarczni Kleniewskiego, którzy dopiero po otrzymaniu ziemi z reformy rolnej zaczęli samodzielnie gospodarzyć. Też zaczynali od zera, w pustym polu. Trzy czwarte Kręciszówki mieszka dziś w murowanych domach, przy każdym na ogół znajduje się jeden lub dwa murowane budynki gospodarcze. Paru buduje się. To, jak na lubelską wieś, bardzo dobrze.

Powiat opolski w woj. lubelskim ma duże połacie bardzo urodzajnych ziem, ale są tu też i gleby kiepskie, nawet V i VI klasy. Kręciszówka leży właśnie na słabszych. Wprawdzie w miarę możności uprawiają tu i pszenicę i buraki cukrowe, lecz przede wszystkim żyto, kartofle, jęczmień, owies. I tytoń — to prawie każdy, choć po kawałeczku. Powiat słynie z wysokiej kultury rolnej i rozwiniętego sadownictwa. Znajdują się tu duże zakłady przetwórcze warzywno-owocowe. Rolnicy co roku powiększają areał sadów. Co jednak powoduje, że Kręciszówka tak się buduje? Usiłowałem znaleźć na to pytanie odpowiedź i nie znalazłem. Nie kryję się ona bowiem w zamożności mieszkańców. Nie żyją za bogato, nie. Wieś nie jest zelektryfikowana, więc nie mają telewizorów, lodówek, pralek i odkurzaczy, u niewielu widziałem meble na wysoki połysk. Cały wysiłek idzie na inwestycje niezbędne do dalszego rozwoju gospodarstwa: budynki i maszyny. A wysiłku nie żałują. Może po prostu, przyzwyczajeni do ciężkiej harówki na cudzym, teraz w dwójnasób pracują na swoim?

Oto przy tej orzechowej drodze stoi ładny murowany, nie otynkowany dom. Obok murowana obora z chlewnią. W stodole dwaj chłopcy w wieku szkolnym obsługują wialnię. Podwórze czysto zamiecione, w jednym końcu olbrzymi stos porżniętego i porąbanego drzewa. Gospodarz, Stanisław Basiakowski, ma lat 39, lecz wygląda poważniej: mocno łysawy, kędzierzawe włosy gęsto przyprószone siwizną. Trzy lata temu miał wylew krwi do mózgu, przeleżał długo w szpitalu, jeszcze z tego powodu nie bardzo dobrze może mówić, lekarze zabronili mu ciężkiej pracy fizycznej. Lecz kto ma za niego robić? Żona pomoże, na ile ją stać. Synowie w wieku 12, 11, 10 i 6 lat też się przykładają, ten stos drzewa na podwórzu to ich robota. Jednak główne zadania spadają na barki mężczyzny. Miał 18 lat, gdy zmarł jego ojciec, Paweł, który pracował w chlewni zarodowej Kleniewskiego, a w 1944 r. dostał tę ziemię z reformy. Rodzeństwo Stanisława wyjechało po wojnie do miasta, jeden brat, funkcjonariusz MO, zginął, jeden nadal jest milicjantem, jedna siostra jest zamężna za pułkownikiem, jedna za majorem. Stanisław też by nie narzekał na warunki, gdyby nie zdrowie. Przez 15 lat po otrzymaniu ziemi mieszkał jeszcze z matką, a potem z żoną, a potem i synami w jednej izbie w czworakach, potem postawili murowaną chlewnię i ona była im 7 lat domem, nie lepszym niż czworaki, ale zawsze obok własnego pola. Od 3 lat ma już prawdziwy dom, 2 pokoje z kuchnią i spiżarnią. Kupił kierat, młocarnię, planuje nabycie w przyszłym roku żniwiarki. Ma konia, dwie krowy, dwoje cieląt, maciorę, dwie małe świnie i czworo prosiąt. Obok domu sad, 30 jabłoni, trochę grusz i śliw. Żeby tak jeszcze zelektryfikowali Kręciszówkę! I żeby zdrowie było. Za kilka lat synowie dorosną, lecz na gospodarstwie chyba nie osiądą — może najmłodszy, bo pozostali nieodmiennie mówią, że zostaną oficerami.

Rozmawiając z Basiakowskim, z Ostrowską, z 58-letnim Stanisławem Skowronem i jego żoną, Genowefą, z 46-letnim Janem Piątkiem i innymi mieszkańcami Kręciszówki, małej wsi, która powstała przed ćwierćwieczem na rozparcelowanych terenach Kleniewskich, a dziś wyglądającej zasobnie i zamożnie, zastanawiałem się nad przyczynami różnic pomiędzy jej losami, a losami Podzamku, który odwiedziłem kilka dni przed wizytą w Kręciszówce.

Podzamek leży pod Krasnobrodem, w powiecie zamojskim i w całości składa się z gospodarstw powstałych z reformy rolnej. W Komitecie Powiatowym PZPR w Zamościu, gdzie zwróciłem się po informacje, wyliczono mi kilka wsi, które rozwinęły się znakomicie, osiągając wysokie wskaźniki w produkcji rolnej, pobudowały w czynie społecznym obiekty kulturalne i socjalne. A potem zaproponowano:

— To jednak typowe. Dobrych, wzorowych wsi mamy w powiecie wiele. Najlepiej będzie, gdy redaktor pojedzie do Podzamku. To nie jest wieś wzorowa. To jest wieś, która w chwili reformy nie wykorzystała swojej szansy, została w tyle, a teraz, choć nadrabia opóźnienia, nie może jakoś podciągnąć do przeciętnej powiatowej. Może tak doping na łamach prasy zaktywizuje tamtejszą ludność?

Co do skuteczności dopingu prasowego mam swój osobisty pogląd, ale jeśli władze powiatowe, zamiast chwalić się swymi najlepszymi wsiami, zachęcają mnie do tej mało udanej — warto pojechać, więc pojechałem. Zresztą Krasnobród to już Roztocze, sama podróż przez tę pofalowaną, malowniczą okolicę warta jest zachodu.

Podzamek, to faktycznie oddzielna wieś, lecz formalnie należy do Krasnobrodu, nie ma nawet swego sołtysa i tym podobna jest do Kręciszówki, wchodzącej w skład sołectwa Kluczkowice. W roku 1944, gdy parcelowano olbrzymie majątki senatora Fudakowskiego, który tu miał swój pałac, 42 jego fornali, cieśli, stangretów, stajennych i oborowych z Podzamku otrzymało po 5—7 ha ziemi głównie III i IV klasy, choć zdarzały się i grunta klasy V. Klas I i II nie było. Na tym się podobieństwa kończą. Do roku 1962 wszystkie rodziny w Podzamku mieszkały nadal w czworakach podworskich. Czworaki zbudowane były z kamienia wapiennego, a kryte strzechą. Każda rodzina zajmowała 1 izbę. Potem kilku zaczęło się budować, większość jednak pozostała na starych śmieciach.

Podzamek jest przykładem wsi, która — posługując się nieco oklepanym zwrotem — nie nadstawiła żagli, gdy wiał wiatr historii. Chłopom tutejszym powodziło się nieco lepiej niż chłopom z innych majątków senatora Fudakowskiego. Pewnie z tego powodu byli nastawieni mniej rewolucyjnie od swoich sąsiadów. I gdy zaczęto parcelację, początkowo wahali się. Może pan Fudakowski wróci, obrazi się na nas i nie dostaniemy u niego już tej lepszej roboty? Nie mówią mi o tych swoich wahaniach, zresztą pewnie nie wszyscy je mieli, a ja nie przyjechałem tu w celu ustalenia szczegółów, więc nie badam. Faktem jest jednak, że gdy rozpoczęto parcelację, służba folwarku Podzamek ostatnia wyciągnęła ręce po ziemię. No i dostała ostatki. Grunty oddalone po 3—5 km od wsi, położone gdzieś na najwyższych wzniesieniach. Jak gospodarować w takich warunkach, daleko od miejsca zamieszkania, na polu, na które jeden koń nie wciągnie wozu, ani nie uciągnie tam pługa? Dziś chłopi z Podzamku mówią mi, że ich oszukano, że ci bogatsi, którzy mieli swoją ziemię, dobrali sobie jeszcze z reformy co lepsze kąski. Lecz wtedy patrzyli na to biernie, a gdy podnieśli krzyk, było już za późno, sprzed nosa zabrano im najlepsze działki. Jakie były tego przyczyny: brak aktywności społecznej, obawa przed ryzykiem, totumfackość wobec senatora? Trudno dziś orzec, co to da, zresztą nie można uogólniać, jeden z fornali Fudakowskiego czynnie biorący udział w parcelowaniu majątku, zginął z rąk prawicowego podziemia.

Mieszkali zatem chłopi z Podzamku w czworakach i mieszkają w większości do dziś, lecz na jakąś zmianę chyba liczyli, najpierw na pobudowanie się na swoim, potem na ewentualność przejścia do spółdzielni, potem znów na swoje... Rezultat tego był smutny, bo nie remontowali dachów nad własnymi głowami i czworaki, stare już w 1944 roku, dziś przedstawiają widok opłakany i w żadnym wypadku nie nadają się na siedziby ludzkie. Prawdę mówiąc, nie nadawałyby się, według naszych pojęć, nawet w stanie idealnym, lecz celom gospodarczym mogłyby służyć. Jeden tylko podworski budynek mieszkalny, długi, parterowy, z cegieł, ongiś zajmowany przez rządcę i innych funkcjonariuszy senatorskich włości, dziś nadal jest zadbany, ma cały dach i lśni czystym tynkiem. Obiekt ten jest własnością Państwowego Gospodarstwa Rolnego, powstałego też na gruntach Fudakowskich. PGR przeprowadza remonty bieżące i główne, lecz kosztami ich obciąża lokatorów. Czynsz za pokój z kuchnią, obszerny, ale pozbawiony jakichkolwiek wygód, wynosi 315 zł miesięcznie, tyle, co w luksusowym mieszkaniu spółdzielczym. PGR chciałoby w ten sposób pozbyć się uciążliwych lokatorów i dysponować mieszkaniami dla swoich pracowników. Lokatorzy natomiast chcieliby nie płacić nic, czują się poszkodowani. Dlaczego ci z czworaków mieszkają za darmo, a od nas żąda się czynszu? Przez długi czas odmawiali płacenia, wreszcie PGR skierowało sprawę do sądu i wygrało. Lokatorzy mają teraz zapłacić po kilkanaście tysięcy zaległości.

— No, skąd ja wezmę tyle pieniędzy? — pyta mnie Alodia Stręciwilk. — Feliks, mój mąż, ma lat 63, ja też nie jestem młoda, trudno nam o grosz. Za te pieniądze, co mamy teraz zapłacić, tu, na wsi, można by zrobić sporo przy budowie domu.

Zastój w Podzamku wynika zapewne z małej aktywności społecznej tej wsi, lecz główne jego źródło tkwi w początkach, w czasach parcelacji, kiedy to nie pośpieszyli po ziemię, więc dostali odległe działki. Jak się budować tak daleko, na wzgórzach? Jak żyć, każda rodzina oddzielnie, skoro oni od pokoleń przywykli do bliskiego sąsiedztwa innych, są ze sobą spokrewnieni, no i bieda nauczyła ich, że zawsze od drugiego człowieka można oczekiwać pomocy. A w dodatku, gdyby porozrzucali swe zagrody po wzgórzach, nie mieliby szans ani na zbudowanie do domu bitej drogi, ani dociągnięcie linii elektrycznej, ani wodociągu wiejskiego. A im dłużej czekali tym więcej mieli obiekcji, bo widzieli jak co raz to nowe urządzenia komunalne uruchamiano w okolicznych wsiach, — także i w takich z reformy rolnej.

Podzamek zaczął więc starać się o teren pod budowę wsi. Niedawno zostało to uwieńczone sukcesem. Władze powiatowe przekazały im kawałek pegeerowskiej ziemi, położony tuż przy czworakach, po drugiej stronie szosy. Rolnicy z Podzamku dostali z tego po 20 arów, ludność nierolnicza (a jest już i taka, w wyniku różnych manipulacji ziemią, małżeństw itd.) — po 7 arów. Część zaczęła się już budować, choć jest to trudne przedsięwzięcie, bo wiadomo, jakie są dziś kłopoty z nabyciem materiałów budowlanych. A do tego, choć parcele rozdzielono, to aktów własności jeszcze nie, zaś bez nich nie uzyska się pożyczki.

Przykładem zachęcającym do budowy są ci, pozostający w mniejszości, którzy dostali lub kupili ziemię w pobliżu czworaków i wznieśli sobie nowe siedziby. Jednym z pierwszych był 61-letni Jan Belina, były nadzorca stajenny, dziś gospodarujący z żoną na 5 hektarach roli i hektarze nieużytku. 6 lat temu wymurował sobie oborę, cztery lata temu dom mieszkalny, niewielki, pokój z kuchnią, lecz widny, suchy, czysty na dwoje ludzi wystarczy. Ma dwa konie, dwie krowy, dwie jałówki, dwie świnie, uprawia 35 arów tytoniu. Ale ziemia tu kiepska i Belina dorabia pracą w przedsiębiorstwie. Marzeniem wsi jest żyć tak, jak Edward Greszta. Ten 43-letni rolnik, od dzieciństwa niemal pracował u innych, a dopiero ożeniwszy się z panną posażną w 4,5 ha zaczął samodzielnie gospodarzyć. Pokazał jednak wsi, że można żyć z tej ziemi. Wybudował ładną, 4-pokojową willę, ma porządne budynki gospodarcze, wykształcił troje dorosłych już obecnie dzieci. Żona pracuje w kuchni w sanatorium w Krasnobrodzie. Stopa życiowa Greszty wynika jednak nie z tej dodatkowej pensji, lecz z tego, że gospodarz pilnie uczęszcza na wszelkie wieczorowe kursy dla rolników, a w domu posiada sporą biblioteczkę fachową.

— Uprawiam nie to, co nakazuje tradycja naszej gromady, lecz to, co w wyniku wyliczeń z ołówkiem w ręku, najlepiej będzie się kalkulowało — mówi. — Teraz na przykład mam zamiar zająć się pszczelarstwem.

Podzamek nadrabia więc zaległości. Za 10 lat niechybnie cała wieś mieszkać będzie w nowych domach. Być może, wtedy wyłoni się nowy problem: po co te domy? Młodzież ucieka ze wsi do miasta, a starzy sami na roli nie dadzą sobie rady, będą szukali kąta za piecem u dzieci w mieście lub też w domach opieki. Na razie jednak Podzamek chce się budować. Jest to zresztą potrzebą chwili. Konieczne są nie tylko domy, lecz i budynki gospodarcze. Wielu rolników trzyma swój żywy inwentarz w starej podworskiej stodole. Dach jej jest tak dziurawy, że każdy chłop wewnątrz pobudował nie tylko przepierzenie oddzielające jego konie, krowy i świnie od sąsiedzkich, lecz także dach nad nimi. Wewnątrz stodoły stoi więc ponad dwadzieścia komórek.

Podzamek mógłby zatem stanowić przykład wsi, która niegdyś nie wykorzystała należycie swej szansy historycznej, a potem sama przez to cierpiała, dziś musi wielkim wysiłkiem nadrabiać zaniedbania. Ten obraz, o przewadze plam ciemnych, trudno jednak uznać za negatywny. Otóż bowiem wieś owa ma zupełnie niezłe wyniki produkcyjne (np. zbóż zbierają 17—18 q z hektara, gdy Fudakowski 14—15, ziemniaków 165 q — Fudakowski 120, buraków 350 q — Fudakowski 120—180), używa dużo nawozów mineralnych, a w dodatku wyróżnia się wzorową postawą w realizacji dostaw obowiązkowych i spłatach podatków. Tu nikogo nie trzeba do tego popędzać. Pytałem działaczy gromadzkich, czym to należy tłumaczyć? Nie wiedzą.

— Gdybym w niedzielę nie poszedł do kościoła, to byłby grzech, — powiedział mi jeden z gospodarzy. — A gdybym nie odstawił zboża, to taki sam grzech. Bogu, co boskie, a cesarzowi, co cesarskie. Państwo dało mi ziemię, więc żebym miał nie zjeść, muszę wywiązać się ze swoich obowiązków. Na szczęście, jakoś daję sobie radę.

Nie wiem już teraz, jak klasyfikować wieś, jej rozwój i postawę obywatelską? Budownictwem — jak w Kręciszówce, obowiązkowością wobec państwa — jak w Podzamku, czy też czynami społecznymi — jak w Trzcińcu?

Trzciniec, jak i Kręciszówka, leży również w powiecie opolskim, ale na przeciwległym krańcu. Ma 90 zagród. Przed wojną była to wieś z trudem wegetująca na małych kawałkach piaszczystej ziemi. Chłopi dorabiali sobie w majątku Kleniewskich (bo tych dobra sięgały, aż tu), w pobliskich zakładach owocowo-warzywnych, a także w zamożniejszych, nadwiślańskich wsiach o żyznej glebie, położonych o kilka kilometrów stąd, niejeden wyjechał w świat. Gdy rozparcelowywano Kleniewskich, najpierw dawano ziemię służbie folwarcznej, potem bezrolnym, potem małorolnym. Po tyle, aby każda rodzina miała 3 hektary. 90 procent wsi ma ziemię z reformy, tylko nieliczni nie dostali nic. Nie były to łatwe lata. Mieszkańcy zamożniejszych wsi, o prawicowym nastawieniu politycznym, niechętnym okiem patrzyli na branie ziemi przez chłopów trzcinieckich, bo groziło im to odebraniem taniej siły roboczej.

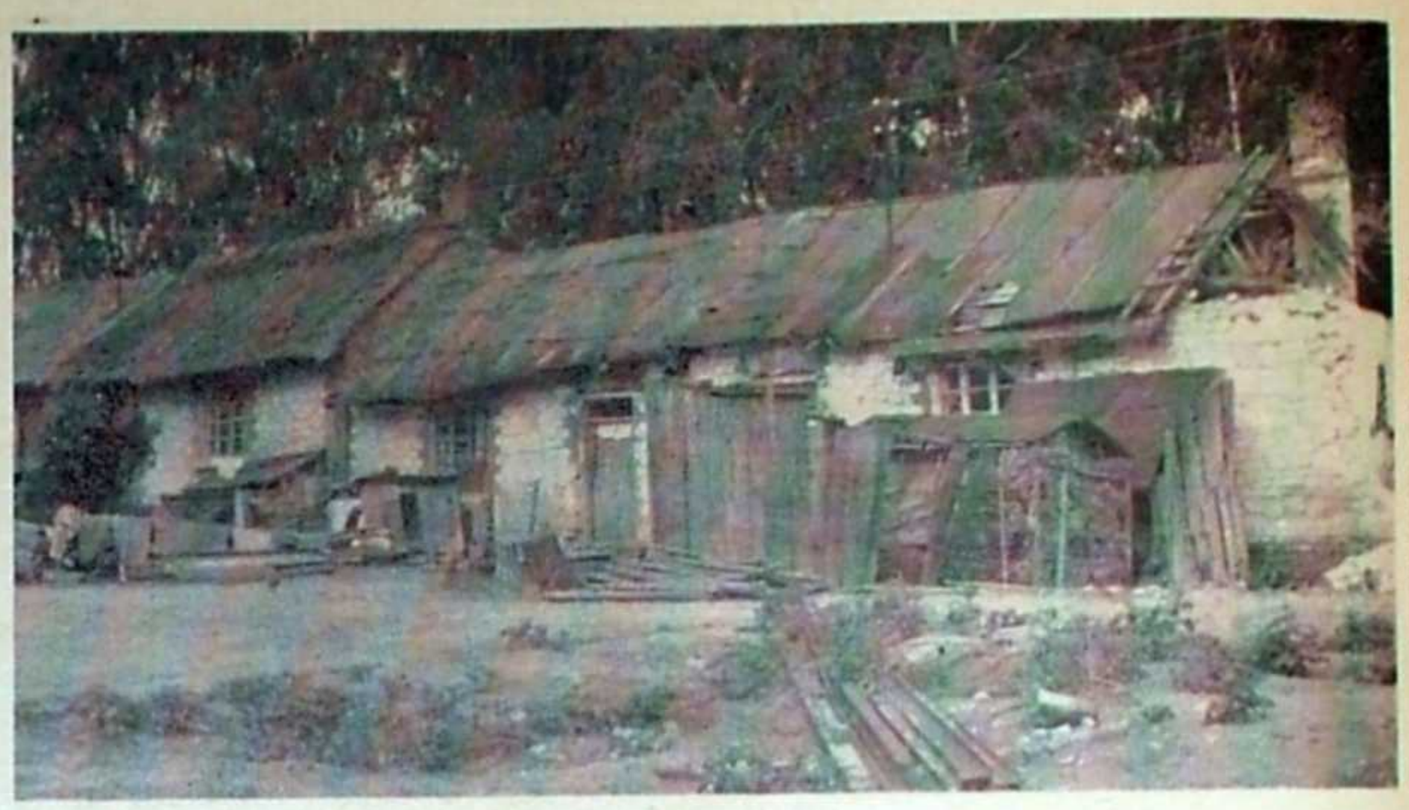

Kto nie wykorzystał szansy, pozostał w tyle. CAF — M. Targoński

Kamena str. 10

Kilku ludzi z Trzcińca padło od kuli zza węgła, bracia Tadeusz i Stefan Piekarczykowie, Jan Czapla, Bolesław Bigos, Józef Piuta i Andrzej Koziel. Niejeden chłop został pobity lub ograbiony. Wieś stworzyła straż obywatelską, dostała od państwa broń i przez kilka lat, póki się nie uspokoiło, dyżurni noc w noc strzegli bezpieczeństwa zbiorowego. Sojuszników mieli w chłopach z sąsiedniej wsi Niedźwiada, znajdującej się w podobnej sytuacji. Dziś nikt na brak pracy czy chleba nie narzeka. Gospodarstwa wprawdzie, choć powiększone do 3 ha, dostatku nie zapewniają, lecz z co drugiego domu niemal ktoś pracuje w zakładach owocowo-warzywnych w Zagłobie. Jeżdżą też masowo do pracy do zamożnych wsi, pomagać głównie przy uprawie chmielu. Zarobek jest dobry, 100—120 złotych dziennie; kobieta mająca do pomocy dwoje obrotnych dzieci w wieku szkolnym, zarobi w chmielobraniu i 200 zł dziennie. O pracę tę łatwo. To nie czasy przedwojenne, gdy biedniak musiał czapkować bogatemu, prosić o zatrudnienie. I nie te powojenne, gdy musiał obawiać się skrytobójczej kuli. Dziś bogaci gospodarze przyjeżdżają do Trzcińca wozami po ludzi i wozami odwożą ich do domu, jeden drugiemu podkupuje robotników. A jacy są uprzejmi, jacy mili, gdy spotkają kogoś z Trzcińca na odpuście czy jarmarku! Postawią piwo, podwiozą. Inna sprawa, że nowe drogi państwowe częściej buduje się do tamtych bogatych wsi, tam gęściej powstają punkty skupu, sklepy i usługi. Chłopi z Trzcińca i Niedźwiady narzekają, ale nie mają pretensji, rozumieją twarde prawa ekonomiki, które każą na wsi inwestować przede wszytkim tam, gdzie największa jest produkcja.

Jak żyją w Trzcińcu? „Kto pracuje, ten i ma" — mówi mi sołtys Jan Kurek, 47-letni mężczyzna o opalonej na czarno twarzy. Od sołtysa zalatuje silna woń żywicy i dymu. Dopiero co wrócił z odległego o kilka kilometrów lasu. Wraz z innymi mieszkańcami Trzcińca brał udział w gaszeniu pożaru. Taka susza, wszystko wyschnięte na pieprz, wody w pobliżu nie było, tłumili ogień gałęziami, cholerna robota. Las nie jest ich, tylko chłopów z innej wsi. Tamta wieś też była zawiadomiona o pożarze, ale nie przyjechał nikt. Trudno. Trzciniec nie mógł jednak zawieść. To nie godziłoby się z miejscowymi tradycjami. Wieś żyje nieźle, chłopi pobudowali sobie po wojnie nowe domy, na miejsce małych budek, w których wielu mieszkało dawniej. Lecz domy murowane postawiło tylko kilku, bo reszta nie miała możności. Ubrać się każdy ma w co, w niedziele nie wyglądają gorzej niż ludzie z miasta, jedzenia nikomu nie brakuje, dzieci kształcą, maszyny rolnicze kupują. Ambicje swoje wieś widzi jednak we wzbogacaniu się o obiekty i urządzenia przeznaczone dla wszystkich. Ich kółko rolnicze dysponuje sporym zestawem narzędzi. Ochotnicza Straż Pożarna, założona 6 lat temu, liczy obecnie 36 członków. Wieś wzniosła dla swych strażaków w czynie społecznym budynek w stanie surowym, w którym znalazły się remiza, klub i świetlica i magazyn (obiekt wykończono za pieniądze PRN), zakupiła dla nich samochód marki „Lublin", motopompę, 6 kasków i 6 pasów. W świetlicy jest telewizor i różne gry. Trzy lata temu Trzciniec zelektryfikowano. Teraz budują drogę bitą do wsi, długości 1 300 metrów. Wykopy wykonali, piachu nawieźli teraz czekają na pomoc powiatu w materiałach i pracy fachowej. We wsi działają liczne organizacje polityczno-społeczne. Pytam sołtysa, ile ziemi dostał z reformy. Nic. Był wtedy w wojsku, gdy dzielono, żona dostała, potem ktoś ją nastraszył i oddała komitetowi parcelacyjnemu. Do naszej rozmowy włącza się Stanisław Misiak, mówi, żeby dopisać „syn Ignacego", bo ich tu kilku jednakowo się nazywa. Też nie dostał nic z reformy i ma o to żal. Może dlatego, że nie umiał upominać się, może nie miał śmiałości, wychowywał się przecież sam, gdy miał półtora roku zmarł jego ojciec, gdy miał siedem lat — matka.

— Panie Czapla, jak to było z tym podziałem ziemi? — pyta sołtys starszego mężczyznę, który się do nas dosiadł.

Franciszek Czapla oraz mieszkający do dziś w Trzcińcu ówczesny sołtys Kazimierz Jakubczyk, a także Józef Misiak, który obecnie gospodarzy za Zagłobą, byli wtedy delegatami wsi do komisji parcelacyjnej.

I Czapla opowiada, pewnie już po raz nie wiadomo który. Ktoś dodaje coś z boku. Ktoś drugi uzupełnia. Ktoś trzeci mówi, że Czapli chyba się już myli, więc przedstawia swoją wersję. Ktoś czwarty poprawia trzeciego. Noc zapadła, ciepła letnia noc suchego lata 1969, już za późno na robotę, więc zaczyna się długa dyskusja o ziemi. Odwieczny chłopski temat. Dyskusja jest spokojna, chłopi wiedzą, że hektarów od niej nie przybędzie.

— Szkoda — myślę — że nikt nie zanotował rozmów o ziemi, jakie prowadzono tu latem 1944 roku. One przecież miały takie znaczenie...

Z teatrem do Skopje — bez koturnów (IV)

ZOSTAWILIŚMY TAM KAWAŁEK SERCA...

Marek Adam Jaworski

JUŻ czas, by kończyć te notatki z Jugosławii. Rozłożyłem sobie pisanie w czasie, poszczególne wrażenia coraz bardziej się zacierają, nie chciałbym nużyć czytelników. Swój bardzo osobisty — co jeszcze raz podkreślam — pogląd na temat tego maratonu wyraziłem w poprzednim odcinku, dałem wyraz mego niepokoju, czy właśnie taki repertuar, jaki lubelski Teatr im. J. Osterwy zaprezentował w gościnnej Macedonii, był najodpowiedniejszy. Trudno, stało się. Myślę jednak, że w przyszłości, jeśli wymiana z teatrem w Skopje będzie kontynuowana, a sądzę, że być powinna, należałoby z góry zaplanować taką pozycję, która — oczywiście wystawiona i w Lublinie — byłaby przygotowywana głównie „na eksport". Moim zdaniem — trzeba tu zwrócić uwagę na repertuar współczesny, ewentualnie nawiązujący do tradycji naszych walk wyzwoleńczych. Ten temat na pewno spotkałby się w Jugosławii, która ma swoje bogate doświadczenia partyzanckie, z życzliwym przyjęciem i byłby powszechnie zrozumiały. Jednocześnie oponowałbym przeciwko prezentowaniu dwóch sztuk wieloobsadowych. I przy wymianie kulturalnej nie należy zbyt rozrzutnie szafować społecznym groszem.

Po tym wstępie, wybiegającym w przyszłość, chciałbym jeszcze powrócić do ostatniego wyjazdu; mimo zastrzeżeń, o których już kilkakrotnie wspominałem, pozwolił on nam lepiej poznać życie macedońskich przyjaciół, historię tej republiki i jej dzień dzisiejszy, pozwolił zadzierżgnąć osobiste kontakty, które — mam nadzieję — będziemy kontynuować.

• • •

Pytają mnie w Lublinie koledzy: jak dzisiaj wygląda Skopje, czy widać tam jeszcze skutki tragicznego trzęsienia ziemi? Widać. W ciągu sześciu lat, które upłynęły od pamiętnego dnia 26 lipca 1963 roku, trudno usunąć wszystkie ślady zniszczeń. Ale w ciągu tych sześciu lat dokonano ogromnej pracy. Z pomocą zrujnowanemu miastu pośpieszyła nie tylko cała Jugosławia, pośpieszył dosłownie cały świat. Nie bez pewnej dumy trzeba tu odnotować, że naczelny architekt Warszawy, inż. Adolf Ciborowski, pełnił z ramienia ONZ funkcje dyrektora odbudowy Skopje i koordynatora całości prac.

Specyfiką miasta są jego przeraźliwe wprost rozmiary. Pod względem liczby mieszkańców Skopje nie tak znów bardzo różni się od Lublina. No, dodajmy 70, 80 tysięcy osób. Ale średnia wielkość Skopje to ok. 27 km długości i 12 km szerokości. Wyobraźmy sobie Lublin ze Świdnikiem i Motyczem w granicach miasta. Ładna odległość! Problem komunikacji miejskiej urasta do niebagatelnych rozmiarów. Nie dziwi więc liczba prywatnych samochodów, które tutaj są dosłownie pierwszą potrzebą. Mieszkańcy Skopje otrzymali po trzęsieniu ziemi nie byle jaki przywilej: mogli kupować lub otrzymywać samochody z zagranicy, nie płacąc żadnego cła! Cło w Jugosławii jest bardzo wysokie, a wielu skopijczyków sezonowo lub stale pracuje w NRF, we Włoszech czy Anglii. Często ciułają tam grosz do grosza, nie dojadają, mieszkają byle jak, ale później wracają do domu własną limuzyną. Zapewne wielu z nich wolałoby pracować na miejscu, ale bezrobocie w Jugosławii — i tego nie ukrywali nasi gospodarze — jest przecież problemem.

Spotkałem jednego takiego bezrobotnego w Bitoli. Owszem, otrzymuje od państwa pewien zasiłek, ale przyznaje, że trudno mu za to utrzymać rodzinę. Przez pół roku pracował w NRF. Miał wypadek, maszyna zgniotła mu palce. Żadnego odszkodowania nie otrzymał, zarabiał dorywczo, imał się różnych zajęć, zbrzydło mu to jednak i postanowił powrócić. W Bitoli przemysł nie jest zbyt rozwinięty, ludność przeważnie trudni się handlem; może i jemu uda się wkręcić do jakiegoś prywatnego sklepu, na razie czeka i żyje z dnia na dzień.

• • •

Bitoli... Wspomniałem o tym starym mieście, w którym również występował nasz teatr z „Cezarem i Kleopatrą". Przyjechaliśmy w piekielnie upalne południe. Na głównej ulicy kompletne pustki, wszystkie sklepy pozamykane. Sprawiało to wrażenie zupełnie wymarłego miasta. Ożywiło się jednak ono po szesnastej. Tłumy na chodnikach, tłumy na jezdni, wiele młodych chłopców i dziewcząt, przeważnie spacerujących w zwartych grupkach, ale osobno.

Budownictwo — jedna wielka mieszanina stylów i epok. Obok przepięknych wieżowców — walące się rudery. Strach byłoby w nich mieszkać, bo to wszystko trzyma się na słowo honoru. A jednak ludzie mieszkają.

Dołączył do naszej grupy Macedończyk. Usłyszał polski język i chciał po prostu po polsku porozmawiać. „Był pan w Polsce?" „Nie. Uczyłem się na kursie." „A co pana do tego skłoniło?" „Nie wiem. Zorganizowano u nas taki kurs w 1947 roku i ja się zapisałem. Czasami przyjeżdżają tu Polacy, próbuję rozmawiać. Jak panowie uważają, dobrze mi idzie?" Nawet bardzo dobrze, trudno mi uwierzyć, że po kursie można tak świetnie mówić po polsku!

W małej restauracyjce zamawiam dwie lampki wina i spędzam uroczą godzinę. Rozmowa jest bardzo szczera, dotykamy dość drażliwych kwestii politycznych, wzajemnie konfrontujemy nasze poglądy, i sądzę, że w wielu sprawach znajdujemy wspólny język. Mój rozmówca bardzo mnie przeprasza, że nie może mi się zrewanżować, dopiero jutro będzie miał pieniądze. Płacę i pytam kelnera, czy się nie pomylił? Przedtem piłem tu wodę mineralną i zapłaciłem dinara, a teraz za wodę mineralną i dwie setki gronowego wina mam dać tylko dwa dinary i dwadzieścia para? Tak, wszystko się zgadza. Sto gramów wina kosztuje przecież 60 para. Boże, co za kraj! Woda droższa od dużego kieliszka wina! I nie widać wcale pijanych, ba — podpitych. Jak to się dzieje? Może odpowiedź jest bardzo prosta? „Mój" Macedończyk pracuje w orkiestrze, zarabia miesięcznie 250 dinarów. Musi z tego utrzymać rodzinę. Przeliczając na wodę mineralną — to 250 butelek. Na nylonowe koszule — około dziesięciu. Na obiady w restauracjach? Ja wiem? W podrzędnej knajpie w rodzaju lubelskiej „Nadbystrzyckiej" — 25 obiadów. I chyba dlatego w restauracjach nikt nie czeka na miejsce, nikt nie czeka na kelnera.

„Tak. Mięso u nas drogie — słyszę, gdy dzielę się wątpliwościami — ale my głównie jadamy w domu. Tanie są jarzyny, tanie owoce. Sądzę, że nasza kuchnia jest zupełnie inna niż wasza... Są zresztą ludzie, którzy mają pieniądze, duże pieniądze. Zwłaszcza ci, u których ktoś pracuje za granicą, tam się dobrze urządził, może podrzucić do domu."

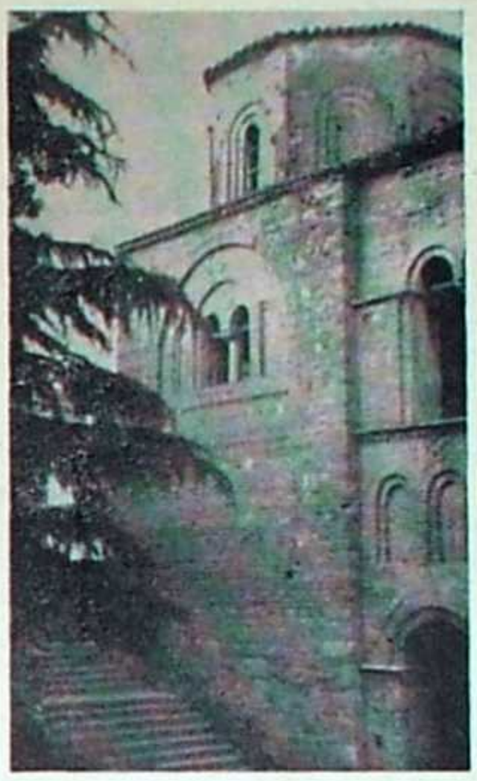

Klasztor św. Zofii z XI w. w Ochrydzie.

• • •

Ochryd. Nie wiem, czy nazwę tej miejscowości pisze się prawidłowo przez „h" czy przez „ch", spotykałem bowiem różną pisownię. Przepiękna miejscowość położona nad jeziorem Ochrydzkim. Na drugim brzegu jeziora — Albania. Nikt z naszego grona tam się nie wybiera, nawet gdyby... pozwolono.

O cudownych zabytkach Ochrydu można by nieskończenie. Ale mnie interesuje przede wszystkim dzień dzisiejszy.

Idę brzegiem wśród krętych, starych uliczek. Wrażenie, jakbym wehikułem czasu cofnął się w przeszłość. Dalej — nowe domki jednorodzinne.

Zatrzymuję się przed jednym, moją uwagę zwróciła klatka z dziwnymi ptaszkami o białym upierzeniu. Już zjawia się 10, 11-letnia dziewczynka, obok niej starsza kobieta, zapewne babka. Zaprasza do wnętrza. W pokoju — matka dziewczynki.

Pokój ładnie urządzony. Telewizor. Kryształy. Na stole kartka z widokiem Brukseli.

„Mieszkali u nas — mówi babka. — A wy skąd?"

Tłumaczę, że z Polski. I już na stole zjawia się butelka śliwowicy. Co za gościnni ludzie! Pierwszy raz widzą mnie przecież na oczy!

Ojca dziewczynki nie ma, pracuje jeszcze. Wnioskuję, że sobie dorabia, jest fachowcem od urządzeń sanitarnych. Chyba dobrym fachowcem, bo w domu widać dobrobyt.

Rozmawiamy o wszystkim i o niczym, po rosyjsku, po polsku, po macedońsku, po serbsku. Prawdziwe słowiańskie esperanto, ale najważniejsze, że się świetnie rozumiemy. Rozstajemy się serdecznie, zostaję zaproszony na następny wieczór, gdy będzie „pan domu". Oczywiście przychodzę, bo staram się nawiązywać jak najwięcej takich właśnie bezpośrednich kontaktów.

Znów butelka domowej śliwowicy. Domowej, bo tu wolno w domu pędzić wódkę. A ta domowa śliwowica — miód. „Pan domu", szczupły brunet, z dumą pokazuje mi swoje gospodarstwo. Ten pokój, z widokiem na jezioro, wynajmuje. Gdy tylko przyjadę do Ochrydu... Zawsze się jakoś dogadamy. „A może wy do Polski?" „Dlaczego by nie? Dobry pomysł. Nigdy w Polsce nie bylibyśmy..."

Do śliwowicy babcia wnosi zakąskę. Duży talerz pokrajanych ogórków zalanych olejem. Cztery widelce. Co kraj to obyczaj. Jemy, jemy, a butelka już pusta. Gościnny gospodarz chce przynieść następną, może byśmy i wysączyli, ale o drugiej w nocy czeka mnie wyjazd. Więc jeszcze gadamy, gadamy i widzę, że ta moja Polska to dla nich terra incognita. Lublin pokazuję im na mapie, mówię o przeszłości naszego miasta, słuchają, ale bardziej ich interesuje dzień dzisiejszy. Ile kosztuje kilogram chleba, ile mięso, ile ludzie zarabiają? Normalnie. Życiowo...

• • •

Do widzenia Skopje! Pożegnalne spotkanie w hallu teatru. Każdy z nas otrzymuje upominki. Piękna jest tutejsza sztuka ludowa.

Przy autokarach jeszcze raz pocałunki, gorące uściski. Śpiewamy. Kiedy się znów zobaczymy? Zostawiamy tu jednak kawałek serca.

Iwan Mazew z redakcji „Nowej Macedonii" wpycha mi do ręki butelkę śliwowicy. Jeszcze o tym pomyślał! A mnie jest po prostu przykro, że nie znaliśmy się tak dobrze wówczas, kiedy był w Lublinie. Tak chyba myślimy wszyscy. Bo przecież nie gościliśmy tak serdecznie Macedończyków, jak oni nas. Nie było tylu oficjalnych bankietów. Ale po co oficjalne bankiety?

Sądzę, że w przyszłości uda nam się zrewanżować. To będzie przede wszystkim prywatny rewanż. Prywatny rewanż każdego z nas.

P. S. Zapowiedziałem przed dwoma tygodniami, że powrócę do występów w Stobi. Trudno mi jednak cokolwiek dodać do tego, co już napisałem, a nie chcę się powtarzać za red. Gnotem. Niektórzy aktorzy twierdzą, że było tam nie tysiąc, ale kilka tysięcy widzów. Nie liczyłem, gotów jestem sprostować i jeszcze raz podkreślić, że właśnie dla tego uroczego wieczoru warto było przyjechać do Macedonii. Takie przeżycie pozostaje na długo, zwłaszcza dla wykonawców.

I jeszcze jedno: nie podkreślałem wielkiego trudu całego personelu technicznego. Montować szybko dekoracje, ciągle w innym miejscu, przy tym diabelnym upale — to była rzeczywiście solidna, ale i bardzo ciężka praca. Sądzę, że nie zawsze nawet doceniana przez niektórych aktorów, a może i przez dyrekcję. Ale tu już dotykam bardzo delikatnego problemu, który kiedyś warto by rozwinąć.

Bitola. W tym budynku występował lubelski teatr z „Cezarem i Kleopatrą".

To też Ochryd. Lublinianie wśród młodych mieszkańców miasta. W głębi — zabytkowa dzielnica. (zdjęcia autora).

Kamena str. 11

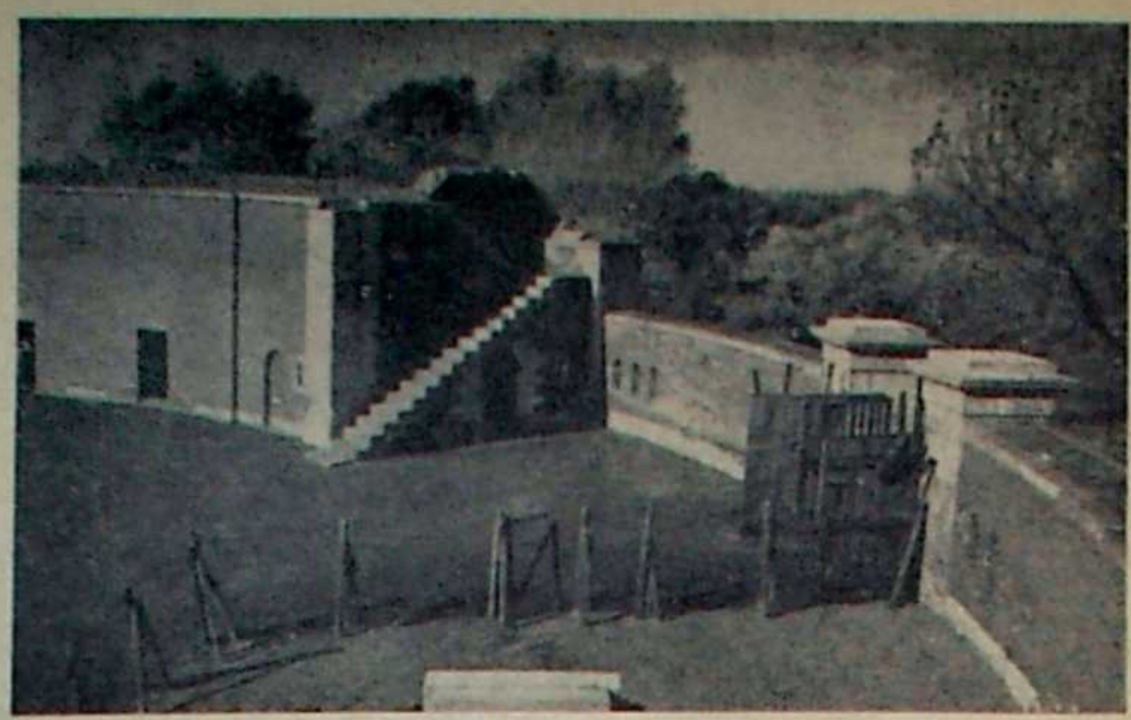

Fot. Janusz Urban

Zamość. Rotunda

NIOBE 43

Poetyckie widowisko telewizyjne

Zbigniew Jerzyna

Najpierw odległy — potem w nagłym przybliżeniu pokazany kamień, przypominający kształty kobiece.

Głos

Co wyniosło jej dumę, że jest tak kamienna,
Tak niema jak bezmowne w noc bywają głazy.
W rozpaczy pogrążona — kamieniem brzemienna.
W jej sen wczołgują pustkę oślinione płazy.
Nie płacze — łzy jej sucho rozszerzają oczy.
Patrzy wzrokiem umarłym oczyma kamienia.
Krzyk jej jest tak ogromny jak chorągiew nocy,
W niej się kończy, bo w kamień krzyk jej się przemienia.
Jej serce skamieniało — rozkrusz głaz — litości.
Co się miało narodzić, kamieniem się stało.
Gdzie są moje dziateczki — ich kamienne kostki.
Echo świata jak skała wielka — zamilczało.

Przy dramatycznej, o ostrych dźwiękach muzyce kamień jest pokazywany z różnych stron — gwałtownie obracany — nagle obraz zastyga i z kamienia wyłania się twarz kobiety.

Kobieta I

Kołyskę moją z rąk mi wytrącono.
To jakby ziemia spod nóg mi wypadła.
Moje dzieciątko w śmiertelnym wagonie
Czuję jak ciemność piersi mi rozpiera.
Bo jakie znaleźć na przekleństwo słowa?
Czuję, modlitwa w ustach mi wysycha.
Moje dzieciątko w śmiertelnym wagonie
Przez Polskę jedzie — widzę ślepe tory.
Chyba je dobrze karmią w drodze mrozem.
Chyba je dobrze strutą wodą poją.
Chyba je dobrze światełkami bawią.
Na wielu stacjach — na krzyżowej drodze.
Moje dzieciątko w śmiertelnym wagonie.
Już ta kołyska trumienką się stała.
Luli, dzieciątko moje, szkieleciku,
Lulaj — mamusia twoja oszalała —

Pokazane jadące wagony towarowe — na przemian z twarzami dzieci. Następnie pokazane ponure wnętrze — kancelaria.

SS-man

(tyłem do widowni)

Himmler 14 października 1943 roku. **„Jest jasne, że w tej mieszaninie narodów pojawiać się będą typy bardzo dobre pod względem rasowym. W tym wypadku — sądzę — jest naszym zadaniem zabrać ich dzieci do nas, oderwać je od środowiska, choćbyśmy mieli dzieci te zabrać albo ukraść. Albo zdobędziemy dobrą krew, którą możemy spożytkować u siebie i wprzęgnąć w nasze szeregi, albo — moi panowie — możecie to nazwać okrucieństwem, ale natura jest okrutna — zniszczymy tę krew. Nie możemy usprawiedliwiać przed naszymi synami i potomkami pozostawienia tej krwi po drugiej stronie".**

Pokazanie maszerującej hitlerowskiej kolumny przy dźwiękach butnego marsza. Mężczyzna jak gdyby przedzierał się przez ten obraz.

Mężczyzna

W Zamościu za drutami w nocy
Dzieci zgoniono na plac.
Deszcz zimny zacinał z ukosa,
Niebo było ciemne, błotniste,
Ziemia była lepka i czarna.
Potworniały twarze w kałużach.
Ustawiono ciałko przy ciałku,
Ustawiono piąstka przy piąstce,
Ustawiono pod biczem wiatru,
Drżące wargi, przelękłe oczy,
Krople deszczu w zmierzwionych włosach.
W środku nocy matkom zabrano,
W środku nocy matki nie wyją...
W Zamościu za drutami w nocy
Dzieci zgoniono na plac.

Już na stacji parowóz tęskni,
Już czekają bydlęce wagony.

Jadące wagony towarowe — na przemian twarze dzieci.

Kobieta I

Zabrali mi cię, syneczku,
Teraz będziesz Niemcem,
Będą uczyć cię zabijać
I nauczą cię pogardy.
Zapach krwi ci będzie miły,
Miłe łzy niewinne.
Zabrali mi cię, syneczku,
Serce w kamień ci przemienią,
Teraz będziesz Niemcem,

Kobieta II

Zabrali mi cię córeczko,
Teraz będziesz Niemką.

Znów ponure wnętrze — kancelaria. Na ścianie portret Hitlera.

SS-man

(odwrócony tyłem)

Himmler 6 stycznia 1943 roku: **„... żeby w obozach zbiorczych dla dzieci i nieletnich projektowanych przez szefa Głównego Urzędu Gospodarczego SS przeprowadzono przegląd rasowy i polityczny. Bezwartościowe pod względem rasowym jednostki płci męskiej i żeńskiej należy przekazać do przedsiębiorstw gospodarczych obozów koncentracyjnych jako terminatorów. Dzieci te należy wychować. Wychowanie ich ma polegać na przyuczeniu do posłuszeństwa, pilności, bezwarunkowego podporządkowania się i uczciwości wobec niemieckich panów. Muszą umieć liczyć do stu, poznać znaki ruchu drogowego i być przygotowani do swych zawodów jako robotnicy rolni, ślusarze, kamieniarze, stolarze itd. Dziewczęta należy wyszkolić na robotnice, prządki, trykociarki i nauczyć innych podobnych robót".**

Kamera przesuwa się po opuszczonych barakach. Towarzyszy temu żałobna muzyka. Twarz Mężczyzny wydobywa się z obrazu.

Mężczyzna

W zamojskich stajniach
Dzieci leżały na pryczach,
W półśnie leżały milczące,
A przez dziurawy dach
Przeciekał deszcz lodowaty
I wiatr barłogami targał.
W zamojskiej stajni w nocy
Jaś zachorował na tyfus,
Więc przyszedł lekarz w mundurze,
Odgarnął spotniałe włosy,
Płową czuprynę chłopca.
Lekarz dał zastrzyk Jasiowi
I nagle Jaś znieruchomiał.

Dramatyczna, przejmująca muzyka. Zupełnie białe tło.

Kobieta I

Będę trupka kołysała,
Bo on może tylko śpi.
Luli synku, luli synku,
niech ci przyśni się słoneczko.
Będę w rękach go nosiła
Poprzez wszystkie dni.
Bo mi zima go uśpiła,
Śniegiem oczy zaprószyła.
Śpi, na pewno śpi —

Muzyka w tonacji kołysanki.

Kobieta II

Ta zawieja w moich rękach,
Ta zawieja biała
To jest ciałko mego synka,
Główka ocalała.
To, co w nocy wiatrem tłucze,
Co drzewa kołysze,
To jest płacz mojego synka
To wyraźnie słyszę.
A ten ptak nieuwięziony,
Co nad nami leci,
To mój synek biegnie drogą
Bawić się do dzieci.
A ta plama, jak czerwona
Na śniegu chusteczka,
To nic nie jest, to nic nie jest
To jest krew syneczka.

Ponure wnętrze kancelarii. SS-man zamiatawa się i klepie z zadowolenia po kolanach. Obraz SS-mana pozostaje nadal. Kobiety są niewidoczne.

Kobieta I

Śmiej się, śmiej się, SS-manie
Miałeś dzisiaj dobry dzień.
Jedno dziecko zagłodziłeś,
Jedno dziecko zamroziłeś,
Jeszcze jedno skatowałeś,
Dużo radość, dużo krwi,
Małe dzieci, mała śmierć.
Śmiej się, śmiej się SS-manie.

Zmiana obrazu. Pokazana twarz Kobiety II.

Kobieta II

Nie baw się synku z tym psem,
Bo to jest pies SS-mana,
Widzisz jego złe oczy, mordę złą,
Widzisz, bardzo jest podobny do pana.
Nie podchodź do psa tego, nie podchodź,
Jest wściekły i groźnie wyje.
Na szyjce twojej ostre kły zaciśnie
I wszystką z ciebie krew wypije.

Muzyka o tonacji dramatycznej. Ponure wnętrze — kancelaria:

SS-man

Himler w 1943 roku: **„Większość z was, patrząc na leżące pokotem zwłoki — obojętne, czy jest ich sto, pięćset czy tysiąc — zdaje sobie sprawę, po co to robimy. Wiedzieć o tym, a jednocześnie — pomijając rzadkie wypadki spowodowane słabością natury ludzkiej — pozostać porządnymi ludźmi oto co nas zahartowało".**

Zmiana obrazu. Pokazany plac z barakami przez który biegnie dziecko.

Mężczyzna

Chłopiec z dziewczynką szli
Trzymając się za ręce.
Uśmiechnięci,
Szli rodziców zobaczyć,
Popatrzeć za druty
„No" przechodził,
Takeśmy zwali SS-mana.
Wziął za główki te dzieci,
Uderzał tak długo
Aż ustały serduszka
Aż zgasły uśmiechy.

Obłędna, szatańska muzyka. Fragment kolczastych drutów.

Kobieta I

Wczesnym ranem się budzę.
Śniłaś mi się, córeczko.
Biegnę popatrzeć za druty.
I patrzę — a tam tak cicho,
A tam jakby śmierć zamieszkała.
Wiatr tylko furtką kołysze
I wokół nic — tylko biało.
Gdzie jesteś Aniu, dziecino?
Wiatr mi kaleczy usta.
Echo odzywa się głucho.
Do rąk przybiega pustka.

Muzyka w tonacji żałobnej.

Kobieta II

Oddech mój cię nie nakarmi,
Martwy synku.
Ręka moja cię nie wskrzesi,
Martwy synku.
Łzy cię moje nie ocucą,
Martwy synku.
Włosy moje nie ogrzeją,
Martwy synku,
Teraz wiatrem cię otoczę,
Teraz śniegiem cię otulę,
Dam ci w rączkę krzyżyk mściwy,
Martwy synku.

Ponure wnętrze — kancelaria.

SS-man

Instrukcja Głównego Urzędu Sztabowego komisarza Rzeszy dla umocnienia niemczyzny z dnia 24 maja 1943 roku: **„Istnieje powód, aby zwrócić uwagę na to, że o podjęciu badań rasowych w żadnym wypadku nie wolno powiadamiać osób im poddawanych. Główny Urząd Rasy i Osadnictwa maskuje te badania jako badania lekarskie. Dlatego proszę, aby także w naszej korespondencji z innymi urzędami, a w szczególności z przesiedleńcami, wysiedleńcami lub osobami przewidzianymi do zniemczenia, unikać wyrażenia — badania rasowe".**

W białym tle czaszka i miara

Mężczyzna

Antropolog ze swastyką
Przybliża się wolnym krokiem.
Bacznie patrzy dziecku w oczy,
Lekko czaszkę obmacuje,
Centymetrem skrzętnie mierzy,
Waży drobną rączkę w dłoni,
W dłoni w czarnej rękawiczce.
Coś się dziecko nie podoba,
Czarne włosy je zdradziły,
Także kości policzkowe,
Barwa oczu nie stalowa
Wrota śmierci już otwarte.

Nagły promień, który wycisza się w typowo polski pejzaż.

Kobieta I

Pozostaniesz na tej ziemi
W polskim piachu, synku
Polskie drzewa ci zaszumią,
Ale tego nie zrozumiesz,
Polskie niebo cię otoczy,
Ale tego nie zobaczysz,
Pozostaniesz na tej ziemi
W polskim piachu synku.

W smutnej tonacji — kołysanka.

Kobieta II

Ponad tobą,
Nad mogiłką,
Ciężki kłos
Wyrośnie.
Ty otworzysz oczy,
Synku,
I przyjrzysz się
Wiośnie.

Ponure wnętrze — kancelaria.

SS-man

Himmler 4 października 1943 roku **„SS-manów obowiązuje jedna podstawowa zasada. Musimy postępować uczciwie, przyzwoicie, lojalnie i koleżeńsko tylko i wyłącznie wobec ludzi naszej krwi. Od innych narodów weźmiemy to, co dla naszej krwi przedstawia pewną wartość — jeżeli będzie konieczne, porywając ich dzieci i wychowując je tu pośród nas. Kwestia, czy inne narody żyją w dobrobycie, czy giną z głodu, interesuje mnie tylko pod kątem widzenia ich przydatności jako niewolników dla dobra naszej kultury. Pod innym względem sprawa ta jest dla mnie bez znaczenia".**

Przez plac z barakami — biegnący chłopiec — nagle nieruchomieje. Zastygły kadr.

Mężczyzna

Ten chłopiec biegł do matki,
Miał rozszerzone oczy,
Miał ręce wyciągnięte.
Przechodził Schutz akurat,
Komendant Schutz przechodził,
Chwycił za włosy chłopca,
W żelazną dłoń go chwycił
I zawlókł do ustępu
Do basenu go wrzucił.

Obłąkany, kołujący obraz baraków.

Kobieta I

Nawet grobu mieć nie będziesz,
Mój kochany synku,
Nawet ziemi, nawet ziemi
Zabrakło dla ciebie.
W mojej pięści cię przechowam.
W sercu skamieniałym,
W moich oczach nieruchomych.
Gniew mój cię osłoni.

Kobieta II

Czemu niebo tak spokojne?
Dlaczego nie runie?
Czemu burza nie nadciągnie
Miażdżącym piorunem?
Czemu niebo tak spokojne?

Kamera przesuwa się po idealnie spokojnym niebie.
Ponure wnętrze — kancelaria.

SS-man

Himler 21 czerwca 1943 roku: **„Istnieje obawa, że dzieci dobre rasowo mogłyby się stać najniebezpieczniejszymi mścicielami swoich rodziców, o ile nie będą po ludzku i właściwie wychowywane".**

Kamera przesuwa się po typowo polskim krajobrazie.

Mężczyzna

Kiedyś, gdy dorosną,
Z głębi Niemiec
Odezwą się na pewno.
Wystarczy jedno
Polskie słowo.
Jeden gest
Wydobyty z pamięci.
Piaski Mazowsza
Serca im poruszą
Pamięć Wisły w ich żyłach
Żywiej krew poruszy.
Kiedyś, gdy dorosną,
Z głębi Niemiec
Odezwą się na pewno.

Kobieta I

Powiedz choćby jedno słowo,
Polskie słowo, synku.
Słowo to nabrzmiało bólem.
Napęczniało nienawiścią.
W słowie gniew się nagromadził.
Gdy się ocknieszz ze snu, synku,
Spójrz im twardo, synku, w oczy.
Spójrz im w oczy.

Gwałtowna, dramatyczna muzyka.

Kobieta II

Moje dziecko mi zabrali,
Dali mu germańskie imię.
Chcieli duszę dać germańską,
Ale próżno się trudzili.
W jego piersi nadal bije
Polskim rytmem polskie serce.
Jestem dumna, bo przeczuwam
Że mściciela urodziłam.

Gwałtowna, ostra muzyka.
Ponure wnętrze — kancelaria.
SS-man przez chwilę stoi obrócony tyłem — nagle odwraca się. Ma złą twarz.

Mężczyzna

(podchodzi do SS-mana)

Transporty odjechały.
Dzieci polskie
W zamkniętych szczelnie
Bydlęcych wagonach.
Do Niemiec! Do Niemiec! Do Niemiec!
(mówi w twarz SS-manowi)
W stukocie kół
wygasa
rytm ich malutkich serc *(ze smutkiem)*.

Przejeżdża pociąg towarowy — na przemian twarze dzieci.

Kobieta I

Kołyskę moją z rąk mi wytrącono.
To jakby ziemia spod nóg mi wypadła.
Moje dzieciątko z objęć mych zabrano.
Czuję, jak ciemność piersi mi rozpiera.
Bo jakie znaleźć na przekleństwo słowa?
Czuję, modlitwa w ustach mi wysycha.
Moje dzieciątko w śmiertelnym wagonie
Przez Polskę jedzie — widzę ślepe tory.
Chyba je dobrze karmią w drodze mrozem.
Chyba je dobrze strutą wodą poją.
Chyba je dobrze światełkami bawią.
Na wielu stacjach — na krzyżowej drodze.
Moje dzieciątko w śmiertelnym wagonie.
Już ta kołyska trumienką się stała.
Luli, dzieciątko moje, szkieleciku,
Lulaj — mamusia twoja oszalała —

Nadal jadą towarowe pociągi...

PSEUDO: »SERCE«

Konrad Bielski

WSZYSTKO to zaczęło się dla mnie we wrześniu 1946 roku. Właśnie niedawno wróciłem z mego pierwszego po wojnie prawdziwego urlopu z Ciechocinka, wypoczęty, zdrowy i z przyjemnością rzuciłem się w wir pracy, której wówczas nie brakowało. Wtedy właśnie mój wakacyjny zastępca oznajmił, że już od dłuższego czasu stale przyjeżdża i domaga się widzenia ze mną jakaś starsza kobieta, w ważnej sprawie, którą tylko mnie może opowiedzieć.

I rzeczywiście. Po kilku dniach odwiedziła mnie ta osoba. Była to kobieta lat około pięćdziesięciu, brunetka, bez jednego siwego włosa (wtedy jeszcze takie niewiasty włosów nie farbowały), o rysach twarzy grubych, oczach przenikliwych — wszystko to znamionowało twardy i uparty charakter. Upewniwszy się ze śmieszną podejrzliwością, że trafiła do właściwej osoby i że nikt nas nie podsłuchuje, wręczyła mi bez słowa plik papierów: był to akt oskarżenia, wniesiony do Sądu Specjalnego w Lublinie, przeciwko niejakiemu Tadeuszowi G. oraz wezwanie na rozprawę w Radomiu, gdzie tenże Sąd miał odbyć sesję wyjazdową. Zacząłem czytać z wzrastającym zainteresowaniem. Konkluzję aktu oskarżenia przytaczam w małym streszczeniu:

Oskarża się Tadeusza G. o to, że 1) w czasie od lutego 1940 r. do 15 czerwca 1940 r. w Radomiu jako pracownik Arbeitsamtu, po zadeklarowaniu się na volksdeutscha i przybraniu nazwiska Waiss, działał na szkodę ludności polskiej, biorąc udział w przymusowym wywożeniu do Niemiec, 2) w czerwcu 1940 r. oskarżył przed gestapo — (tu następują nazwiska wielu młodych ludzi) powodując ich aresztowanie, 3) od marca 1944 r. do 15 stycznia 1945 r. na terenie powiatów radomskiego, iłżeckiego i kozienickiego na szkodę partyzantów AL, do których należał, informował władze niemieckie o miejscach pobytu, kierował obławami, wydając swych towarzyszy w ręce wroga i powodując ich śmierć.

Jakby tego było mało — sporządzono dodatkowy akt oskarżenia, który zawierał dwa, ale nie byle jakie zarzuty: że osobiście zabił bez powodu niejakiego Jana S. oraz, że działał na szkodę Heleny M., biorąc udział z dwoma gestapowcami w aresztowaniu jej i znęcaniu się podczas badań, bijąc i kopiąc w celu wymuszenia zeznań.

Skoro oderwałem wzrok od tej ponurej literatury, kobieta natychmiast twardo i stanowczo oświadczyła:

— Tadeusz to mój syn. Mam wprawdzie jeszcze dwoje dzieci, ale oni już poza domem, na swoim chlebie. On był cały czas przy mnie. Dobre dziecko. Jego ojciec, a mój mąż, robotnik, zginął jeszcze przed wojną na skutek wypadku przy pracy. Po jego śmierci otrzymałam maleńką rentę i sama coś niecoś zarabiając wychowałam tego chłopca. Chcę teraz, aby pan go bronił.

Pomyślałem, że wpakować się w tę skomplikowaną, trudną i prawie beznadziejną sprawę nie ma sensu. A w dodatku konieczny będzie wyjazd do Radomia i to na pewno nie jeden. Klientka nie wygląda na taką, która mogłaby ponieść dość znaczne koszty z tym związane. A jak jeszcze w tym samym czasie wypadną terminy innych spraw — co wtedy zrobić? Więc ostatecznie odpowiedziałem kobiecie, że cenię sobie bardzo jej zaufanie, ale obrony nie przyjmę — jestem zajęty innymi sprawami, nie chcę jej również narażać na zbytnie koszty, a zresztą w Radomiu jest tylu bardzo dobrych adwokatów, którzy mnie wyręczą i będąc na miejscu zrobią to nawet znacznie lepiej.

Na to usłyszałem odpowiedź: — Sprawa będzie rozpoznawana przez sąd lubelski, tu są akta i stąd przyjedzie sędzia, dlatego zwróciłam się do pana. Na poniesienie pewnych kosztów jestem przygotowana, a co do adwokatów w Radomiu... powiem szczerze i od razu: nikt z nich, nawet za największe pieniądze, nie chciał przyjąć tej sprawy. Wyznaczano nam obrońców z urzędu, ale i oni się do obrony nie kwapili. Miałam nawet adwokata z Lublina, młody, może zbyt młody, nawet się starał, ale cóż — niedawno biedak zmarł i zostawił syna bez obrońcy.

— Ale dlaczego w Radomiu tak się boją tej sprawy?

— Dlaczego? — Klientka wysupłała z torby cały plik papierów i położyła je na moim biurku.

Były to wycinki z prasy miejscowej z ostatnich dni. Wszystkie, oczywiście, dotyczyły wiadomej nam sprawy. Czegoż tam nie napisano! Jakie nagłówki, jaka treść! Dziś już odwykliśmy od tego tonu. Obecnie dziennikarze, sprawozdawcy sądowi, przeważnie fachowcy, piszą na ogół ostrożnie, nie przesądzają wyroku przed jego ogłoszeniem. Ale wtedy? Wystarczy przytoczyć same tytuły: „Ohydny zdrajca przed Sądem", „Nikczemny Judasz wydał w ręce oprawców swoich kolegów i przyjaciół", „Potworny zbrodniarz przyczynia się do zagłady całego oddziału partyzantów" itd.

Wcale się już nie dziwiłem radomskim kolegom, że żaden z nich nie chciał nawet dotknąć tej sprawy, przy takich akcesoriach i takich nastrojach. I mnie też przyznam, odbiegła ochota kłaść przysłowiowy kij w to kipiące mrowisko, mimo że nie należę do ludzi zbyt płochliwych, a przeszkody i trudności raczej mnie podniecają i zachęcają do podjęcia się pewnego zadania. Ale w tej sprawie wszystko było takie ponure i beznadziejne.

Wszystko, prócz tej kobiety, matki, siedzącej naprzeciw mnie, patrzącej wprost w oczy z jakąś siłą przekonania i która nie prosiła, ale po prostu żądała, bym spełnił jej życzenie.

Właśnie w czasie tych rozmyślań odezwała się znowu.

— Ja bardzo proszę, aby pan w jak najkrótszym czasie przyjechał do Radomia i tam w więzieniu odbył rozmowę z moim synem. Jestem spokojna, że on przekona pana o swej niewinności i dostarczy potrzebnych dowodów i argumentów. O dalszych szczegółach pomówimy innym razem. A teraz — kiedy mam się spodziewać pańskiej wizyty?

Tak mówiła, jakby już sprawa została zdecydowana i chyba nie omyliła się, gdyż wziąłem kalendarz do ręki i niezwłocznie oznaczyłem dzień i godzinę mego przybycia. Jeszcze parę dalszych formalności, jak wpłacenie zaliczki oraz podpisanie pełnomocnictwa i niecodzienna klientka opuściła moje mieszkanie.

Zostałem sam i jeszcze nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, że w ten sposób podjąłem się obrony młodego człowieka, którego nawet jeszcze nie widziałem, obarczonego wyjątkowo ciężkimi zarzutami, w sprawie trudnej, zawiłej i przewlekłej; że proces będzie obfitować w wiele zaskakujących niespodzianek i wymagać ode mnie nie tylko sporej dozy odwagi cywilnej, ale również dociekliwości detektywa i ogromnego wkładu pracy, już po kilku terminach nieodpłacalnej, gdyż zbolała matka oznajmi, że jej fundusze się wyczerpały — i tak było istotnie. Rozwiązanie zagadki, a nawet wielu trudnych zagadek i zakończenie sprawy, to była kwestia mojej ambicji i uporu.

* * *

Nigdy nie zapomnę tej wizyty w Radomiu i okoliczności, towarzyszących widzeniu się z oskarżonym. Mogę rzec śmiało, że w czasie długoletniej i bardzo urozmaiconej pracy obrońcy coś podobnego nigdy mi się nie przydarzyło. Przede wszystkim po przybyciu na miejsce stwierdziłem, że dosłownie cały Radom, a jest to przecież duże miasto, żył pod znakiem zbliżającego się procesu. Już goląc się u fryzjera usłyszałem fragmenty rozmów na ten temat, które mi zresztą towarzyszyły przez cały czas pobytu. W hotelu, kawiarni, knajpie, ciągle wracano do tego samego, a skoro po niedługim czasie osoba moja została zdekonspirowana i jawny stał się cel mego przybycia — po prostu uciec nie mogłem od ciekawych, a nieżyczliwych spojrzeń i pozbyć się natrętów, którzy mnie ustawicznie zaczepiali i nagabywali. Rzut oka na pierwszą stronę miejscowej prasy wytłumaczył mi wiele, ale nie wszystko.

Zauważyłem mianowicie, że opinia w mieście o Tadeuszu G. nie jest jednolita. Wbrew stanowisku, jakie zajęła prasa, i, jak się początkowo zdawało, olbrzymia większość społeczeństwa, istniała silna grupa gorących zwolenników oskarżonego. Grupa ta, niejednolita, w której skład wchodzili ludzie młodzi i starsi, różnych zawodów, była jednak prężna i ruchliwa. Jak później zdołałem ustalić, trzon jej stanowili byli partyzanci, którzy jeszcze z tych czasów znali oskarżonego i otaczali go jakimś wprost bałwochwalczym podziwem. Musiały być, i jak się w następstwie okazało, były poważne po temu przyczyny.

Te wszystkie wrażenia, obserwacje i wyciągnięte stąd wnioski, których słuszność potwierdziła moja kolejna wizyta w Sądzie — bardzo mnie podtrzymały na duchu. Fakt, że mimo pozorów nie jestem osamotniony, że istnieją pewni ludzie, którzy stoją po mojej stronie i głośno temu gotowi dać wyraz — oświetlił sprawę zupełnie z innej strony i pozwalał snuć nikłe na razie, ale optymistyczne wątki. To jednak, co mnie spotkało w więzieniu, przeszło najśmielsze oczekiwania.

Wizyty w więzieniu, widzenia i rozmowy z oskarżonymi — to chleb powszedni w zawodzie obrońcy. Wszystko odbywa się według już od lat ustalonego schematu. Ustroje się zmieniają, władza się zmienia, lecz procedura więzienna pozostaje jednakowa. Najpierw naciskasz dzwonek u ciężkich drzwi, twarde kroki strażnika i otwiera się małe okienko w bramie. Podajesz swoje dokumenty, które zabierają. Po dłuższej chwili charakterystyczny szczęk kluczy, brama się uchyla, wchodzisz, nieskomplikowane formalności w kancelarii przy wystawianiu przepustki i wprowadzają cię do pokoju, gdzie czekasz aż przyprowadzą więźnia. Czasem czeka się krótko, czasem bardzo długo. W końcu służba więzienna przyprowadza delikwenta i obrzuciwszy cię podejrzliwym spojrzeniem zostawia z nim sam na sam.

Mylą się laicy sądząc, że taka intymna rozmowa obfituje w pasjonujące momenty i ciekawe zwierzenia. Bywa tak czasami, ale to należy do rzadkich wyjątków. Przeważnie adwokat wie więcej i lepiej o sprawie, niż mu to opowie oskarżony, a ten ostatni stara się usilnie przekonać obrońcę o swej niewinności, nawet drogą jaskrawego mijania się z prawdą, bo mniema, że wtedy obrona będzie skuteczniejsza.

W Radomiu wszystko odbyło się odmiennie, inaczej i szokująco. Nie mogłem ochłonąć ze zdumienia. A więc najpierw, zanim dotknąłem dzwonka, brama się otworzyła na oścież, jak gdyby na mnie czekała. I tak było w samej rzeczy, albowiem już na progu usłyszałem: „My już od rana pana wyglądamy". Gdy chciałem okazać dokumenty i zezwolenie na widzenie, powiedziano mi, że to zbyteczne, wiedzą, kto jestem i po co przybywam i że naczelnik od godziny niecierpliwi się w swym gabinecie. Zaraz mnie tam zaprowadzą. Gdy przechodziliśmy przez ciemne korytarze, jeden ze strażników zbliżył się do mnie i powiedział półgłosem: „Niech no pan tylko dobrze broni naszego chłopca, bo inaczej będzie pan miał z nami do czynienia".

Zanim ochłonąłem ze zdumienia, już byłem w gabinecie naczelnika. Ten zerwał się zza biurka i z okrzykiem: „nareszcie"! — zaczął się ze mną kordialnie witać. Dopiero po dłuższej chwili siedliśmy i zaczęliśmy normalnie rozmawiać o tym, co nas obu interesowało.

Naczelnik oświadczył, że osobiście jest przekonany o niewinności Tadeusza G., chociaż wie, że zarzuty aktu oskarżenia są poważne i że wielu ludzi jest przeciw niemu, lecz myśli, że to wszystko się zmieni i sprawa będzie wyjaśniona, zna przecież chlubną działalność G. za okupacji i zaraz po wyzwoleniu.

Na czas mego pobytu odstępuje mi swój gabinet, na długie rozmowy z oskarżonym. O każdej porze mogę tu przychodzić, straż uprzedzona, zawsze mnie wpuści. Za chwilę zobaczę oskarżonego. Kończąc, ten dziwny szef więzienia dodał z zagadkowym uśmiechem: „Brońcie go dobrze, mecenasie, bo moi ludzi ze służby więziennej, którzy go pamiętają z czasów okupacji, oświadczyli, że w razie wyroku skazującego sami go wypuszczą z więzienia, a potem pójdą siedzieć zamiast niego. Tak, tak. Z tymi partyzantami nie ma żartów. Czasem myślę, że mogliby to naprawdę zrobić!".

Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy żartuje, zresztą nie było czasu na zastanawianie się, bo właśnie wtedy wszedł oskarżony.

Wszędzie i zawsze więźnia wprowadzają, jeśli jest obecny ktoś z władz, doprowadzony staje na baczność i melduje się. Tutaj było wszystko inaczej. Tadeusz G. z zupełną swobodą, bez żadnej asysty, wkroczył do pokoju, uśmiechnął się porozumiewawczo do naczelnika i przywitał ze mną. Był to młodzieniec średniego wzrostu, dobrze zbudowany, jasny blondyn o niebieskich, szczerych i śmiejących się oczach, głos donośny, zadziwiająca pewność siebie i swoboda ruchów. Od pierwszego spojrzenia budził sympatię. Komendant wstał i ze słowami: „A teraz zostawiam was sam na sam" — opuścił gabinet. Na odchodnym dorzucił: „Proszę korzystać z mojego biurka, pióra, atramentu, a nawet telefonu w razie potrzeby".

Zostaliśmy sami. Nareszcie miałem się dowiedzieć wielu rzeczy, poznać tę drugą stronę medalu i ustalić w końcu swój własny stosunek do sprawy. Byłem bardzo ciekawy tego, co powie mój klient i liczyłem na wyjaśnienie choć niektórych ciemnych i zawiłych momentów. I nie zawiodłem się. Historia, którą usłyszałem tego dnia i kilku następnych (bowiem mój pobyt w Radomiu jeszcze się przedłużył), była tak ciekawa i porywająca, że słuchałem jej dosłownie z zapartym tchem, nawet notatki robiłem później, skoro ochłonąłem i uporządkowałem w głowie materiał. Mój podopieczny, jak to przeważnie bywa, wysławiał się nienadzwyczajnie — ale za niego mówiła treść jego słów. Podaję to teraz moim Czytelnikom, ubrane w formę literacką i ułożone według ustalonych zasad kompozycji, treść jednak istotną zachowuję nieskalaną i wszystkie fakty odtwarzam ściśle tak, jak były mi przekazane. Jest to więc spowiedź oskarżonego, z której na razie nie wyciągam żadnych wniosków, nastąpi to we właściwym czasie.

* * *

Ojciec Tadeusza zginął rzeczywiście parę lat przed wojną, w fabryce, na skutek nieszczęśliwego wypadku. Pas transmisyjny się urwał i wciągnął nieszczęsnego w tryby maszyny. Nie było już mowy o żadnym ratunku.

Wdowa z dziećmi znalazła się w pobliżu katastrofy materialnej, gdyż zakład, jak to zwykle wówczas bywało, nie chciał uznać swojej winy, a co za tym idzie zająć się losem osieroconej rodziny. Na ich szczęście w Radomiu było kilku adwokatów społeczników; jeden z nich wziął sprawę w swoje ręce i ostatecznie wyjednał niewielkie jednorazowe odszkodowanie, również i stałą rentę miesięczną. W ten sposób mogli żyć a on chodzić do szkoły. Uczył się dobrze, był lubiany przez nauczycieli i kolegów. Miał wśród nich wielu przyjaciół. Mieszkał z matką w dużej, widnej i czystej suterenie, w dzielnicy fabrycznej, na peryferiach miasta. Właśnie skończył szkołę handlową i zamierzał dalej kontynuować naukę, gdy wybuchła wojna.

Wszystko nagle się skończyło: renta matki, nauka i spokojne życie. Musiał pracować, choć za pracę wówczas płacono grosze, w przeciwnym wypadku łatwo trafić mógł na listę młodzieży wywożonej do Niemiec. Toteż gdy zaproponowano mu posadę właśnie w tym Arbeitsamcie zdecydował się ją przyjąć. Na razie zajęcie nie nastręczało specjalnych trudności i okazji do zmartwień. Rekrutacja na roboty miała odbywać się dobrowolnie, lecz pojawiły się różne oznaki, że ta sielanka niebawem i to brutalnie skończy się. Tadeusz to spostrzegł i po kilku miesiącach, nie bez pewnych trudności, przeniósł się do jakiegoś biura transportowego.

Jednak nie zaniedbywał nauki, chodził na tajne wykłady wraz kolegami i mając jeszcze pewien podkład ze szkoły, nauczył się biegle języka niemieckiego. Fakt ten specjalnie podkreślam, gdyż miał on wielce zaważyć na jego przyszłych losach.

Krytycznego dnia, a było to w czerwcu 1940 roku, obudził się dość późno z wyśmienitym samopoczuciem. Słońce zalewało całą izbę, dzień był wyjątkowo piękny. Przypomniał sobie, że dziś właśnie umówił się na spotkanie ze swą koleżanką, do której czuł coś więcej niż przyjaźń i że obiecał jej zdobyć i wypożyczyć książkę pt. „Ziemia gromadzi prochy". Książka ta, o polskości ziem zachodnich, była wtedy trudna do uzyskania, lecz bardzo poczytna i poszukiwana, mimo że za jej posiadanie, w razie wpadki, groziło ze strony okupanta śmiertelne niebezpieczeństwo. Tadeusz zdobył ten skarb i miał go właśnie dziś zanieść swojej sympatii. Cieszył się tą myślą jak również piękną urodą dnia. Czekał tylko na powrót matki, która się udała w odwiedziny do znajomych. Długo nie wracała i to zaczęło go denerwować.

Wreszcie przyszła i już od progu zaczęła opowiadać najświeższe wiadomości, lecz niezbyt pomyślne, oczywiście o kolejnych sukcesach militarnych Niemiec, o ostatnich aresztowaniach i innych niemiłych sprawach, w końcu dodała, że ją ostrzegano przed wielką łapanką, czy też czymś podobnym, co się ma odbyć w dniu dzisiejszym, nie potrafiła tylko dokładnie określić godziny. Ponieważ te wiadomości pochodzą z poważnego źródła, nie życzy sobie, aby syn wychodził i najlepiej będzie, jeżeli do wieczora pozostanie w domu.

Tadeusz żachnął się, gdyż to przekreślało wszystkie jego plany. Powiedział ostro, że nie wierzy w te babskie gadania, do miasta wyjdzie, bo musi, nie jest znowu taki płochliwy, zresztą będzie uważał i poruszał się z całą ostrożnością. Powstała gwałtowna sprzeczka, którą zakończył trzaśnięciem drzwiami i opuszczeniem mieszkania.

Dopóki szedł znajomymi ulicami swojej dzielnicy nie zauważył nic szczególnego; ruch normalny, jak zwykle w niedzielne popołudnie. Gdy jednak wkroczył do śródmieścia, spostrzegł z niepokojem zbyt wielką liczbę kręcących się szkopów w mundurach Sonderdienstu. Przypomniał sobie wtedy matczyne niepokoje i przestrogi, zaciążył mu ukryty pod koszulą tom niebezpiecznej książki i pomyślał, czy nie byłoby lepiej wrócić do domu. Lecz jednocześnie uprzytomnił sobie, że od dziewczyny, z którą się umówił, dzieli go odległość niespełna stu metrów. I jak się potem przed nią wytłumaczy? Niewątpliwie będzie go uważała za tchórza — więc szybko postanowił, że już dojdzie do celu i tam w razie czego przeczeka niebezpieczne chwile.

Ledwie skręcił w najbliższą przecznicę ujrzał przed sobą czarną limuzynę, jakich zazwyczaj używało gestapo, koło niej kręcących się kilku SS-manów, nacierających słownie w sposób gwałtowny na młodego człowieka, który coś starał się im wytłumaczyć, widocznie nieudolnie. Gdy chłopiec spostrzegł Tadeusza, wydał okrzyk radości i wskazując palcem na niego głośno zaczął krzyczeć: o ten, ten mówi po niemiecku! Był to jego młodszy kolega jeszcze ze szkoły podstawowej. Ani cofnąć się, ani uciec nie było już możliwości. Nie było również sensu w tych warunkach zaprzeczać, gdy Niemiec zwrócił się do niego z pytaniem, czy włada jego językiem. Wtedy usłyszał, że wobec tego będzie dziś im służyć za przewodnika i tłumacza i już bez słowa protestu wsiadł do limuzyny przy kierowcy i ruszyli. Książka pod koszulą ciążyła mu niewymownie, a także świadomość, że nie ma nawet przy sobie potrzebnych dokumentów. Ruszono z miejsca w kierunku tej ulicy, którą nagle mu podał gestapowiec.

Tadeusz G. bardzo prędko zorientował się, że mocą okrutnego przypadku został przewodnikiem i tłumaczem ekipy, która miała dokonać licznych aresztowań, ponieważ tuż za ich limuzyną posuwała się ciężarówka okryta plandeką, pod silną eskortą, w której znajdowało się sporo ludzi. Z przerażeniem również skonstatował, że podawane mu adresy w kilku wypadkach były mieszkaniami jego kolegów, lub też dobrych znajomych. Gdyby to jeszcze jego rola ograniczała się tylko do wskazania drogi i poszukiwanego domu. Lecz jako tłumacz musiał za każdym razem wchodzić z nimi do mieszkania i asystować przy brutalnych scenach zabierania młodych ludzi z ich rodzinnych domów. Do bezsilnej rozpaczy doprowadzały go częste wypadki, gdy rodzice aresztowanego, którzy go dobrze znali, uważając go za jednego z ślepaczy, zwracali się o niego z rozdzierającym krzykiem, prosząc o pomoc i powołując się na długą znajomość, lub koleżeństwo z synem. Jego wyjaśnienia, że jest tylko tłumaczem i nic zrobić nie może, u nikogo nie znajdowały wiary.

Łowy na ludzi trwały kilka godzin. Dwukrotnie limuzyna z towarzyszącą jej budą podjeżdżała pod bramę więzienia i zostawiała za murami zabranych ludzi, wracając do miasta po nowe ofiary. Za każdym razem obok kierowcy siedział Tadeusz G. Skoro przyjechali po raz ostatni, gestapowiec pozwolił mu iść do domu i ostentacyjnie podziękował, klepiąc go po ramieniu i wręczył jako nagrodę paczkę papierosów.

(Ciąg dalszy — za dwa tygodnie)

NOTATKI Z POWIATU

Maciej Podgórski

NIE lubię w ten sposób zbierać tzw. materiału przy temacie, wstępnie w redakcji pomyślanym jako szersza panorama określonego rejonu. Choćby się nawet miało do dyspozycji „Nysę", trudno w ciągu jednego dnia objechać cały powiat, zobaczyć chociaż, jak tu ludzie żyją i jak się kulturę organizuje. Objechałem, co mogłem, zobaczyłem, co się dało. Ale całościowy empiryczny obraz nijak się z tego nie wyłania, raczej wycinkowe obserwacje. Tym więcej, że czas żniwny i urlopowy, trudno było kogokolwiek złapać.

◆

Sytuacja startowa Tomaszowskiego nie należała do najweselszych. Mało radosna spuścizna przedwrześniowej „Polski B", dotkliwe zniszczenia wojenne — to los wszystkich niemal powiatów województwa. Lecz Tomaszowskie, obok Włodawskiego i Hrubieszowskiego, wchodziło w 25-lecie z bagażem „dodatkowych" dewastacji, dokonanych przez UPA, oraz wynikających stąd zaniedbań. Duża część obszarów została zrujnowana całkowicie. Jak podają urzędowe statystyki — ogółem spalono 8889 budynków mieszkalnych i 12689 gospodarczych. Trzeba było wiele zaczynać na nowo (20 tys. ha odłogów), od podstaw częstokroć (hodowla zwierząt, elektryfikacja, sieć bibliotek...).

W kontekście tego wszelkie osiągnięcia gospodarcze i kulturalne, jakie są bezspornie do odnotowania w tym dużym powiecie rolniczym, trzeba liczyć w dwójnasób. Ot choćby plony czterech zbóż w wysokości 22,6 q/ha (druga lokata w województwie), czy 372 placówki kulturalno-oświatowe (druga lokata w liczbach bezwzględnych, a trzecia jeśli idzie o wskaźnik na 100 mieszkańców).

Skoro więc obserwacje moje tu i ówdzie nie będą całkowicie krzepiące, to nie dlatego bym chciał negować osiągnięcia rejonu (te są bowiem niewątpliwe), lecz by choć trochę mu dopomóc, zwrócić uwagę na trudności, z którymi, być może, nie zawsze jest w stanie sam sobie poradzić.

◆

Wjeżdżamy do Tomaszowa. Miasteczko czyste, nawet na bocznych ulicach. Trawniki, kwietniki. Zabudowania raczej niskie. Słonecznie jest i sielsko. „Piosenka Demarczyk kojarzy mi się zawsze z Tomaszowem Lubelskim, a nie Mazowieckim, jak by należało" — powiada kolega-dziennikarz, z którym jedziemy razem, ale każdy za innymi sprawami.

Na miejscu życzliwie się nami zajął kierownik Referatu Kultury Prez. PRN, Mieczysław Borkowski, pełniący swoje obowiązki od przeszło pięciu lat, który, gdy to piszę, przeszedł już do roboty propagandowej w KP PZPR. Dalej — w teren — zabieramy się wspólnie.

Za kilka minut jesteśmy w Bełżcu. Stajemy. Naprzeciw biały obszerny budynek restauracjo-kawiarni, oddanej do użytku przed 1 maja br. Nowoczesność standardowa, ale bardzo tu potrzebna, zarówno w sensie funkcjonalnym, jak i estetycznym. W środku dwie spore sale. Ogromne skrzydła wentylatorów pod sufitem. W bufecie rozmaitość wódek i zakąsek (nawet jarzębiak eksportowy jakoby tu bywał) lecz idzie głównie „czysta", jak powiada, ubrana w stylizowany na ludowo strój, kelnerka. Młodzi chłopcy raczą się 1/2 i tzw. strażaka, ale na stoliku dymią również „duże czarne". Tłumię niewczesne, być może, uogólnienia na temat wzrostu kultury spożycia. Choć kto wie, czy to nie jest właśnie dobry przykład, pagujący do moich optymistycznych refleksji?

◆

Była wioska Święcie. Obok drogi jakieś obrośnięte zielskiem małe kopce. Dalej las. Lezę przez wysoką trawę. Sterczą tu i tam załomki muru, resziki fundamentów chat. Ledwo to wszystko widać. Rany zagojone. Grobowiec właściwie. 20 km stąd stacjonował główny sztab UPA. Ich robota. Dziś pola te użytkuje nadleśnictwo i spółdzielnia produkcyjna w Łazowej.

Powiat jest nadgraniczny. Blisko Bieszczady i Roztocze, ówczesne siedliska band. Tu wiele istnieje takich „byłych" miejscowości. Dęby (Duby), dawna wieś ukraińska — całkowicie zniszczona. Lubycza Królewska, posiadająca piękne tradycje działalności komunistów — podobnie, tyle że nowa wioska powstała obok, a też i zakład prefabrykatów budowlanych oraz piekarnia mechaniczna.

W Potokach zatrzymujemy się obok domostwa, gdzie mieściła się siedziba upowców. Nie pytali wtedy o pozwolenie na kwaterę. Pusty dom. Ten, co tu mieszkał, wyprowadził się dalej, do nowej chałupy. Czasem jednak chyba tu zagląda, kwiatki sadzi. Zabudowania gospodarcze „zabite" na głucho. Tak samo mieszkalne. Odczepiam okiennicę, szyba jeszcze zachowana. Dwa wyra w środku, drewniane, ogołocone z pościeli, piec ruski, wielki, stół, zydle, lampa naftowa pod sufitem wisząca. Może to wszystko mieć jakąś wartość folklorystyczną. Podobnie domostwo ocienione tzw. sobotą. Ale zniszczeje chyba.

◆

Za Święciem skręcamy w boczny dukt, wóz przepycha się po wybojach. Cerkiewka w Kniaziach. Wokół cmentarz. Mogiły katolickie, greckokatolickie i prawosławne. Z różnych lat. Grobowiec jakiejś Armenki z 1830 r., grób byłego członka KPZU z 1958 r. Do dziś tu chowają. Ale cerkiewka w stanie kompletnej ruinacji. Zabezpieczenie pozorne — kłódka na drzwiach. Wchodzimy do środka przez wielką dziurę w bocznej ścianie. Dach się wali, w podłodze dziury. Za parę lat samo to runie. Graciarnia właściwie. Puste haki i ramy po ikonach. Resztki przenośnego ołtarza z 1865 r., obwisające strzępy starego obrazu. Na ziemi walają się dawne paramenty liturgiczne i całkiem współczesne opróżnione półlitrówki. Co na to wszystko władze konserwatorskie z odpowiednich szczebli?

Cerkiewka w Hrebennem. Drewniana podobnie jak w Kniaziach, tyle że dobrze zachowana. W oczekiwaniu na klucz łazimy po dzwonnicy, która stoi osobno. Serce dzwonu nie dosięga do konchy. „Lewe — mówi kolega po fachu — przeszczepione". Na ogrodzie przycerkiewnym krzyż katolicki, polski z 1969 r. Obok krzyż z napisem ukraińskim (r. 1926). Wnętrze cerkiewki dobrze utrzymane, odprawia się tu nabożeństwa katolickie. Szaty, obrusy i paramenty zachowały się od przedwojennych czasów. Całość jest zabytkiem I grupy. Konserwacja została przeprowadzona zupełnie przypadkowo i niefachowo. Obrazy i figury zatraciły swój autentyczny charakter. Co na to wszystko władze konserwatorskie z odpowiednich szczebli?

◆

Samo Hrebenne. Sporo ludności pochodzenia ukraińskiego. Część rodzin rdzennie polskich. W wiosce — przystanek PKS, sklepy, 8-klasowa szkoła zbiorcza. Rozmawiam z kierowniczką szkoły, Krystyną Witkowską. Uczy tu już sześć lat. Pochodzi z Tomaszowskiego. Mąż pracuje w pobliskim PGR, jako główny księgowy. Poważniejszych trudności językowych przy nauce nie ma. Najstarsi rozmawiają ze sobą po ukraińsku, dzieci w domu także, choć nie znają już ukraińskiego alfabetu; w szkole rozmawiają między sobą po polsku, a też i nie za bardzo chciały uczęszczać na nadobowiązkową naukę języka ukraińskiego. Powoli się to wszystko w sposób naturalny wyrównało i wyrównuje. Choćby na terenie koła ZMW. Jedyna trudność, jaką ma szkoła, to porozrzucany na trzy budynki lokal, a także... końcówki ukraińskie, dodawane przez dzieci przy nauce rosyjskiego. Dobrym katalizatorem jest dwujęzyczna działalność teatru przy Ukraińskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym.

◆

I znów jesteśmy w Bełżcu. W okolicy typowy motyw bolesny polskiego krajobrazu — mauzoleum ofiar faszyzmu, usytuowane na terenach byłego obozu zagłady, gdzie zamordowano 620 000 Żydów i 1500 Polaków za pomoc udzieloną Żydom. Wracamy już do Tomaszowa, gdzie czekają nas kwestie związane z PDK i Muzeum Regionalnym im. Janusza Petera.

PDK oddano do użytku w połowie 1965 r. Centralne ogrzewanie parowe od początku było złe. Mapę geologiczną terenu robiono w latach suszy (58—59). Obecnie już trzeba wykonywać odwodnienie budynku, remont zewnętrzny i wewnętrzny: zmieniać „centralne" na wodne. Istnieje duża pomoc w tym zakresie ze strony Prez. PRN, ale czy to wystarczy?

Projekt budynku to typowy teatr z zapleczem, odpowiednio przystosowany dla potrzeb PDK. Zaplecze jest rzeczywiście dobre, tak, że aktorzy Teatru im. Osterwy mogą tu spokojnie zawitać, co nie tak często w tzw. terenie bywa. Typową jest natomiast działalność PDK. Ani dobra, ani zła. Gdy się na forum ogólnopolskim nie przedyskutuje statusu takich placówek, zawsze będzie można im przypisać: akcyjność działania, niedowład w pracy z dorosłymi, słaba reklamę własnych poczynań, planowanie budżetu za zasadzie „ma" równa się „winien", co uniemożliwia podjęcie szerszych, elastycznych akcji... Błąd nie tkwi w Tomaszowie, ale gdzieś o wiele dalej. Podkreślam to wyraźnie, ponieważ kiedyś przy okazji Krośnika Fabrycznego zrobiłem to tylko pośrednio i wówczas miejscowi obrazili się na mnie. „Ale nas zatadował, a taki był sympatyczny na miejscu" — powiedzieli.

To wszystko nie oznacza, iż w tomaszowskim PDK brak ludzi skorych do sensownej roboty w ramach istniejących możliwości. Są tacy. Ba, są nawet autentyczni zapaleńcy. Myślę m. in. o kierowniku pracowni modelarskiej, szybowniku, byłym mistrzu Polski, Eugeniuszu Mosorze. Jego pasja przyciąga młodzież, choć nad modelem akrobatycznym trzeba pracować ok. 300 godzin. Z tej dobrej roboty biorą się sukcesy na mistrzostwach Polski LOK.

Wracając do samego PDK, jego omnibusowy charakter — jak zresztą wielu podobnych placówek w kraju — skłania do postulowania potrzeby analogicznej placówki miejskiej lub choćby młodzieżowej. Może wtedy PDK skupi się głównie na instruktażu? Może też zatrudni etnografa? A warto, gdyż Tomaszowskie, kraina rdzennie rolnicza, to miejscami naturalny skansen folkloru chłopskiego. Wspomnę tylko o kapelach: z Woli Gródeckiej, odnoszącej sukcesy ogólnopolskie, z Majdanu Górnego i Dzierążni. Trzeba wszelako przyznać, iż Referat Kultury Prez. PRN robi co może, by dopomóc kapelom. Potrzebna jest jednak dyskretna pomoc specjalistyczna, nie tylko kapelom zresztą. W ogóle za fachową ochronę rdzennie polskiego folkloru w Tomaszowskim trzeba się wziąć serio. Tak samo za konserwację cerkiewek. Nie wystarczą na to wszystko nakłady i dobre chęci lokalnych mecenasów.

Wolałbym, aby na temat wartości zbiorów Muzeum Regionalnego zebrali głos fachowcy. Skromnie tylko dodać wypada, iż rychły czas nastał na załatwienie obiecanej sali dla muzeum. Eksponaty bowiem leżą, zwalone na stosy nieledwie, w trzech małych pomieszczeniach! Osobnym tematem jest też kwestia czytelnictwa w Tomaszowskiem. Warto by zbadać metody, jakimi się tym posłużono dla osiągnięcia całkiem przyzwoitych wyników w skali województwa. A było przecież co „odrabiać" w tym zakresie.

◆

Mają w Tomaszowie malutki kompleks Zamościa, gdzie jest mutacja „Sztandaru Ludu". Sami starają się o taką mutację, czyniąc na razie wysiłki celem uzyskania lokalu. Wyjeżdżając z Tomaszowa, szczerze życzyłem tamtejszym organizatorom życia kulturalnego, by się doczekali realizacji tych wysiłków.

Lubelszczyzna – region historyczny

Dokończenie ze str. 3

nie używano języka polskiego na przemian z ruskim. Ludność unicka ulegała też stopniowej polonizacji, czego dowodem byl m. in. liczny jej udział, łącznie z duchowieństwem unickim, w powstaniu styczniowym. Polonizacji tej nie zahamowało zniesienie unii w 1875 r., a kiedy w 1905 r. carat ogłosił ukaz tolerancyjny, ok. 150 tys. dawnych unitów przeszło na katolicyzm, co wówczas równało się powrotowi do polskości.

Ważnym czynnikiem tworzenia się więzi wewnętrznej obszaru Lubelszczyzny była rola Lublina, jako największego ośrodka miejskiego, promieniującego na cały obszar regionu. W XIX w. zanikają dotychczasowe ośrodki kulturalne, jak Puławy Czartoryskich i Zamość, a jedynym ośrodkiem staje się Lublin, nie tylko jako siedziba administracji, ale także jako ośrodek życia gospodarczego, komunikacyjny, oświatowy, kulturalny. Szczególne znaczenie miały dla rozwoju Lublina okresy 1815—1830 i po 1880 r. Nie zdołały się wykształcić w duży ośrodek miejski gubernialne Siedlce, a powiaty północne tego obszaru (Węgrów, Garwolin, Łosice, Ryki), a nawet same Siedlce, wyraźnie ciążyły ku Warszawie i ostatecznie zostały wchłonięte przez warszawski obszar administracyjny.

Podstawowe znaczenie dla kształtowania się Lubelszczyzny jako regionu miały również przemiany polityczne i gospodarcze XIX w., których skutki (zacofanie gospodarcze) przetrwały aż do naszych czasów.

Był to okres zaborów, braku państwowości polskiej (poza 1809—1831) okres obcej administracji (austriackiej, później rosyjskiej), okres germanizacji za panowania Austrii i rusyfikacji po 1846 r.

Z drugiej strony jest to okres walk narodowowyzwoleńczych — spisków, akcji zbrojnych, powstań i ruchów rewolucyjnych, kończących się klęskami, poza zwycięską kampanią polską 1809 roku.

Dokonują się w tym czasie głębokie przeobrażenia ekonomiczne i społeczne, następuje uwłaszczenie wsi i miasteczek w latach 1864—1866, rozwija się system kapitalistyczny. Lubelszczyzna w tym zakresie wykazała dużo wolniejszy postęp od innych ziem polskich, a próby podniesienia gospodarki Lubelszczyzny w latach 1815—1830 zostały zniszczone w wyniku klęski powstania listopadowego i od tego czasu dość wyraźnie uwidacznia się zacofanie Lubelszczyzny w stosunku do zachodniej części kraju. Odbiło to się wyraźnie na słabszym rozwoju klasy robotniczej, a silniejszym ukształtowaniu się klasy chłopskiej.

Wiek XIX przyniósł także proces kształtowania się burżuazyjnego narodu polskiego w warunkach niewoli politycznej, braku własnego państwa.

Te różnorodne i trudne warunki, choć, oczywiście, wspólne dla wszystkich ziem polskich, na Lubelszczyźnie wywarły silniejszy niż gdzie indziej skutek. Dużą rolę jednoczącą cały region odegrały walki narodowowyzwoleńcze, szczególnie po 1831 r., w okresie działalności H. Kamieńskiego i ks. P. Ściegiennego (1840—1844), kiedy spiski patriotyczne, szeroko rozgałęzione (Lublin, Chełm, Łuków, Zamość, Szczebrzeszyn, Siedlce), charakteryzowały się dużym radykalizmem społecznym i zdecydowanym dążeniem do powstania. Cechy te stawiały spiski lubelskie na pierwszym miejscu w kraju po Warszawie. Dużą rolę odegrała też Lubelszczyzna w powstaniu styczniowym i w ruchach chłopskich w latach 1861—1862.

Przemiany kapitalistyczne na Lubelszczyźnie podkreśliły bardzo wyraźnie odrębne cechy ruchu rewolucyjnego 1905—1907 — największe w kraju ruchy rewolucyjne służby folwarcznej i chłopów.

Okres zaborów przez oddzielenie granicami państwowymi od południa i wschodu, przez przemiany gospodarcze, przez podziały administracyjne, przez walki narodowowyzwoleńcze i rewolucyjne, integrujące społeczeństwo przeciw zaborcy — przyniósł niewątpliwie ukształtowanie się obszaru Lubelszczyzny jako odrębnego regionu. Dotychczasowe Lubelskie, obejmujące wyłącznie gubernię lubelską, przekształca się w Lubelszczyznę, gdyż Lublin wciąga w swoją orbitę oddziaływania również część guberni siedleckiej. Lubelszczyzna pozostała terenem granicznym pod względem narodowościowym, ale polskim w podstawowej masie społeczeństwa miast i wsi i kulturze polskiej, zacofanym pod względem gospodarczym, terenem głównie rolniczym, choć nie wykorzystanym całkowicie nawet pod tym względem, terenem o wyraźnie ukształtowanym ośrodku miejskim w Lublinie już od początku XIX w.

Wiek XX przyniósł dalsze zmiany w kierunku integracji regionu i wciągnięcia w orbitę oddziaływania Lublina terenów północnych i południowych. W latach 1918—1939 Lubelszczyzna stanowiła obszar najsilniej rozwiniętego ruchu komunistycznego na wsi i ruchu ludowego, co niewątpliwie stanowiło wyraźną cechę tego terenu i odbiło się silnie na charakterze ruchu oporu w okresie okupacji hitlerowskiej.

Pozbawiona niemal klasy robotniczej Lubelszczyzna organizowała lewicowy ruch oporu, a następnie PPR i AL, wśród nielicznej inteligencji wiejskiej, robotników folwarcznych i chłopów. Całość ruchu oporu stworzyła z Lubelszczyzny symbol walki z okupantem, a różnorodny pod względem narodowościowym i społecznym obszar stał się podłożem do powstania jedynego w swoim rodzaju obrazu wszystkich organizacji ruchu podziemnego, od skrajnej prawicy do lewicy.

Reasumując te krótkie z natury rzeczy uwagi, trzeba przecież podkreślić, że do 1944 r. Lubelszczyzna wytworzyła niewątpliwie wiele specyficznych cech, które nadały jej charakter odrębnego regionu.

Ostatni okres Polski Ludowej przyniósł dalsze zmiany — zanik odrębności regionalnych Lubelszczyzny w dawnym, obyczajowym znaczeniu, zmiany ludnościowe i gospodarcze. Mimo procesu unifikacji gospodarczej kraju, w rozwoju życia ekonomicznego Lubelszczyzny, dzięki planowej, opartej o naturalne warunki regionu polityce ekonomicznej, wytwarzają się nowe, specyficzne cechy jako regionu. Obok Lublina rozwijają się lub tworzą nowe podregiony (Chełm, Puławy, Biała, Zamość), które wprawdzie nawiązuje do tradycji historycznych, ale już w nowym, innym kształcie regionalnym.

Ten nowy okres i dalsze perspektywy rozwojowe Lubelszczyzny jako regionu wymagałyby jednak oddzielnego artykułu.

Tadeusz Mencel

Regionalizm nowoczesny

Dokończenie ze str. 5

bieszowian w kulturę ogólnopolską" — oto tytuły wybranych konferencji i sesji naukowych czy popularnonaukowych, w których, dodajmy na marginesie, nierzadko uczestniczyli wybitni historycy.

Szczególną wartość dla historyka przedstawia niewątpliwie archiwum TRH. Początkowo liczyło raptem 15 teczek, do tego w większości... pustych, zalecających się jedynie atrakcyjnym hasłem. Dziś archiwum ledwo się mieści w niewielkim pokoju, a skoroszyty wypełnione są po brzegi dokumentami. Przykładowe hasła — „Staszic", „Buczyński", „Kuraś", „Ziemia Hrubieszowska pod okupacją" — wystarczająco mówią o rozległości uwagi historyków i działaczy TRH. Materiały do teczki wymienionej tu na końcu zebrano na podstawie ankiety, ogłoszonej w szkołach i opracowanej przez W. Piątaka.

Można przypuszczać, że niejeden cenny dokument historyczny, odnaleziony w przypadkowych okolicznościach świstek, uległby zniszczeniu lub zagubieniu, gdyby nie aktywność TRH, owocująca społeczną wiedzą o jego istnieniu i celach. Dzięki temu trafił do archiwum Towarzystwa rozkaz obrońcy twierdzy modlińskiej w czasie kampanii wrześniowej, gen. Thommé, sfałszowana „kenkarta" okupacyjna, list Garibaldiego i dokumenty z powstania styczniowego, odkryte podczas rozbiórki domu, w którym niegdyś mieszkał Leśmian, czy dyplom na pergaminie dr. Dobiszewskiego, zakładowego, jakbyśmy to dziś powiedzieli, lekarza Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego...

Zrozumiałe, że liczenie na przypadek w trakcie gromadzenia dokumentacji do dziejów regionu nie przyniosłoby takich efektów, jakimi szczyci się obecnie TRH. Wystarczy nikły ślad jakiegoś faktu lub po prostu poczucie braku pełniejszej informacji o hrubieszowskiej osobistości, aby działacze Towarzystwa uruchomili wszystkie możliwe mechanizmy, skutkujące wypełnieniem białej plamy. Nie mogąc np. dociec szczegółów biograficznych pisarzy Krawczyka i Kurasia, zorganizowali w Dubience i Goleszynie seminaria, na które zaprosili rozrzucone po całym kraju rodziny tych twórców.

Oprawiony w szary papier, podłużny notes W. Piątaka zawiera 110 nazwisk osób zasłużonych dla regionu hrubieszowskiego, lub stąd pochodzących i gdzie indziej realizujących swoje nietuzinkowe umiejętności. Niektórzy życzliwi dowcipkują, że liczba ta z czasem pomnoży się niepomiernie, jako że kroniki już w 1255 r. wymieniają Hrubieszów, który prawa miejskie otrzymał w 1400 r.

Żywszy stosunek do historii rozbudziła u W. Piątaka szkoła, ale najmocniejszym katalizatorem owych zainteresowań okazał się jednak wybuch wojny w 1939 r. Czternastoletni wówczas chłopak kupuje u małomiasteczkowego handlarza komplet podręczników do historii Polski, a odruch ten ma coś z realizacji instynktu narodowego. Kolejnym etapem edukacji patriotycznej okazały się dla W. Piątaka obozy pracy w Strzyżowie i Niedrzwicy Dużej.

Po wyzwoleniu pracował w szkolnictwie, początkowo w Gdańsku, później na Śląsku, ale po kilku latach powrócił wraz z żoną do Hrubieszowa, gdzie kontynuował działalność nauczycielską.

Do chwili powstania TRH pochłaniała go filatelistyka, pojmowana jednak szeroko, także w aspekcie historycznym. Opublikował sporo artykułów w krajowych czasopismach specjalistycznych (np. „Życie poczty polskiej 1944—45"), z których kilka ukazało się za granicą w tłumaczeniu na angielski. Jest cytowany w monografiach przedmiotu, o jego działalności wspomina np. w „Polskiej prasie filatelistycznej" Aleksander Śniezko, były dyrektor Muzeum Poczty we Wrocławiu, który przy innej okazji klasyfikuje bibliotekę filatelistyczną W. Piątaka na 5 co najmniej miejscu w kraju. Do dziś hrubieszowski historyk z wyboru otrzymuje korespondencje od zagranicznych instytucji filatelistycznych.

Z chwilą uruchomienia TRH zainteresowania W. Piątaka koncentrują się na historii i etnografii regionu. O jego działalności organizacyjnej, archiwalnej i redakcyjnej w ramach Towarzystwa była już mowa. Trzeba jednak wiedzieć, że nie wyczerpuje to form aktywności tego autentycznego społecznika. W 1965 r. wydaje pierwszy przewodnik po powiecie hrubieszowskim, opatrzony własnymi rysunkami. Ta skromna pod względem edytorskim publikacja — powielacz, lichy papier, kartonowe okładki — jest przecież panoramą społeczno-kulturalną i gospodarczą regionu. Oto niektóre rozdziały „Ziemi Hrubieszowskiej": krajobraz, ludność, oświata i kultura, rzemiosło, przemysł, sztuka ludowa, proponowane szlaki turystyczne.

W ramach „Biblioteki TRH" ogłosił równocześnie „Hrubieszowską pisankę", zaopatrzoną w obfitą dokumentację rysunkową (kolorowaną), o której akademicki recenzent napisał, że „jest udaną i bodaj jedyną w powojennej literaturze przedmiotu próbą analizy rodzajów stosowanych sposobów malowania i rysowania jaj wielkanocnych".

Aktualnie na warsztacie badawczym W. Piątaka znajduje się praca o zbrodniach hitlerowskich w pow. hrubieszowskim.

43-letni prezes Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, które w przyszłym roku obchodzi jubileusz dziesięciolecia, posiada w swoich zbiorach bibliotecznych stos książek z dedykacjami pisarzy, naukowców i aktorów z całego kraju. Są to dedykacje bez frazesów.

Ireneusz J. Kamiński

Jubileuszowy zjazd historyków

Dokończenie ze str. 1

1925). Na zjazdach w latach Polski Ludowej spór o nowe spojrzenie na przyszłość, z pozycji przemian formacji społecznej, dokonanych na naszych oczach, z naszym udziałem.

— *Jakim głównym problemom poświęcony będzie zjazd obecny? Czego należy od niego oczekiwać?*

— Jaki będzie zjazd lubelski? Problemy rocznicowe są wystarczająco ważne, by zapewnić mu wagę nie mniejszą niż to było w r. 1963, 1948 czy 1930. Jest to więc temat 50-lecia „Odbudowa państwa w 1918 r." Temat 25-lecia: „Przebudowa społeczeństwa". Główne referaty będą wyznaczały miejsce Polski w Europie w okresie staropolskim, w latach utraty niepodległości i walk niepodległościowych XVIII i XIX wieku, w międzynarodowym ruchu robotniczym. W dziesięciu sekcjach będzie można przedyskutować wszystkie ważne zagadnienia historii Polski i powszechnej, przy czym, ale tym razem szczególny, nacisk położono na wymianę zdań i doświadczeń ze specjalistami dziedzin pokrewnych, takich jak socjologia, ekonomia — widząc możliwości postępu badań we współpracy różnych dyscyplin naukowych, a także w zastosowaniu do badań historycznych technik badawczych, wypracowanych przez nauki ścisłe.

— *Kto bierze udział w zjeździe?*

— Skład uczestników zjazdu odpowiada składowi Towarzystwa: pracownicy wyższych uczelni i instytutów, nauczyciele, archiwiści, starsi studenci i wszyscy, których interesuje naukowo historia. Obok Polaków, nieliczne zresztą grona uczonych zagranicznych, interesujących się naszą historią, przedstawiciele instytucji współpracujących z naszym Towarzystwem. Wolno mieć nadzieję, że bardzo bogaty dorobek polskiej nauki historycznej ostatniego sześciolecia i nowe, wyrosłe w tych latach pokolenie uczonych, zapewni temu zjazdowi żywość dyskusji i walor istotnego etapu rozwoju naszej nauki.

— *Redakcja „Kameny" dziękuje panu profesorowi za udzielony wywiad i na pana ręce składa życzenia owocnych obrad.*

Wywiad przeprowadził
Zygmunt Mańkowski

Listy do KAMENY

„Książki jak pejzaże"

W numerze 14 „Kameny" z dnia 6.VIII. 1969 r. zamieszczony został artykuł o Ryszardzie Ziembie, etatowym introligatorze łańcuckim. Artykuł ze wszech miar ciekawy, wydobywający na światło dzienne cenny dorobek zdolnego i pracowitego artysty samouka, którego prace coraz częściej wzbudzają zachwyt i pochwały nie tylko laików, ale przede wszystkim znawców. Jednak obok wdzięczności dla autora artykułu, który poświęcił sporo miejsca biografii Ryszarda Ziemby, jego warsztatowi i technice introligatorskiej oraz koncepcji artystycznej — czujemy się zobowiązani do podania pewnych sprostowań, krzywdzących Muzeum w Łańcucie, którego Ziemba jest pracownikiem.

Ryszarda Ziembę odkryło Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, które urządziło mu pierwszą wystawę opraw książkowych w r. 1964. Wkrótce potem nasze Muzeum nawiązało z nim kontakt i rozpoczęto starania o zatrudnienie u siebie Ziemba otrzymał na pracownię dwa pomieszczenia o łącznej powierzchni ok. 35 m kwadr., z oknami od południa i centralnym ogrzewaniem. Pracownia została wyposażona w najkonieczniejszy sprzęt: dwie krajarki (do cięcia papieru i tektury), prasę introligatorską, dyspersorium itp. Szereg narzędzi zostało wykonanych na specjalne zamówienie, ponieważ nie ma ich w handlu. Brak specjalistycznych narzędzi, a głównie materiałów reglamentowanych, wykluczał zatrudnienie Ziemoy wyłącznie przy konserwacji starych druków i grafiki; z tego też powodu w pierwszym rzędzie powierzono mu oprawę dziewiętnasto i dwudziestowiecznych czasopism, należących do jednego z nielicznych zespołów bibliotecznych rezydencji pomagnackiej. Stała rozbudowa pracowni, jej zaopatrywanie w potrzebne materiały i chemikalia, pozwala na stopniowe przestawienie pracy Ziemby na konserwację zabytkowych opraw i grafiki. W razie potrzeby wykonuje on również nowe oprawy artystyczne, wg własnego pomysłu.

Warto również nadmienić, że zatrudnienie Ziemby w Łańcucie, jakkolwiek nie przyniosło spodziewanej nadwyżki w budżecie osobistym — pozwoliło mu na zetknięcie się ze światem naukowym i możliwość korzystania z konsultacji w dziedzinie bibliotekoznawstwa. Wspomniany przez autora dr Jan Kuglin z Uniwersytetu Wrocławskiego, określający Ziembę jako fenomen w dziedzinie introligatorstwa, został specjalnie zaproszony przez Muzeum dla oceny jego prac. Muzeum zapewniło również możliwość konsultacji ze strony Centralnego Laboratorium Konserwacji Archiwaliów przy AGAD w Warszawie oraz Biblioteki Narodowej. Z ramienia Muzeum uczestniczy w zjazdach i konferencjach, traktujących o konserwacji zabytkowych ksiąg i pergaminów oraz w organizowanych wystawach i odczytach. Popieramy jego kontakty zagraniczne. Ostatnio na wyjazd do NRD korzystał ze specjalnego urlopu.

Zbyt krzywdzący jest zatem i jednostronny sąd o Muzeum, które w opinii autora artykułu przydzieliło introligatorowi „obskurne pomieszczenie, zwane nie wiedomo dlaczego pracownią", obniżyło jego wynagrodzenie i zatrudnia go wyłącznie przy standardowej oprawie. Prosimy o przyjazd autora i zbadanie na miejscu warunków pracy Ziemby oraz wszelkich starań, jakie podejmuje Muzeum w celu jak najlepszego zaopatrzenia jego pracowni.

Wydaje się jak najbardziej słuszne ukazywanie dorobku artystycznego Ryszarda Ziemby, jego zamiłowania do starego, zarzuconego już dziś, kunsztownego rzemiosła. Może wysoka, wciąż narastająca ocena jego dawnych i nowych prac pozwoli mu, z racji ich wyjątkowej wartości artystycznej, zyskać uprawnienia członka ZPAP. Staną wtedy przed Ziembą otworem nowe drogi, począwszy od możliwości zaopatrywania się w potrzebne artykuły i przybory do użytku osobistego, aż po otrzymywanie zleceń od instytucji. Zmobilizowanie opinii naukowców o przyznanie Ziembie cenzusu artysty introligatora będzie chyba najlepszym dowodem doceniania samorodnego talentu artysty.

Jesteśmy jednakże świadomi tego, że artystyczna działalność Ryszarda Ziemby będzie się musiała odbywać na marginesie planowych zadań naszego Muzeum. Nie przewidujemy możliwości rozwoju pracowni introligatorskiej w takim stopniu, by umożliwić mu zajęcie się wyłącznie introligatorstwem artystycznym. Zbyt duże potrzeby Muzeum w zakresie konserwacji istniejącego księgozbioru, przy którym trzeba wykonywać przede wszystkim proste, techniczne czynności introligatorskie, będzie stała temu na przeszkodzie.

mgr Zofia Wiśniowska
kierownik Biblioteki i Archiwum Muzeum Zamku w Łańcucie

Dziękuję za zaproszenie do odwiedzenia Muzeum w Łańcucie, z którego nie będę jednak mógł wcześniej skorzystać, jak za kilka tygodni. Zaproszenie przyjmuję tym chętniej, albowiem poza konkretną sprawą p. Ryszarda Ziemby interesuje mnie również stan krajowego muzealnictwa, jego aktualny model i stopień uczestnictwa w kształtowaniu kultury społecznej.

Tymczasem ograniczę się więc do uwagi, że pismo kierownictwa Biblioteki i Archiwum Muzeum Zamku w Łańcucie właściwie potwierdza moje główne obawy: co do pracowniczego statusu Ryszarda Ziemby w Muzeum. Świadczy o tym zdanie: „Jesteśmy jednak świadomi tego, że artystyczna działalność Ryszarda Ziemby będzie się musiała odbywać na marginesie planowych zadań naszego Muzeum". Słowem oryginalny artysta w dalszym ciągu będzie marnował swój talent na czynności rzemieślnicze, które mógłby wykonywać każdy introligator. Rozumiejąc obiektywne trudności, uniemożliwiające odpowiednie i natychmiastowe wyposażenie pracowni muzealnej w narzędzia itp. środki techniczne, jakoś nie mogę zrozumieć zgody placówki kulturalnej, jaką jest przecież Muzeum w Łańcucie, na homogenizację najcenniejszych umiejętności, którymi dysponuje ten artysta. Być może wymagam za dużo, ale wydaje mi się, że obok opieki nad zabytkami muzea mogłyby pozwolić sobie od czasu do czasu na szerszą opiekę nad ludźmi, którzy tworzą kulturę artystyczną. I w ten sposób powtórnie dochodzę do modelu naszego muzealnictwa — kto wie, czy odpowiadającego potrzebom współczesności — ale to już osobny problem, który mam nadzieję przedyskutować w Łańcucie. Pozostałe, bardziej już szczegółowe, wyjaśnienia Muzeum łańcuckiego zdają się obiecywać sensowność proponowanego dialogu.

(IJK)

„O mini reformie ortografii"

Witold Kochański zamieścił w „Kamenie" z dnia 6.VII.69 r. swoje uwagi o propozycji Ibisa, redaktora kącika językowego „Życia Warszawy", by nazwy wytworów przemysłu (samochód warszawa, motorower komar) pisać dużą literą w cudzysłowie. Kochański w zasadzie przychyla się do tego projektu uważając go za słuszny, gdyż usuwa on opory, jakie odbiera nasze poczucie językowe, kiedy nazwy marek fabrycznych pisane są małą literą. Ma on jednak pewne zastrzeżenia. Omawiając projekt Ibisa — pisanie tych nazw dużą literą w cudzysłowie (a więc: samochód „Warszawa", motorower „Komar" itp.), rozprawia się równocześnie z argumentem Ibisa, że pisanie nazw takich małą literą prowadzić może do mimowolnej humorystyki, gdy czytać będziemy, że żubr potrącił żuka, a osa zderzyła się z komarem. Kochański stwierdza, że są to przykłady tendencyjne, bo przecież w każdym języku istnieją wyrazy wieloznaczne i kwazie sobie z nimi radzą. Powołuje się przy tym na „Mały słownik języka polskiego", który zestawia aż 9 znaczeń wyrazu „babka". Zapytuje więc: czy idąc za radą Ibisa należy wymyślić aż 9 sposobów oznaczenia tego wyrazu w piśmie? (!) Otóż pragnęłabym tu zwrócić uwagę na zasadnicze nieporozumienie. Przecież Ibisowi nie chodziło wcale o zlikwidowanie tzw. homonimów, czyli wyrazów wieloznacznych, które, choć w terminologii naukowej i technicznej są niepożądane, jednak w języku potocznym i literackim wzbogacają nasz styl, wnosząc wartości uczuciowe do języka, zaprawiając go humorem, kalamburami itd., gdy np. mówimy o tylu różnych „babkach". Ale tu chodzi o pisownię, a nie o wyrazy wieloznaczne. Pisownia: samochód warszawa nie powoduje nieporozumień, gdyż wiemy, o co chodzi, ale razi nasze poczucie językowe, przywykłe do pisowni dużą literą nazw (imion własnych). Następnie Kochański zauważa, że istnieje już w naszej pisowni tradycja pisania niektórych nazw marek przemysłowych małą literą, jak „koniak, tokaj". Tak, ale te ostatnie przykłady są już tak dalece odizolowane od swych pierwotnych znaczeń, że nie nasuwają żadnych skojarzeń z nazwami geograficznymi (Cognac, Tokay), nie są więc równorzędne z takimi nazwami, jak „żuk, warszawa, komar, żbik". Pisownia dużą literą i w cudzysłowie takich nazw jest mym zdaniem — jedynym rozsądnym rozwiązaniem tej sprawy.

Mgr Halina Romanowska-Łakoma
Lublin

„Strona z gwoździem"

Mgr Zbigniew Frąc, zastępca dyrektora lubelskiego oddziału PPUPiK „Ruch", nadesłał nam pismo następującej treści:

W związku z uwagami zawartymi w felietonie pt. „Strona z gwoździem" („Kamena", nr 16/1969 r.) uprzejmie komunikuję, że nasze przedsiębiorstwo rozważy możliwość wysyłki miejskiej mutacji „Sztandaru Ludu" do miejscowości wypoczynkowych.

Dziękujemy za szybką reakcję. Jak się dowiadujemy, miejskie wydanie „Sztandaru Ludu" można już nabyć nad jeziorem Białym. A więc felieton Jacka spełnił swoją rolę. (RED.)

W sprawie pomocy

W odpowiedzi na pismo z dnia 10 czerwca 1969 r. w sprawie udzielenia pomocy Ob. Franciszce D. zam. Sochy, p-ta Tereszpol pow. Zamość, Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zamościu informuje, że na podstawie przeprowadzonego wywiadu społecznego przez Opiekuna Terenowego ustalono, iż warunki materialne petentki są znośne. Posiada ona gospodarstwo rolne o pow. 7,13 ha o przychodowości rocznej 14 930 zł oraz czworo dzieci, zobowiązanych do alimentacji, które są w stanie dać matce utrzymanie.

W związku z powyższym i w oparciu o przepisy, zawarte w instrukcji nr 5/68 Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w formie świadczeń (Dz. Urz. MZiOS nr 6 poz. 33 z dnia 30.III.1968 r.), tut. Wydział Zdrowia nie przyznał Ob. D. Franciszce zapomogi pieniężnej, o czym petentka została powiadomiona decyzją z dnia 19 lipca 1969 r. znak: Zd. PS. 651/38/69. Niemniej jednak Powiatowy Opiekun Społeczny przeprowadził rozmowę z dziećmi petentki w sprawie udzielania przez nich pomocy materialnej matce. Z wywiadu społecznego przeprowadzonego w miejscu zamieszkania wynika, że petentka tak dotychczas jak i w chwili obecnej korzysta z pomocy dzieci zobowiązanych do alimentacji.

Longin Główka
z-ca kierownika
Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej
Prez. Miejskiej Rady Narodowej
dla miasta i powiatu Zamość

Konkurs fotograficzny w Zamościu

Prezydium PRN w Zamościu, BWA Delegatura w Zamościu, Zamojskie Tow. Fotograficzne organizują II ogólnopolską wystawę fotografii amatorskiej pt. „Zabytki". Udział mogą brać fotoamatorzy, zrzeszeni w towarzystwach i klubach, będących członkami Federacji Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych. Zdjęcia (najwyżej po 6) w formacie od 30x40 do 40x50 (czarno-białe) oraz od 18x24 do 30x40 (barwne) należy nadsyłać do 30 września, pod adresem: Zamojskie Towarzystwo Fotograficzne, Zamość, Planty 68, z dopiskiem „Zabytki".

Wpisowe w wysokości 20 zł należy przekazać na konto PKO O/Zamość, nr 70-9-391, ZTF Zamość.

Krzyżówka nr 6

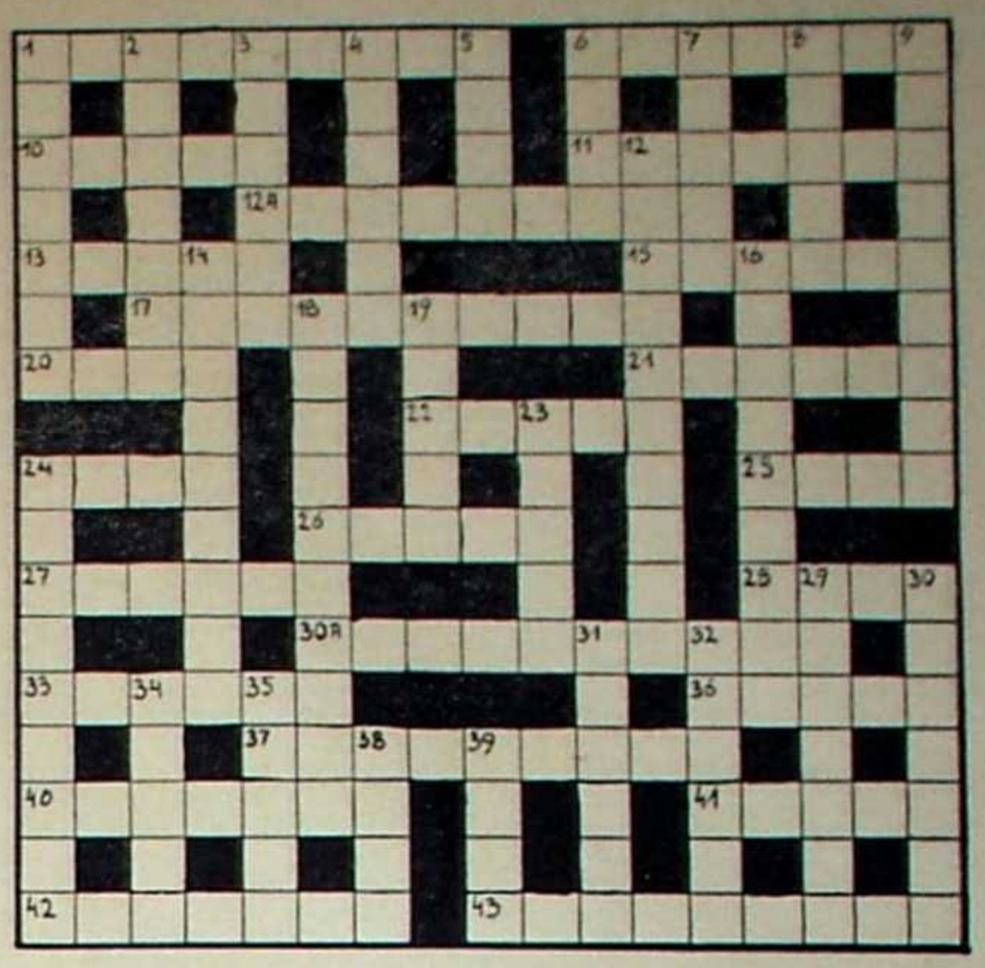

POZIOMO:

1. nauka o budowie i czynnościach komórek, 6. tablica z rysunkiem lub wykresem, 10. słynna Barbara z krakowskich pitawali, 11. ateńska rada, 12A. Góral z Gorców, 13. krewniak żyrafy, 15. tytuł naukowy, 17. autor „Śpiewów historycznych", 20. dwumasztowy żaglowiec z ożaglowaniem rejowym, 21. nieproszony gość, 22. stacja przetwarzająca prąd z linii przesyłowych na napięcie używane, 24. żona Zygmunta Starego, 25. sztuka w mamlocie, 26. miasto powiatowe w woj. olsztyńskim, 27. zastrzyki lub przytyki, 28. grecki Amor, 30A. twórca stylu zakopiańskiego, 33. drobne resztki starych budowli, 36. ryba łososiowata spotykana na Mazurach, 37. dworski urzędnik mający nadzór nad służbą, 40. rzeka ze stałej rubryki „Kameny", 41. 12, 42. opis Ksenofonta wyprawy Cyrusa przeciw Artakserksesowi, 43. broń sportowa.

PIONOWO:

1. francuski fizyk, jeden z twórców nauki o elektryczności, 2. dzikie konie, 3. płuca i inne podroby, 4. laufer, 5. zawiadomienie odbiorcy o wysłaniu towaru, 6. kręgowiec zmiennocieplny, 7. opera Rachmaninowa, 8. guz na końskiej nodze, 9. obywatel państwa arabskiego, 12. ośrodek górniczy w woj. katowickim, 14. mityczny król-rzeźbiarz, który zakochał się w swym dziele, 16. nauczyciele religii, 18. polski poeta — romantyk, 19. pierwszy polski radioodbiornik tranzystorowy, 23. włoska rodzina lutników, 24. część Mołdawskiej SRR, 29. miasto wojewódzkie, 30. koński dom, 31. znawca piękna, 32. asyryjska bogini miłości i urodzaju, 34. 20.X., 35. do kręcenia, 38. łąka w górach, 39. mobilizacja w dawnej Polsce (wspak).

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 4

POZIOMO:

Czechowicz, deptak, kaseta, sukurs, Iran, kask, Idaho, latarnia, rondel, lama, Junosza, trasat, rondo, żebrak, sztajer, ropa, zbroja, Żeromski, sosna, Irak, dres, koncha, odcień, zatoki, Szaniawski.

PIONOWO:

chmiel, chan, Oberon, Italia, Zastawa, doktorat, park, kalkulator, karton, Sardes, Rosja, Ikar, lanca, jeżozwierz, Rytro, osie, buriak, Krasicki, jesień, pasjans, żałoba, Rzecki, indyki, koło, serw.

Nagrody otrzymują:

W. Alenowicz, Gdańsk 23, ul. Dąbrowszczaków 32/B-9; K. Czeladyn, Lublin, ul. Świerczewskiego 8/6; K. Harczuk, Janowice k. Zamościa, Technikum Rolnicze; A. Małodobry, Zamość, ul. H. Sawickiej 102 A.

Zaczarowany świat dla dzieci

Dokończenie ze str. 7

Wielokrotnie zwracano już uwagę na osobliwą melodyjność wierszy Czechowicza. Istotnie, jest ona w nich łatwo wyczuwalna. Szczególnie zaś melodyjne są jego wiersze dla dzieci. Przykłady można by tu mnożyć. Oto niektóre z nich:

Strojne w biel, w srebrny puch,
latarnie się wdzięczą.
Dziń — dziń — dziń — dziń
dzwonki sanek brzęczą.

(„Zima)

Junacy, junacy,
wracajcie za morze
bo mi się syneczek
ze snu wybić może...

(„Bajki")

W tym ostatnim czterowierszu wyraźnie dźwięczy rytm skocznego krakowiaka. Podobnie melodyjne są również „Kołysanki", w których poeta zastosował liczne powtórzenia, co nadaje poszczególnym strofom refrenową budowę i śpiewną intonację, jak na przykład w tym fragmencie:

Szumi woda, szumi woda
w jeziorze
ukołysać mi syneczka pomoże,
pomoże.

(„Kołysanki")

W napisanych przez Czechowicza wierszach dla dzieci muzyka dźwięczy nie tylko dzięki określonej rytmice wiersza i budowie strofy. Muzyką przepojona jest również treść niektórych wierszy. W jednym z nich *jesień gra na skrzypkach*, w innym *pośród zamarłych szczytów cichutka brzmi muzyka* i wiatr *gra marsz podksiężycowy*, a jeszcze w innym *bębenek dudni, tupie i brzęczy*.

U wielu poetów wiersze dla dzieci stają się często rymowaną prozą wskutek ubóstwa poetyckich środków wyrazu lub całkowitej rezygnacji z nich. Autor „Srebrnych nitek" nasycał swe wiersze dla dzieci licznymi porównaniami, metaforami i ciekawymi, oryginalnymi epitetami. W jednym z wierszy rżą *konie jabłkowite*, w innym odgłos końskich kopyt *zjada woda cicha*, a w innym znowu słońce *złocistą łapeczką krople rosy rwie*, a *księżyc zbladł ze złości*. Porównania i przenośnie tchną świeżością i oryginalnością.

Wiersze Czechowicza dla dzieci cechuje wersyfikacyjna różnorodność, bogactwo poetyckich środków wyrazu, melodyjność, swojskość tematyki, wykorzystanie motywów poetyckiej twórczości ludowej. Czyni to z niego twórcę oryginalnego, który zerwał z łatwizną, panującą w literaturze dla dzieci i nie ulegał modzie pisania łatwych i gładkich wierszyków dla najmłodszych, czego rzekomo wymagają psychologiczne właściwości małego odbiorcy poezji. Chciałoby się na końcu powiedzieć, że Czechowicz nie pisał tanich i prostych wierszyków dla dzieci, on tworzył dla nich zaczarowany, poetycki świat.

Jan Orłowski

Trybuna nauczycieli

NAUCZYCIELE i pracownicy naukowi Lubelszczyzny dysponują od bieżącego roku własnym organem. Jest nim „Rocznik Ogniska Nauczycielskiego", wydawany staraniem Zarządu Okręgu ZNP w Lublinie. Pismo o tym tytule ukazywało się w latach 1928—1938. Następnie w r. 1959 podjęto sporadyczną próbę jego wznowienia, dopiero teraz wszelako, m. in. dzięki pomocy finansowej ZG ZNP i PWRN w Lublinie, „Rocznik" stanął przed perspektywą ciągłości wydawniczej. Wiąże się to również z pracami nad monografią dziejów ZNP na Lubelszczyźnie. Zbierane do tej monografii różnorodne i obszerne materiały gwarantują właśnie ciągłość pismu, gdyż mogą być ogłaszane cząstkowo i stale, dopóki robota nad monografią nie zostanie ukończona.

Wznowiony „Rocznik" — w stosunku do przedwojennego — posiada, oczywiście, nieco odmienny charakter, ale też stara się nawiązywać do dawnych tradycji postępowego ruchu nauczycieli w Lubelskiem. Oto, co na ten temat pisze redakcja we wstępie: „Rocznik traktujemy nadal jako trybunę nauczycieli i pracowników naukowych Lubelszczyzny. Będzie on rejestrem życia organizacyjnego związku, miejscem dyskusji i twórczych polemik. Łamy swe udostępni także autorom prac naukowych, poświęconych dziejom Związku Nauczycielstwa Polskiego. Umożliwi wymianę myśli na temat roli naszej organizacji w przemianach społecznych na polu oświaty i szkolnictwa wszystkich typów i szczebli. Przez ogłaszanie zaś materiałów z bieżącej pracy poszczególnych ogniw organizacyjnych ZNP, pozwoli na realizację postulatu szerszej informacji o życiu związkowym."

Drugi w 25-leciu a pierwszy po latach „Rocznik", wydany za r. 1969, zawiera materiały dotyczące przede wszystkim tajnego nauczania podczas okupacji. Mówi więc o sprawach szczególnie ważnych dla określenia jednej z przyczyn patriotycznej postawy młodzieży polskiej w latach wojny. Równocześnie dostarcza dowodów ogromnej ofiarności i odwagi samych wychowawców, prowadzących pracę niezwykle trudną i niebezpieczną, daleką od płaskiego utylitaryzmu.

Tym kwestiom poświęcone są w dziale artykułów rozprawy J. Doroszewskiego, E. Krawczyka, E. Olszewskiego i L. Siemiona. Ponadto M. Marczuk pisze o kierunkach działalności pedagogicznej ZNP na Lubelszczyźnie w okresie międzywojennym, zaś K. Sand omawia status prawny ZNP, jako organizacji społecznej, w tym samym okresie.

Numer przynosi też aktualne materiały z życia związku w Lubelskiem, sylwetki zmarłych nauczycieli, a także bogaty dział recenzji i not bibliograficznych. Liczący 264 strony „Rocznik", oparty na bogatym zapleczu dokumentarnym, zawiera liczne zdjęcia archiwalne i współczesne, oraz fotokopie autentycznych dokumentów, które ze swej strony uwierzytelniają stwierdzenia zawarte w rozprawach i artykułach.

Należy sobie winszować, by ta bardzo potrzebna i pożyteczna inicjatywa wydawania „Rocznika Ogniska Nauczycielskiego w Lublinie" faktycznie zyskała trwałe perspektywy wydawnicze, by pismo nie stało się jeszcze jedną efemerydą, grobowcem dobrych chęci, lecz by — ukazując się regularnie — docierało do wszystkich szkół i uczelni naszego regionu, a może, jeśli nakład pozwoli, nie tylko naszego regionu, boć sprawy tu poruszone wykraczają często poza Lubelszczyznę i dotyczą dziedzin, które powinny zainteresować każdego wychowawcę młodzieży.

POM

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Ogórki! Ogórki! Dotąd, ilekroć martwiliśmy się brakiem nowych materiałów do rubryki, zawsze bywało tak, że w ostatniej chwili nadchodziła partia smakowitych tekstów, które skwapliwie wykorzystywaliśmy. I oto zdarzyło się, iż nic się nie zdarzyło, tzn. zabrakło nowalijek poetyckich. Widocznie muzy naszych korespondentów, zmęczone nadmiernymi upałami, zrobiły sobie wakacje, tak jak i sami autorzy. Sięgamy więc ponownie do archiwum, wcale zresztą bogatego, aby przekonać się, że — wedle Pana S. L. z Bielawy — **„i torba po cukrze może stać się krynicą natchnienia twórczego".** A oto tytulo-cukrowy wierszyk:

Pij
owocowe lasy
nektary
cukier w ręku zbierając
chronisz kryształ dziecka
to biały pożar.

Pan S. L. dzieli się też pewnymi wątpliwościami z naszą rubryką odnośnie zabawy w kamenowe tytulo-poezje. Lojalnie cytujemy: **„Wystarczy gazeta i nieco wyobraźni przestrzennej. W tych warunkach wszyscy są niemal na równych prawach. Tworzyć mogą przedszkolak i emeryt, debil oraz intelektualista. Że czytelnicy nie będą wiedzieli, o co chodzi? Tym gorzej dla nich".** Natomiast Panu, który się podpisał: SZPAK dziękujemy za życzliwe słowa pod adresem naszego konkursu-zabawy. Coś nam się widzi, że tej sprawy nie będzie można jeszcze uznać za zamkniętą.

Następna kwestia również sięga czasów dawnych, kiedyśmy drukowali serial erotyczno-liryczny. Wtedy to nadeszło wiele tekstów od pań oburzonych naszym powątpiewaniem co do kobiecych możliwości twórczych w tym zakresie. Kajamy się i publikujemy wierszyk skomponowany przez nas z tekstów pań: J. P. z Lubelskiego i B. B. z Kętów.

Kiedyś i nam kwitły jaśminy,
pachniały szczęściem w majową noc,
lecz gdy ty odjechałeś jedyny,
zabrałeś ze sobą szczęścia moc.

Więc odpowiedzcie przyjaciele,
nie urągając swej mądrości:
jak, choć złamane moje serce,
ma takiej wyrzec się miłości?

I tym tragicznym pytaniem kończymy. Pan Pigoński tym razem może nieco odpocząć. Niech człowiek ma też wakacje.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 33
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

Zam. 2851. 11.VIII.69. S.286. F-6

MINUTA MYŚLENIA

Kloss rzeczywisty

TAK wyraziście wpisany w świadomość polskiego odbiorcy dzięki kilkunastoodcinkowemu serialowi telewizyjnemu kapitan Kloss miał swego poprzednika w rzeczywistości. Jeśli dokonamy małej poprawki co do narodowości i nazwiska, otrzymamy postać autentycznego wywiadowcy, który w czasie II wojny światowej, w mundurze niemieckim, walczył przeciw Niemcom. Nazywał się Nikołaj Kuźniecow, był Rosjaninem, inżynierem-metalowcem.

Oto kilka danych z jego życiorysu, poprzedzających jego wywiadowczą i dywersyjną działalność wewnątrz hitlerowskiego korpusu oficerskiego. W roku 1935 ukończył technikum i otrzymał pracę w zakładach metalowych w Swierdłowsku. Ponieważ z tej uczelni wyniósł szczególnie dobrą znajomość języka niemieckiego, przydzielony został do pracy z niemieckimi specjalistami, którzy montowali w Swierdłowsku zakupione w Niemczech maszyny. Dzięki temu doszlifował znajomość języka i poznał niemieckie obyczaje, a także sięgnął do książek z zakresu historii Niemiec, ich sztuki i literatury. Koledzy zaczęli go nawet posądzać o pewne skłonności germanofilskie. W czasie wojny zgłosił się do armii i został skierowany na specjalny kurs szpiegowsko-dywersyjny. W tym czasie do niewoli dostał się niemiecki oberleutnant Paul Siebert, jak stwierdzono w kontrwywiadzie radzieckim — bardzo podobny do Kuźniecowa. Siebert został zwolniony z obozu jenieckiego i przetransportowany do Moskwy, gdzie zamieszkał z Kuźniecowem po to, by ten miał okazję przejąć maksimum wiadomości na temat osoby, w którą miał się wcielić. W ten sposób radziecki inżynier-metalowiec stał się synem pruskiego junkra, właściciela pięciu tysięcy hektarów ziemi pod Malborkiem i w tym charakterze wystąpił w okupowanym Równem rozpoczynając akcję szpiegowską i terrorystyczną przeciw najwyższym figurom w galerii hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Zginął samobójczo, odbezpieczając granat, kiedy został schwytany przez bandę UPA współdziałającą z Niemcami i skuszoną wynagrodzeniem, jakie Niemcy obiecali za ujęcie radzieckiego bohatera.

Wszystkiego tego można się dowiedzieć z książki Ryszarda Jegorowa pt. „Sędziowie bez togi" wydanej przez Wydawnictwo Lubelskie. Jegorow bardzo skrupulatnie zebrał materiał do swojej opowieści, a ponieważ relacja opiera się na autentykach, tym mocniej trzyma w lekturze, tym żywiej interesuje losami grupy konspiratorów, którzy zdobyli się na śmiałość operowania tuż pod okiem hitlerowskiego aparatu represji.

Autor nie nazywa swego utworu powieścią. Istotnie — powieścią on w ścisłym tego słowa znaczeniu nie jest, niemniej jednak posiada zalety niekiedy cenniejsze, aniżeli literacka fikcja. Jest to literatura pisana przez samo życie i przez samo życie sprawdzana. Za każdą ze scen, postaci, za każdym wydarzeniem opisanym w książce znajduje się świadectwo rzeczywistości. Często wprost nie chce się wierzyć, że niektórzy ich uczestnicy utrzymali się przy życiu, tak przecież gęsta była sieć niebezpieczeństw, przez które musieli się przedzierać. Tyle też — korzystnych — zbiegów okoliczności. Na przykład ukradziony przez Kuźniecowa samochód znajduje się pod obserwacją żandarmerii, która podejrzewając coś, przypuszczalnie przystąpi do sprawdzania numerów. Znajduje się wprawdzie, dzięki przezorności szofera, inny (trzeci już z kolei) numer, ale wtedy nie zgadza się on z numerem na delegacji. Sytuacja — nóż na gardle. Odejmuje go „Murka", pracownicka Paket-Action, której udaje się wykorzystać chwilową nieobecność szefa w gabinecie i skraść mu kilka opieczętowanych delegacji. Oczywiście, gdyby to był wymysł autora... Ale w „Sędziach" mamy do czynienia tylko z faktami.

Pamiętnikarstwo zyskuje coraz widoczniejszą pozycję we współczesnym piśmiennictwie. Wprawdzie książka Jegorowa nie jest pamiętnikiem spisanym przez uczestnika wydarzeń, jest to podane z drugiej ręki, ale ta sama to literatura faktu, która tak pasjonuje dzisiejszego czytelnika. Czy wyraża się w tym votum nieufności w stosunku do inwencji kreacyjnej, która w dzisiejszych czasach uległa jakiejś dewaluacji? Nie inaczej chyba — wspomnijmy nawiasem — tłumaczyć by należało popularność tego trzeciorzędnego w gruncie rzeczy reportażu, jakim jest „Z zimną krwią" Trumana Capote. Uwierzytelnienie rzeczywistości stanowi dziś duży przyczynek do poczytności utworu literackiego. I często literackość... w literaturze nie jest potrzebna.

Ale pozostawmy na uboczu możliwość przedłużenia rozważań w tej dziedzinie. Nie wymaga ich książka Jegorowa zamierzona przede wszystkim jako świadectwo autentycznych wydarzeń i rzeczywiście bohaterskich czynów dokonanych przez bohaterskich ludzi.

Ijon

BIG-BEAT

Na głównej ulicy

PANIE Redaktorze! Bardzo się zdziwiła moja koleżanka z Francji, kiedy na Al. Jerozolimskich w Warszawie jakiś facet natarczywie zachęcał ją do kupna zdjęcia oficera hitlerowskiego Wehrmachtu.

— Co wy wyprawiacie w tej Polsce? — pytała mnie wzburzona. — 30 lat po napadzie Niemców, można u was legalnie, na głównej ulicy Warszawy, nabyć fotografię hitlerowca? Co na to władze? Gdzie jest policja?

W pierwszej chwili zaniemówiłem.

— Zaraz, zaraz, o czym ty mówisz?

— Hitlerowiec! W mundurze! Nawet dość przystojny. Ba, nie tylko proponują kupno zdjęć, ale i lusterek z podobizną tego oficera!

Kloss! Że też mi to od razu nie przyszło do głowy!

Opowiedziałem Francuzce o naszej popularnej serii telewizyjnej pt. „Stawka większa niż życie". W niedzielę sama miała możność obejrzeć „Podwójnego nelsona". Owszem, program jej się podobał, może nawet, przed powrotem do Francji, kupi w Warszawie pocztówkę z Klossem, śmiejąc się z poprzednich zastrzeżeń. Niemniej jej pierwotne wzburzenie dało mi wiele do myślenia.

Panie Redaktorze! Załóżmy, że przyjeżdża Pan do Budapesztu, nie zna tamtejszej telewizji i na Lenin-utca proponują Panu nabycie podobizny niemieckiego oficera z krzyżem żelaznym uwiązanym u szyi. Patrzy Pan na to, patrzy i po prostu bierze Pana diabli. Nie chcę nawet przypuszczać, o czym Pan może myśleć w takiej chwili, jakie skojarzenia powstają w Pańskiej głowinie. Należy Pan przecież do rocznika, który na własnej skórze doświadczył „dobrodziejstw", jakie przyniósł ze sobą ów znienawidzony mundur. Sądzę, że gdyby demonstracyjnie na Lenin-utca podarł Pan takie zdjęcie i w dodatku pobił sprzedawcę, nie spadłby Panu ani jeden włos z głowy!

W pełni doceniani pedagogiczne znaczenie naszej „Stawki większej niż życie", chociaż obawiam się, że za jakieś lat 50, kiedy nasza telewizja po raz nięćdziesiąty wznowi tę serię, trzecie pokolenie Polski Ludowej na niej właśnie będzie poznawać okrutny czas II wojny światowej, dziwiąc się, po co trzeba było wysiłku całej koalicji antyhitlerowskiej, skoro Niemców tak łatwo dawało się wystrychnąć na dudków. (Ale to osobny problem). Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego Kloss ma służyć do rehabilitowania munduru Wehrmachtu i budzić zdumienie wśród cudzoziemców, którzy przecież licznie odwiedzają naszą stolicę i nie zawsze mają możność dowiedzieć się, jaką rolę wyznaczyli Stanisławowi Mikulskiemu realizatorzy popularnej serii telewizyjnej.

A swoją drogą główki rodaków pracują...

Jacek

PS. „Żywocik Literacki" bardzo się zdziwił, kiedy stwierdził, że piękne kolorowe kartki z widokami Krakowa wykonane zostały w Bułgarii. „Żywocik" nie ma chyba zwyczaju pozdrawiać macierzystej redakcji podczas bytności w Warszawie. Łatwo mógłby się wówczas przekonać, że już przed rokiem można tam było nabyć równie ładne widokówki warszawskie z napisem „foizdat Bulgaria". Ktoś jednak był na tyle mądry, że ów napis kazał umieścić w tym miejscu, gdzie nakleja się znaczek. Ostatecznie nie ma się czym chwalić...

FELIETON Z REZERWY

Doping

AFERA Merckxa przez kilka tygodni bulwersowała opinię publiczną w Europie zachodniej, i to nie tylko sportowców. Eddy Merckx, młody zawodowy kolarz belgijski, został usunięty z wyścigu dookoła Włoch po ukończeniu 16 etapu w koszulce lidera. A wszystko dlatego, że analiza pobranego odeń moczu wykazała, że Belg zażywał środki dopingujące. Merckx, obawiając się dyskwalifikacji, oświadczył, że to zapewne jakiś wróg osobisty dosypał mu czegoś do jedzenia. Ponadto na obronę swoją przytoczył to, że nigdy jeszcze nie był karany, a analizy pobierane odeń stale w ciągu ostatnich dwóch lat, nie wykazały żadnych śladów środków dopingujących. Międzynarodowa Federacja Kolarska UCI ukarała Merckxa miesiącem dyskwalifikacji. W obronie zawodnika stanęła paryska gazeta „L Equipe", zainteresowana, by pojechał na organizowany przez tę redakcję wyścig dookoła Francji. Merckx złożył za pośrednictwem swego krajowego związku kolarskiego odwołanie do Międzynarodowej Federacji Kolarstwa Zawodowego. Ta uznała, że wyniki analizy są prawidłowe, lecz mimo to postanowiła zmniejszyć Belgowi karę, co znów wywołało sporo zamieszania, jako że federacja podlega przecież UCI, a zatem nie ma prawa uchylać jej decyzji. Skandal stawał się coraz większy.

Sprawa dotyczyła osoby Merckxa, ale na nim się nie kończyła. Sukcesami sportowymi tego zawodnika zainteresowany był wielki bussines zawodowego kolarstwa: firmy uczestniczące w organizacji wyścigów, przedsiębiorstwa reklamowe, producenci rowerów, hotelarze modnych miejscowości letniskowych, przez które biegnie trasa wyścigów itd. Ściślej mówiąc, jedni byli zainteresowani, by Eddy sukcesy odnosił, inni, by nie startował w ogóle, bo to dawało szanse na sukcesy ich faworytów. Niezależnie od tego belgijscy kibice kolarstwa zainteresowani byli swym pupilkiem ze względów czysto sportowych. Tym ostatnim dał też wyraz król Baudouin, przyjmując Merckxa na audiencji prywatnej, szeroko opisanej i obfotografowanej przez prasę zachodnioeuropejską. Wizyta w pałacu królewskim odbyła się nazajutrz po wygraniu przez Merckxa w imponującym stylu, z przewagą 18 min. nad następnym Tour de France.

Głos w tej sprawie zabrali również i kolarze zawodowi. Francuzi na przykład od dawna przeciwstawiają się kontroli antydopingowej. Ich słynny profesjonal, Bernard Guyot, po jednym z wyścigów nie zgodził się na oddanie moczu do analizy.

Kontroli antydopingowej poddawani są nie tylko kolarze zawodowi i amatorzy, lecz również i uczestnicy wielkich imprez w innych dziedzinach sportu. Podobne badania przeprowadza się także i na imprezach w krajach socjalistycznych. Podczas różnych międzynarodowych imprez kolarskich pobiera się na mecie każdego etapu mocz do analizy od pierwszych pięciu na mecie oraz od trzech czy pięciu innych, których numery startowe zostały wylosowane w czasie trwania etapu (operację tę przeprowadza się w specjalnym namiocie, ustawionym na stadionie). Surową kontrolę w tym względzie przechodzili m. in. uczestnicy Wyścigu Pokoju. Organizatorzy imprezy zastrzegli też sobie prawo badania w każdej chwili potraw oraz napojów zawodników. Wypadki naruszania przepisów zdarzały się, na szczęście w sporcie amatorskim są one rzadkie.

Co to jest właściwie doping? Jest to okresowe zwiększanie sprawności fizycznej lub psychicznej zawodnika, drogą niefizjologiczną, przez podawanie mu środków pobudzających. Dopingiem w szerokim tego słowa znaczeniu będzie więc i większa ilość bardzo mocnej czarnej kawy, lub mocnej herbaty, wysokoprocentowe piwo i inne napoje kofeinowane lub alkoholizowane. Przede wszystkim chodzi tu jednak o środki farmakologiczne i inne związki chemiczne, działające intensywnie; stosowanie ich jest karalne sportowo. Jest to moje określenie dopingu, uogólnione i uproszczone, tak, bym mógł zmieścić się w skromnych ramach felietonu. Istnieją bowiem definicje ścisłe, specjalistyczne — sportowe, prawne, lekarskie. Doping bowiem może być badany pod różnym kątem widzenia.

W numerze 4 „Biuletynu Informacyjnego" Centrali Farmaceutycznej „Cefarm" i Zjednoczenia Przemysłu Farmaceutycznego „Polfa" ukazał się interesujący artykuł mgr Dionizego Moskwy pt. „Zagadnienie dopingu w sporcie aktualne w medycynie", niestety nie zauważony przez fachową prasę sportową. Autor pisze o tym, jakie środki lecznicze i chemiczne, dostępne na naszym rynku, wykorzystywane bywają dla celów dopingowych i jakie spustoszenie w organizmach zawodników mogą one powodować. Filiżanka kawy dostarcza 0,1 g kofeiny, nie może więc być uznana za poważny środek dopingujący. Lecz większe dawki kofeiny u osoby cierpiącej na nadczynność tarczycy mogą spowodować nawet zapaść. A jakie szkody mogą wyrządzić choćby tak niewinne środki, jak witaminy czy hormony, podawane bez wiedzy lekarza, nie mówiąc już o specyfikach silniejszych?

Inna rzecz, że wymogi dzisiejszego sportu wyczynowego zmuszają nieraz zawodników, zwłaszcza tych, dla których sport jest źródłem utrzymania, do szukania pomocy w dopingu. Trasa Tour de France liczy 4 100 km długości, 23 dni walki — bez dnia wypoczynku. Po drodze Alpy i Pireneje. I etapy po 200—300 km. Zmęczenie zwala z nóg najmocniejszych. Lecz nie powinno się usuwać go sztucznie. Zmęczenie jest bowiem normalnym zjawiskiem fizjologicznym, chroniącym organizm przed przeforsowaniem, a nawet przed trwałym uszkodzeniem go. Doping nie daje się również pogodzić z zasadami etyki sportowej, nakazującej, by wszyscy walczyli w jednakowych warunkach. Jeśli w publicystyce podkreśla się jego szkodliwą działalność zdrowotną (Anglik Simpson, po zażyciu nadmiernej ilości środków dopingujących, zmarł w czasie jednego z poprzednich wyścigów dookoła Francji), to dlatego, że dziś łatwiej przemówić ludziom do rozsądku niż do uczuć.

(RW)

Odpowiedzi redakcji

J. K. w Łosieniu. Rzadko się zdarza, by autor, który „dostał" u nas debiut, zareagował tak entuzjastycznie. Jesteśmy wzruszeni, sądzimy, że nasza współpraca będzie owocna, aczkolwiek powinien Pan brać pod uwagę, iż musimy też satysfakcjonować innych autorów, na to zasługujących. Kolejne opowiadanie Pańskie ma, niestety, za dużą objętość jak na możliwości publikacyjne „Kameny". To nie jest żaden unik z naszej strony, kiedy tak piszemy. To smutna rzeczywistość.

W. G. w Lublinie. Gdy się ma 17 lat, to prawdą jest, że przeżywa się rozliczne emocje związane z oczekiwaniem na opinię o własnych tekstach. Takie emocje odczuwa zresztą każdy autor. Oczywistą prawdą jest również, że nadesłane teksty są nieczytelne, bo nabazgrane. W tej sytuacji nie chcielibyśmy oceniać utworów, których odczytać do końca nie potrafimy. Wniosek — pisać na maszynie lub znacznie wyraźniej. Są wakacje, sjesty czas leniwy — skąd więc to „pośpieszne" pismo? Koncepcja teoretyczna poezji wydaje się dość sensowna, ale obawiamy się, że niezbyt samodzielna.

I. G. w Lublinie. Poemacik jest dość naiwny, groza sztucznie pompowana, filozofia jego płytka, mimo pozorów spojrzenia wszechogarniającego i rozerwującego był cały od stóp do głów. Jak widać — wiersz nie przypadł nam do gustu i nie będzie drukowany na łamach naszego pisma.

„Władek" z Zamościa. Czytelnikowi trudno będzie się wzruszyć czy przerazić (a do tego Pan, zdaje się, dąży), gdyż trafiają się w tekstach błędy gramatyczne, a to rozbija tzw. wrażenie. Ponadto nie czuje się w wierszach autentycznych przeżyć, raczej ciągnięte na siłę wyobrażenia i uczucia, jakie — wedle potocznego mniemania — „wypada" zamieszczać w poezji. Marna perspektywa przed Panem, Panie Kolego.

W. B. w Zamościu. Nie możemy się wyzbyć podejrzenia, iż jest Pan — t a k ż e — owym „Władkiem" z Zamościa. Tego rodzaju mistyfikacje już nieraz bywały w naszej redakcyjnej praktyce z korespondentami. Tak czy inaczej — wierszyki słabe. Poezja dziś zaczyna się o wiele dalej, niż mógłby Pan to sobie wyobrazić. Radzimy zabrać się do solidnej lektury.

J. Z. w Górze Puławskiej. Sprawa dotycząca autora (autorów?) z Zamościa częściowo przypomniała nam Pańską osobę. Przyjmujemy za dobrą monetę przeprosiny i życzymy dobrego wypoczynku. **„Wysyłanie wierszy do poważnego pisma to nie zabawa"** — pisze Pan. Jest w tym coś z prawdy.

R. D. z Lublina. Musi być Pan bardzo młodym autorem, a wiersze przesłane — pierwsze w Pana życiu. Za wcześnie na poważną rozmowę. Nawet na to, żeby się przekonać, iż nie warto pisać, też trzeba trochę czasu. Taka to już skomplikowana dziedzina ta poezja.

B. S. w Kraśniku Lubelskim, R. J. w Olsztynie, E. K. F. W. we Wrocławiu — nie skorzystamy.

Ponieważ nasi Czytelnicy i Korespondenci zapominają często o pewnych zabiegach ułatwiających nam pracę, więc na koniec informujemy, iż poprawny list od autora powinien wyglądać następująco: imię i nazwisko oraz dokładny adres, informacje o autorze (wiek, zajęcie etc.), dotychczasowe doświadczenia literackie, dokładne wyłuszczenie prośby (publikacja, ocena etc.). Do tego powinno się dołączyć maszynopisy utworów. Nie żądać odpowiedzi listownej, ani odwiedzin kogoś z redakcji w domostwie autora. Kłaniamy się pięknie wszystkim, którzy zechcą to wziąć pod uwagę.

Konkurs dla fotoamatorów

„Temperatura jeziora Białego 21°" fot. K. Piwowarczyk

„Próba" fot. M. Kowalik

„Piękno Zamościa" fot. Jerzy Kusy

Jan Sztaudynger

Piekąca łza

Przekonasz się, człowiecze:
Łza niewylana najbardziej piecze!

Strusia polityka

Kiedy mi życie mierzło i brzydło,
Zawsze chowałem głowę pod skrzydło!

Skarga cienia

„Co w noc uprzędę, pruję w dzień"
Tak się na słońce skarżył cień.

Na pogrzebie przyjaciela

Życie ludzkie jest dłuższe, niż żywot motyli,
Lecz równie krótkie, gdyśmy je przeżyli.

Spóźniona wiedza

Dopiero smutek jesieni
Radość wiosny oceni.

Strip-tease prawdy

Blaga
Sekretu się domaga,
A za to prawda szczera
Do naga się rozbiera!

Na starszych panów

Gentelmeny
Z przeceny.

Na bolesne prawdy

Komu na takiej prawdzie zależy,
Która po głowie go uderzy?

Tempo prawdy

Prawda na wierzch w końcu wyłazi,
Ale z szybkością muchy w mazi.

Wzajemność usług

Jam sługą drugich. A drudzy
To moi słudzy!